

Rebecca Flanders

**WCZORAJ  
ZACZYNA SIĘ  
JUTRO**

**Wczoraj  
zaczyna się jutro  
1**

- No więc tak. Piszą tu, że na wyspie Aury pierwsi pojawili się Hiszpanie, w tysiąc sześćset czterdziestym roku, i że zastali na niej przyjaznych krajowców. .. - Amelia Langston poprawiła okulary słoneczne, które zjeżdżały jej na czubek nosa na każdym zakręcie wąskiej drogi, i zerknęła na swą przyjaciółkę, Peggy. - Jak myślisz, dlaczego kolonizacja niezmiennie kończyła się wojną, chociaż tubylcy zawsze byli do przybyszów dobrze nastawieni?

Peggy Brewer zdjęła z kierownicy rękę i machnęła lekceważąco.

- Daj spokój Hiszpanom. Znajdź coś ciekawszego!  
Amelia opuściła wzrok na trzymany w dłoni prospekt, jeden z kilku przesłanych im przez Plantację Wyspy Aury wraz z zaproszeniem. Czytała je właściwie przez całą drogę, częściowo dlatego, by uniknąć choroby lokomocyjnej, a częściowo mając nadzieję - która jakoś nie mogła się spełnić - że wykrzesze z siebie iskierkę entuzjazmu na myśl o czekającym je weekendzie.

- „Dobrze prosperująca plantacja ryżu zatrudniająca ludność miejscową i Haitańczyków, neutralna w czasie wojny secesyjnej...”

- Nie, to nie to. Co było potem?

- „...pozostała własnością rodziny Craigów aż do tysiąc dziewięćset dwudziestego roku” - czytała Amelia, nie zwracając uwagi na protesty Peggy.

- „Z powodu kłopotów finansowych Craigowie musieli wówczas opuścić rodzinny dom. Część wyspy kupili od nich bogaci przemysłowcy, którzy zbudowali sobie luksusowe rezydencje po jej północnej stronie. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku niemal cała wyspa wykupiona została przez grupę inwestorów i przekształcona w luksusowy ośrodek wypoczynkowy. Dom na plantacji i otaczające go tereny znów jednak przeszły w ręce prywatnych właścicieli. Przywrócono im dawną świetność, plantacja istnieje nadal, a przy niej znajduje się luksusowy hotel. Pochodzące z dawnych czasów wyposażenie oraz szczególna troska o historyczne szczegóły z pewnością urozmaicą gościom wypoczynek na wyspie. Obudzi Państwa śpiew ptaków i zapach śniadania przyrządzanego na kuchniach, w których pali się drewnem. Radując oczy i serce pięknym widokiem rozciągającym się z tarasu każdego z dwunastu pokoi wypiją Państwo herbatę lub kawę z porcelanowych filiżanek Wedgwooda. Potem zaś będą Państwo mogli wybrać

się na przejażdżkę konną, spacer którąś z wielu leśnych ścieżek lub w podróż w przeszłość podczas zwiedzania plantacji. Niezależnie od tego, co Państwo wybiorą, z pewnością uznają wypoczynek na naszej wyspie za doskonały. Mamy nadzieję, że po pierwszej wizycie będziemy gościć Państwa co roku".

Amelia westchnęła, spojrzała na wąską, asfaltową drogę obrzeżoną bezkresnym lasem tak gęstym, że gałęzie ocierały się o samochód, i spytała:

- Jesteś najzupełniej pewna, że to będzie lepsze niż któryś z hoteli przy plaży?

- Za dwieście dolarów za dobę? Jasne, wracamy. Ty płacisz, czy ja?

- No cóż, jeśli porówna się pokój z widokiem na morze za dwieście dolarów...

- Dolicz posiłki i napiwki - wtrąciła Peggy.

- ...z darmowym weekendem na plantacji, grą w rozwiązanie zagadki kryminalnej oraz spotkaniem z ludźmi, których w ogóle nie znamy...

- ...decyzja z całą pewnością wypada na korzyść darmowego weekendu - stwierdziła Peggy.

- Ja na pewno wybrałabym pokój z widokiem na morze, gdybym tylko miała te dwieście dolarów - oznajmiła sucho Amelia.

- Daj spokój, Amy, będziemy się świetnie bawić.

- Peggy nacisnęła przycisk opuszczający szyby i do samochodu wtargnęło wilgotne powietrze. - Czujesz,

jak pachnie? Jesteśmy w rezerwacie przyrody, wiedziałś o tym? Wszystkie te tropikalne rośliny i te wielkie dęby są najzupełniej prawdziwe i...

- A bywają fałszywe? - Amelia skrzywiła się, próbując przygłodzić rozwichrzone przez pęd powietrza włosy. Peggy, która swe jasne loki związała w koński ogon doskonale chroniony przeciwsłonecznym daszkiem, nie zwracała uwagi na wiatr, lecz gęste włosy Amelii zbuntowały się zaraz po przekroczeniu granicy Południowej Karoliny i niezależnie od tego, jak bardzo starała się utrzymać je z dala od twarzy, zawsze przegrywała. - Proszę cię, włącz raczej klimatyzację.

Peggy podniosła szyby. Sprawiała wrażenie rozbaawionej.

- W każdym razie - Amelia poprawiła się na fotelu - mnie to miejsce wydaje się raczej straszne. - Popatrzyła na wielkie, poskręcane dęby i cyprysy porośnięte szarym mchem, gęste krzaki oraz grube pędy pnączy sprawiające, że las wydawał się niemal dżunglą. Rośliny zarastały prawie drogę i stwarzały klaustrofobiczną atmosferę, jakby natura, przeciwna inwazji świata zewnętrznego, starała się oprzeć jej wszelkimi sposobami. - Że nie wspomnę już o tych wszystkich pełzających obrzydlistwach, których musi tu być pełno.

- Jakich znowu obrzydlistwach?
- Wężach, aligatorach, robactwie...

Amelia aż otrząsnęła się z obrzydzenia, a Peggy roześmiała się głośno.

- Ależ ty jesteś marudna. Urodziłaś się opakowana w plastik, czy co?

- Jedno wiem - na plaży nie ma węży.

- Oczywiście z wyjątkiem tych dwunożnych. Daj spokój, Amy, rozejrzyj się tylko. - Peggy zatoczyła ręką krąg obejmujący rosnący wokół nich las. - Popatrz, jak tu pięknie! Prawdziwa natura! Wielka historia! Gdzie twój romantyzm! - Stropiła się i spojrzała na przyjaciółkę przepraszająco. - Wybacz - powiedziała. - Chciałam tylko powiedzieć, że...

Amelia uśmiechnęła się, choć jej uśmiech sprawiał wrażenie nieco wymuszonego.

- Na miłość boską, Peggy, nie traktuj mnie jak chorego dziecka. Już prawie zapomniałam o tym... jak on się właściwie nazywał?

Od sześciu tygodni powtarzała sobie codziennie te słowa i ciągle żyła nadzieją, że jakimś cudem, pewnego dnia, staną się one prawdą. W końcu była z Bobem tylko dwa lata, a liczyła ich sobie dwadzieścia dziewięć - znali się więc zaledwie przez niespełna dziesięć procent jej życia. Tylko że dwa lata, podczas których widziało się zawsze tę samą twarz, dwa lata, podczas których wspólnie pracowało się, jadło, śmiało i kłóciło, dwa lata, podczas których poznała wszystkie jego zwyczaje, wszystkie drobne dziwactwa, pozwoli-

ły mu wkraść się w każdy zakątek swego życia... Czowała, że trzeba będzie więcej niż sześciu tygodni, by o nich zapomnieć.

Nie chodzi o to, że nadal kocha Boba. Miłość umarła na długo przed zerwaniem. Rzecz w tym, że tak dobrze go znała, był jak nałóg, którego nie sposób rzucić. Amelia nie przepadała za zmianami, a teraz musiała poradzić sobie z dwiema - i to niebagatelny-  
mi - naraz: z utratą mężczyzny i utratą pracy.

Bob był sekretarzem redakcji „Lifestyles”, magazynu wychodzącego w Richmond, do którego pisała co miesiąc felieton o diecie i żywności. Przygoda z nim wydawała się najnaturalniejszą rzeczą na świecie - czymś niemal nie do uniknięcia. Dopiero po fakcie zrozumiała mądrość tkwiącą w starym powiedzeniu: nigdy nie umawiaj się na randki z szefem. Choć Bob po zerwaniu twierdził, że mogą nadal utrzymywać poprawne stosunki służbowe, nie była w stanie przyznać mu racji. Jeśli miała zerwać, chciała to zrobić do końca. Inaczej nie potrafiła. A to okazało się trudniejsze niż przypuszczała.

Kiedy z Plantacji Wyspy Aury przyszło adresowane do wybranych przedstawicieli przemysłu turystycznego i rozrywkowego zaproszenie na połączony z grą w rozwiązywanie zagadki kryminalnej bezpłatny weekend w otwierającym się właśnie luksusowym hotelu urządzonego w starym domu na plantacji, po-

stanowiła je zignorować. Nie pracowała już dla „Lifestyles” i nie widziała sensu w recenzowaniu restauracji dla własnej przyjemności. Peggy, właścicielka biura podróży, także otrzymała zaproszenie i to ona namówiła Amelię na tę wyprawę. „Możesz napisać artykuł - nalegała - i sprzedać go jakiemuś innemu pismu. A nawet jeśli nie chcesz już pracować jako dziennikarka, nie powinnaś lekceważyć kontaktów, jakie nawiązuje się przy podobnych okazjach. W dodatku wszystko masz za darmo i z pewnością przyda ci się taki wyjazd w nieznaną”. Amelia zgodziła się w końcu dla świętego spokoju.

To prawda, przydałyby się jej wakacje, ale w ładnym, cichym hotelu z dobrą obsługą, a nie w snobistycznej gospodzie sprzed wojny secesyjnej, gdzie na dodatek trzeba rozwiązywać fikcyjną zagadkę kryminalną.

- Nie mogłybyśmy przynajmniej podjechać i rzucić okiem na plażę? - spytała.

Peggy spojrzała na zegarek w stylu art deco zdobiący jej nadgarstek.

- Oczywiście. Mamy jeszcze godzinę czasu. Którędy mam jechać?

Amelia szybko rozłożyła prospekt, w którym znajdowała się także mapka wyspy.

- Skręć w lewo, w Nightingale Road. Powinnaś nią dojechać wprost do Seagrass Inn.



- Chyba nie zaszkodzi wiedzieć, gdzie tu się można zabawić. - Samochód skręcił w Nightingale Road.

- Gdybyśmy się nudziły.

- Baw się, jeśli chcesz. Mnie bardziej interesują dobre restauracje. Kto wie, czym nas uraczą na miejscu?

- Zaproсили kilku najlepszych specjalistów od tych spraw z południowego wschodu, włączając ciebie. Założę się, że podadzą same najlepsze rzeczy.

- Może i mają taki zamiar - prychnęła Amelia. - Ale z doświadczenia mogę ci powiedzieć, że jeśli coś ma się nie udać, wpadka zdarzy się właśnie w kuchni.

Według prospektu wyspa miała zaledwie osiem kilometrów długości, drogi zaprojektowano jednak tak, by nie naruszały krajobrazowych walorów lasu, więc na parking Seagrass Inn dotarły dopiero po piętnastu minutach poświęconych głównie pokonywaniu zakrętów. Pod ocieniającą wejście markizą stał portier.

- To dopiero prawdziwy luksus! - Amelia syciła oczy pięknym widokiem, podczas gdy Peggy objężdżała budynek hotelu.

Pobliska plaża była zdumiewająco pusta jak na piątek przed czwartym lipca, Świętem Niepodległości. Pewnie dlatego, pomyślała Amelia, że cztery okoliczne hotele wybudowano daleko od siebie. Dzieci pluśkały się w płytkiej wodzie, rodzice leżeli rozciągnięci na słońcu.

Amelia zdjęła okulary i z aprobatą skinęła głową.

- Ładnie tu - powiedziała. - Naprawdę bardzo ładnie.

Peggy jechała powoli biegnącą równolegle do plaży drogą.

- Myślę, że każdy z tych hoteli ma swój własny bar i restaurację - stwierdziła. - Zobacz, parkiet pod otwartym niebem! „Co wieczór bal!” Jeśli nie zaplanowano nam nic na dzisiaj, przyjedziemy tu po tańczyć.

Amelia uśmiechnęła się ironicznie. W trzy minuty po wejściu do jakiegokolwiek lokalu Peggy zawsze znajdowała partnera do tańca. W trzy minuty po wejściu do jakiegokolwiek lokalu ona sama była już gotowa do wyjścia.

Amelia na każdym kroku spodziewała się niepowodzenia. Aż do pierwszej klasy szkoły średniej była gruba i nieśmiała - jak sama przyznawała, oglądając stare fotografie - po prostu nijaka. Teraz figurę miała doskonałą, nauczyła się w pełni korzystać z walorów makijażu oraz odpowiedniego ubrania i choć miała też znacznie więcej pewności siebie niż przed dziewięciu laty, nadal, gdy patrzyła w lustro, widziała za szerokie usta, nieco zbyt piegowaty nos, oczy piwne, bez szczególnego blasku. Dawno temu pogodziła się z faktem, że nigdy nie będzie piękna, i zawsze była zaskoczona, gdy ktoś uznawał ją za atrakcyjną. W odróżnie-

niu od Peggy nigdy nie czuła się dobrze w większym gronie. Był to zaledwie jeden z powodów, dla których wolałaby spędzić weekend na plaży z dobrą książką w ręku, niż bawić się w rozwiązywanie tajemnicy morderstwa w towarzystwie kompletnie obcych ludzi.

Peggy zawróciła. Amelia rzuciła ostatnie spojrzenie na plażę. Przynajmniej, stwierdziła z radością, jeśli na tej plantacji nie da się wytrzymać, będę wiedziała, gdzie znaleźć odrobinę ciszy i spokoju.

- No dobrze. - Przyjaciółka przerwała jej rozmyślenia. - Widziałas plażę, a teraz wracaj do lektury.

Amelia niechętnie otworzyła prospekt i zaczęła znów czytać:

- „Wyspa Aury ma długą i bardzo interesującą historię. Opowieści o duchach, tajemniczych zniknięciach, pojawiających się dziwnych światłach i niezwykłych efektach magnetycznych wywołały wśród współczesnych parapsychologów dyskusje. Niektórzy doszli do wniosku, że wyspa może znajdować się w jednym z tych „szczególnych miejsc” na Ziemi - w centrum grawitacyjnym, w którym w określonych warunkach atmosferycznych zachodzą niezwykle zjawiska fizyczne”.

Poprawiła okulary i obrzuciła przyjaciółkę niezbyt przychylnym spojrzeniem.

- Wspaniale - powiedziała. - Kto jak kto, ale ty potrafisz znaleźć miejsce na spokojny weekend.

Peggy odpowiedziała jej uśmiechem.

- Jak powiedziała ta ich specjalistka od reklamy, niczego tu nie brakuje! No, dalej.

Po chwili szukania Amelia znalazła właściwe miejsce.

- „W historii plantacji wielokrotnie pojawiają się opowieści o ponurych tajemnicach i namiętnych romansach. Najbardziej znana jest zagadkowa historia śmierci Sama Calverta. Został on zastrzelony w zachodnim ogrodzie posiadłości wieczorem, czwartego lipca tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku. Motywem zabójstwa była najwyraźniej kradzież naszyjnika z brylantów i rubinów, należącego do macochy Calverta. Choć śledztwo nie przyniosło rozstrzygających wyników, zeznania naocznych świadków obciążęły Jeffreyego Craiga, najstarszego syna właściciela i spadkobiercę posiadłości. Craig uciekł, najprawdopodobniej na zachód Stanów, i ani on, ani naszyjnik nie zostały nigdy odnalezione”.

- A więc o to właśnie chodzi? - zastanawiała się Peggy. - Zbrodnia, której tajemnicę mamy rozwikłać?

- Nie widzę tu nic szczególnie tajemniczego - stwierdziła Amelia. - Przecież wiemy, kto zabił. Zaczekaj.. . Piszą tu, że dyskusja na temat winy Jeffreyego Craiga przez wiele lat była ulubioną rozrywką ludzi z tej części Południowej Karoliny i w końcu każdy, kto był tamtej nocy na terenie posiadłości, stał się

podejrzany. - Wzruszyła ramionami. - Jak widać, odpowiedź na pytanie „Kto zabił?” zależy wyłącznie od autora scenariusza.

- Ale musisz przyznać, że to całkiem sprytne: wykorzystać motyw autentycznego morderstwa jako podstawę do zabawy. Fajnie byłoby rozwiązać tę tajemnicę po tylu latach.

Amelia wcisnęła prospekt do torby.

- Po tylu latach? Kogo to jeszcze obchodzi? A poza tym moim zdaniem zabił właśnie Craig. W końcu tak zeznali naoczni świadkowie.

- Bywało już, że naoczni świadkowie się mylili. A poza tym najbardziej podejrzany z reguły nie jest winien. Inaczej nie byłoby zabawy.

Amelia nie powiedziała, choć cisnęło się jej to na usta, że cały ten weekend i tak nie zapowiada się szczególnie zabawnie. Jednak, skoro już tu dotarła, może przynajmniej próbować robić dobrą minę do złej gry. W każdym razie wie, jak trafić na plażę...

Nieduży drogowskaz z cedrowego drewna wskazywał drogę do plantacji. Samochód skręcił w gładką, asfaltową szosę, jeszcze węższą niż ta, którą jechały do tej pory. Po obu stronach rosły dostojne dęby i cyprysy, podszycie było wypielegnowane niczym w parku. Od czasu do czasu poprzez drzewa Amelii udawało się dostrzec uprawne pola i pastwiska. W pewnym momencie trąciła przyjaciółkę w ramię:

- Popatrz. Używają tu pługów ciągnionych przez muły!

- Pamiętaj, że to wierna kopia prawdziwej plantacji - przypomniała jej Peggy. - Jak Salem albo Williamsburg. No wiesz, historia na żywo.

- Ciekawe, czy korzystają tylko z własnych produktów? - myślała głośno Amelia. - O tym warto by napisać! Czy stosują metody organiczne czy nawozy sztuczne? „Z pola prosto na stół”. - Przeciągnęła w powietrzu dłonią, jakby podkreślała tytuł. - „Kolacja jak za dawnych lat!”

Peggy znów się uśmiechnęła.

- A niżej, mniejszym drukiem: „Czy nasi przodkowie rzeczywiście byli zdrowsi, czy tylko grubszy?” Czy wiesz, ile czasu minęło od chwili, gdy jadłam naprawdę dobrego pomidora? - Amelia usadowiła się wygodnie w fotelu. Na jej twarzy pojawił się wyraz błogości. - Może mimo wszystko nie będzie nam tu tak źle?

Zza zakrętu wyłonił się dom i Amelia podniosła głowę. Musiała przyznać, że jest piękny, choć niezbyt przypominał hollywoodzką wersję typowego południowego domostwa. Był bladeżółty, dwupiętrowy, dach miał z czerwonej dachówki, oba piętra otaczały balkony, a okna o szybach lśniących w promieniach wieczornego słońca sięgały od sufitu do podłogi. Balkony podparte były rzędami białych ko-

lumn, lecz dom wyglądał raczej przytulnie niż okaza-  
le. Przyjechała tu spodziewając się zobaczyć Tarę,  
a ujrzała dwór raczej w stylu Zachodnich Indii niż  
starego Południa.

Samochód zjechał z asfaltowej drogi na okrągły,  
zwirowany podjazd otoczony szmaragdowym trawni-  
kiem, oddzielonym od pól uprawnych drewnianym  
płotkiem.

- Lepiej patrz pod nogi - ostrzegła Amelia na wi-  
dok stada owiec, a potem roześmiała się widząc pa-  
wia, który wybiegł z za rogu domu. Najwyraźniej pro-  
spekt nie kłamał twierdząc, że zadbano o najdrobniej-  
sze szczegóły w odtworzeniu atmosfery dawnej plan-  
tacji.

Bardzo opalony, młody jasnowłosy mężczyzna  
w dziewiętnastowiecznym surducie podbiegł otwo-  
rzyć drzwi samochodu, gdy tylko Peggy zatrzymała  
się na podejździe.

- Witamy na Plantacji Wyspy Aury - powie-  
dział z uśmiechem. - Recepcja jest zaraz przy wej-  
ściu w holu głównym. Czy walizki pań są w бага-  
żniku?

- Powiedziano nam, że mamy nie zabierać ze sobą  
za wiele rzeczy - odparła Peggy, wręczając mu klu-  
czyki.

Mężczyzna odpowiedział jej uśmiechem.

- Słusznie, proszę pani. Hotel zapewnia kostiu-

my na weekend. Odprowadzę samochód do garażu. Nie będzie paniom potrzebny. A teraz życzę miłego pobytu.

- Czy nie czujesz się trochę dziwnie, kiedy chłopak podobny do tych, z którymi kiedyś umawiałaś się na randki, mówi do ciebie „proszę pani”? - spytała Peggy, kiedy młody człowiek usiadł za kierownicą i odjechał.

Amelia zachichotała.

- Wydają się coraz młodszy, prawda?

Podniosła okulary na czoło i rozejrzała się dokoła. Na niebie pojawiły się chmury, spomiędzy których prześwitywało gdzieś słońce. W jego promieniach zieleń trawnika wydawała się głębsza, a żółte, czerwone i pomarańczowe kwiaty, ze smakiem rozmieszczone w otaczających podjazd terakotowych donicach, bardziej jaskrawe. Mimo upału i nieznośnej niemal wilgotności powietrza w otoczeniu było coś uspokajającego, niemal usypiającego.

- Ładnie tu. - Peggy zarzuciła na ramię pasek płóciennej torby. - Przypomina mi trochę St. Thomas.

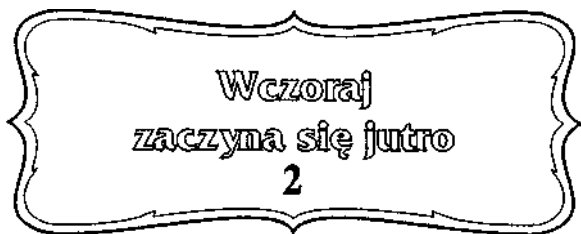
- Rzeczywiście - przyznała Amelia. - Lubię pawie. Straszny upał. Mam nadzieję, że zagadkę morderstwa będziemy rozwiązywały w klimatyzowanym domu.

- Zdaje się, że zaraz spadnie deszcz. Ochłodzi się.



Lubię burze na wyspach. - Z charakterystyczną dla siebie śmiałością Peggy ruszyła po schodach.

Amelia, lepka od potu, zazdroszcząc energii swej przyjaciółce, wygładziła pogniecione szorty i poszła za nią.



Wczoraj  
zaczyna się jutro  
2

Podwójne drzwi prowadziły do chłodnego, mrocznego holu wielkości niedużej sali balowej. Pod oknami i u stóp obu par krętych, wiodących na piętro schodów znajdowały się wazy pełne kwiatów. Stary, stojący zegar odliczał minuty powolnym ruchem mosiężnego wahadła. Tuż przy wejściu umieszczono na sztalugach czarną tablicę, na której każdego dnia miano zapisywać proponowane przez hotel atrakcje. Był to jedyny współczesny element w tym wnętrzu, doskonale oddającym charakter minionej epoki. Wbrew samej sobie, Amelia poczuła zachwyt.

Przy schodach po lewej stronie stała grupka pogrążonych w rozmowie gości; w pobliżu kręcił się ubrany na biało kelner z tacą drinków. Gdy Amelia i Peggy wchodziły do środka, na ich powitanie wyszła z wyciągniętą ręką wysoka kobieta o krótkich, siwych włosach.

- Panna Brewer i panna Langston, oczywiście - przywitała je ciepło. - Niemal już straciliśmy nadzieję, że panie przyjadą. Chyba nie zabłądziłyście?

Peggy wyjaśniła, że postanowiły obejrzeć wyspę, Amelia zaś przyznała kierownictwu punkty za troskę o gości. Oczywiście, łatwo jest troszczyć się o wybraną grupkę osób, które - wyrażając drukiem lub ustnie swą opinię - mogły walnie przyczynić się do sukcesu lub klęski nowego hotelu.

- Bardzo się cieszę - powiedziała z uśmiechem wysoka kobieta - że dotarły tu panie bez problemu. Nazywam się Karen Striker, będę się wami opiekowała w ciągu tego weekendu. Proszę zarejestrować się w recepcji. Reszta gości przyjechała wcześniej.

Rejestracja polegała na odznaczeniu nazwisk na liście i odebraniu folderów, w których, jak zapowiedziała Karen, goście znajdą informacje o tym, co zaplanowano na weekend, oraz opis ról, jakie Peggy i Amelia miały zagrać. Gospodyni wręczyła im też dwie mniejsze koperty, z których każda zawierała klucz do pokoju oraz plan hotelu i jego okolic. Przypomniała również, że nagrodą za rozwiązanie zagadki jest wielka butla szampana, dwieście dolarów w gotówce i mnóstwo kuponów upoważniających do zakupów w sklepach na wyspie.

- Przecież już wiemy, kto to zrobił - zdziwiła się Amelia. - Jeffrey Craig.

Oczy Karen rozbłąsły.

- Doprawdy? Nigdy go nie złapano, nie znaleziono także broni, z której strzelano. Przygotowaliśmy, pan-

no Langston, kilka niespodzianek, więc radzę zachować czujność.

Poprowadziła je w kierunku schodów, u stóp których gruby, siwowłosy mężczyzna dyskutował na temat cen nieruchomości z dwiema kobietami w średnim wieku, wyglądającymi tak, jakby marzyły wyłącznie o zdjęciu pantofli na wysokich obcasach.

- Jesteśmy bardzo dumni z przeprowadzonych tu prac konserwatorskich - powiedziała Karen. - Dom wygląda niemal dokładnie tak, jak w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku... Och, oczywiście, wszystkie pokoje mają teraz łazienki, a pokoje dla służby na drugim piętrze przerobiliśmy na apartamenty, lecz dokonaliśmy tego nie naruszając architektonicznej integralności budynku i nie zmieniając jego fasady. I, oczywiście, z wielkim pietyzmem odnosimy się do tych zabytków, które odkryliśmy podczas prac konserwatorskich. Na przykład, jedna z cegieł komina w zachodnim skrzydle domu jest uszkodzona - podobno przez kulę, która zabiła Sama Calverta. Proszę ją sobie obejrzeć, kiedy wybiorą się panie na spacer po ogrodzie. - Rzuciła im przez ramię krótki uśmiech. - Być może odrobina detektywistycznych poszukiwań w terenie pomoże rozwiązać zagadkę.

Choć było to najwyraźniej przygotowane wcześniej okolicznościowe wprowadzenie, Karen wygłosiła je tak ciepło i z takim zapałem, że zdołała poruszyć na-

wet Amelię, która - wskazując na oprawione w cenne ramy obrazy wiszące w górnej części obu klatek schodowych - spytała:

- Czy to portrety Craigów?

- Oczywiście. Niestety, nasz zbiór nie jest kompletny. W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, gdy ten dom został zamknięty, większość dzieł sztuki wyniesiono na strych, nie zachowując, jeśli wolno mi zauważyć, odpowiednich środków ostrożności. Pogoda i gryzonie zrobiły swoje. To, co ocalało, daje jednak wystarczający obraz stanu posiadania z tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku. Z jednym ważnym wyjątkiem. - Karen zatrzymała się i gestem wskazała sąsiednie schody. - Trzeci portret po tamtej stronie przedstawia Marthę Craig, matkę Jeffreya Craiga. Został namalowany dopiero w tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym roku, lecz szczęście się do nas uśmiechnęło. Zdobyliśmy go i naszym zdaniem zasługuje na to, żeby znaleźć się wśród innych. A skoro mówimy o pani Craig, to właśnie ona zaprojektowała ogrody w takim kształcie, jaki mają obecnie. Niektórzy uważają je za najpiękniejsze ogrody na południowym wschodzie Stanów, co jest wielkim komplementem wzięwszy pod uwagę, jak wspaniałą mają konkurencję. Ogrody takie jak ten w owym czasie należały na Południu do rzadkości, bo na plantacji każdy kawałek ziemi musiał być wykorzystany z po-

żytkiem. Lecz Martha Craig powiedziała podobno: „Jedyna różnica między barbarzyństwem a cywilizacją to ogrody”. Mam nadzieję, że znajdą panie czas, żeby właściwie ocenić rezultat jej wysiłków.

Peggy chciała wiedzieć, jak długo Karen pracuje na plantacji. Z odpowiedzi wynikało, że jest ona daleką krewną Craigów. Brała udział w pracach konserwatorskich. Po ich ukończeniu zatrudniono ją jako specjalistkę od reklamy, a także do opieki nad gośćmi podczas specjalnych uroczystości. W trakcie tych wyjaśnień Amelia podziwiała wspaniały widok, który z okien pierwszego piętra rozciągał się na przepięknie zaprojektowany ogród pełen pięknych kwiatów. Za nim widać było długi, niski budynek o oknach zasłoniętych okiennicami. Przypominał staroświeckie przebiegalnie, lecz w pobliżu nie dostrzegła basenu. Właśnie miała o niego zapytać, kiedy przewodniczka zatrzymała się i otworzyła drzwi.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła. - To jeden z pokoiów należących do rodziny. Zdaje się, że mieszkała w nim najstarsza siostra Jeffreya. Kostiumy już na panie czekają. Znajdą tu panie wszystko, czego mogą potrzebować.

Peggy i Amelia wymieniły zaskoczone, radosne spojrzenia. Ich pokój był olbrzymi, wysoki na co najmniej cztery metry, z lśniącym, mahoniowym parkietem. Drzwi balkonowe osłonięte były koronkowymi

firankami, z dwu łóżek z baldachimami zwieszały się delikatne jak mgiełka moskitiery. Tapety na ścianach miały delikatny wzór w kolorze wiosennej zieleni, na łóżkach zaś leżały białe, szydełkowe narzuty. Pod ścianami stały dwie szafy. Była tu także ozdobna gotowalnia oraz marmurowy kominek z parawanem haftowanym w małe różyczki. Wszystko to było bardzo eleganckie i romantyczne i przekraczało wszelkie oczekiwania Amelii, która westchnąwszy głęboko z trudem powstrzymała bardzo nieeleganckie: „O rany!”

Widząc ich reakcję, Karen uśmiechnęła się i dotknęła kontaktu w ścianie, włączającego dwa kinkiety przemyślnie stylizowane na lampy gazowe.

- Mam nadzieję, że będzie tu paniom wygodnie - stwierdziła. Podeszła do aksamitnego sznura zwieszającego się pomiędzy łóżkami i dotknęła go lekko.

- Gdyby panie czegoś potrzebowały, wystarczy zadzwonić. Mamy tu dobry system wewnętrznej łączności. A teraz... - Karen spojrzała na zegarek - ...o szóstej w ogrodzie różanym odbędzie się koktajl połączonej z informacją o przewidzianych na weekend atrakcjach. Z pewnością zdam się panie rozgościć i przebrać w kostiumy.

Karen ruszyła w kierunku drzwi, a potem odwróciła się z błyskiem w oczach.

- Och, omal nie zapomniałam uprzedzić, że do

odegrania niektórych głównych ról zaangażowaliśmy aktorów. Jesteśmy zmuszeni prosić, żeby zachowały panie swą tożsamość w sekrecie aż do chwili rozwiązania zagadki morderstwa. Gdyby ktoś potrafił odróżnić aktora od gościa, miałyby ułatwione zadanie, prawda?

Otworzyła drzwi i pomachała im przyjaźnie dłonią.

- Proszę pamiętać - dodała wychodząc - że jeśli będą panie czegoś potrzebować, wystarczy zadzwonić.

Kiedy zamknęła drzwi, Amelia wykrztusiła wreszcie:

- O rany!

Nie była w stanie dłużej ukryć zachwytu.

- Dzwonek na służbę, możesz to sobie wyobrazić? Ciekawe, czy przyślą pokojówkę, żeby nam zasznurowała gorset! Tylko przyjrzyj się tym meblom! Musiały kosztować fortunę! Nie wierzę, żeby w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku kogokolwiek stać było na takie życie!

- A czemu nie? Jeśli masz własną wyspę, możesz żyć, jak ci się podoba. - Peggy przeszła przez pokój i zajrzała do łazienki. - Amy, chodź tu! Zobacz, jaka wielka! - Peggy wyszła z łazienki z szerokim uśmiechem. - To jedna z tych chwil, kiedy cieszę się, że nie posłuchałam matki i nie zostałam dentystką. W mojej pracy trafiają się wspaniałe okazje, a dentyści za dar-



mo mają tylko protezy. Przestałaś się wreszcie martwić, że nie mieszkasz w pseudokaraibskim pokoiku w jakimś hotelu, podobnym do mnóstwa innych amerykańskich hoteli pełnych pseudokaraibskich pokojków?

- No, nie jestem pewna. - Amelia dotknęła jedwabistej moskitiery, starając się ukryć uśmiech. - Nie ma tu telewizora. - Rozejrzała się. - I telefonu.

- Boże, jesteś niemożliwa! - Peggy padła na łóżko, dramatycznym gestem chwytając się za głowę. - Wiesz, na czym polega twój problem? Nie lubisz przygód. Kochasz wyłącznie rutynę, zmiany nie docenisz, nawet gdyby była najkorzystniejsza. Śniadanie o ósmej, kolacja o szóstej. Wystarczy, że nie obejrzysz jednego odcinka z kolejnej powtórki „Star Treku” i masz zepsuty cały tydzień.

- Ale ja lubię „Star Trek” - zaprotestowała Amelia. - Jest bardzo pouczający! - Lecz powinna raczej użyć słowa „pocieszający”.

Peggy miała rację: Amelia dobrze czuła się tylko wśród ludzi i rzeczy, które znała. Lubiła rutynę, układała sobie życie wokół tego, na co mogła liczyć, nie odczuwała potrzeby zmian. Mrożone dania z supermarketu nigdy jej nie zawiodły, kapitan Kirk, dowódca statku kosmicznego „USS Enterprise” z serialu „Star Trek”, zawsze miał w rękawie asa, dzięki któremu jego załodze udawało się w końcu zwyciężyć.

Wiadomości o szóstej, film o jedenastej, tak mijało jej życie. A kiedy rzucił ją przyjaciel, kiedy jej kariera legła w gruzach, z przyjemnością myślała, że jednak nie wszystko się zmieniło. Cieszyła ją ta odrobina życiowej stabilizacji, jaka jej została. Co w tym złego?

Otrząsając się ze smutku, który pojawił się tak nagle, odwróciła się w kierunku okna.

- To rzeczywiście ładny pokój - przyznała. - I widok piękny. Jak myślisz, co to za budynek? Ten, który wygląda trochę jak przebieralnia przy basenie?

Peggy usiadła.

- Wiesz - powiedziała poważnie - jeśli tylko dasz losowi szansę, ten weekend może się okazać najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła ci się w życiu. Potrzebujesz takiego oderwania od codzienności; okazji, żeby przyjrzeć się swojemu życiu z dystansu. Musisz przestać tyle myśleć... No, wiesz, o co mi chodzi.

Amelia uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Tak, chyba masz rację. Nie jestem ostatnio zbyt interesującym towarzyszem, prawda?

Peggy wzruszyła ramionami.

- Twoje prawo. Ale spróbuj się odprężyć na te kilka dni, dobrze? Spotkaj się z nowym ludźmi, baw się, kiedy inni się bawią.

- Cóż - stwierdziła wreszcie Amelia. - Jak się powiedziało „a”, trzeba chyba powiedzieć „b”. Jesteśmy

tu, bez telewizora i bez telefonu... więc pozostaje nam tylko dobrze się bawić. - Albo, dodała w myślach, udawać dobrą zabawę.

- To mi się podoba! - zawołała Peggy.

Amelia usiadła na krawędzi łóżka i otworzyła folder, który wręczyła jej Karen.

- Mimo wszystko - ostrzegła - jeśli zaczniesz się tu dziać coś dziwnego, nie będziesz na mnie wściekła, gdy ucieknę na plażę?

Peggy uśmiechnęła się szeroko.

- A jeśli ja znajdę tego szalenie przystojnego parkingowego, nie wściekniesz się chyba, gdy nie wrócę na noc do pokoju?

- Przecież to jeszcze dzieciak!

- Jeśli jest taki dobry, na jakiego wygląda, mogę nie wrócić do pokoju przez cały weekend!

Amelia jęknęła.

- Pamiętam Arubę - stwierdziła. W tej podróży Peggy poznała pewnego krupiera i Amelia widziała ją przez cały tydzień tylko dwukrotnie - raz, kiedy meldowały się w hotelu, i drugi raz, kiedy się z niego wymeldowywały. To właśnie był jeden z powodów, dla których lubiła podróżować z przyjaciółką - mogła robić, co chciała i nikt się nie wtrącał.

- Więc kim masz być? - spytała Peggy, otwierając swój folder.

Wśród wielu kartek z różnymi informacjami Ame-

lia znalazła wreszcie jedną z napisem: „Zostałaś wyznaczona do roli...” Skrzywiła się i powiedziała głośno:

- Tajemniczej nieznajomej! Wspaniale. Nie mam nawet imienia. Chyba jednak mieli mniej ról niż zaproszonych gości. - Wzruszyła ramionami i odłożyła karteczkę na miejsce. - Przynajmniej nie będę miała kłopotów. Nie muszę nic robić.

- No, bo ja wiem? We wszystkich kryminałach, jakie udało mi się przeczytać, winny był zawsze tajemniczy nieznajomy - powiedziała Peggy. - A co dla mnie przewidziano? - Podniosła kartkę z wyrazem triumfu na twarzy. - No proszę, masz przed sobą nową, lepszą wersję panny Abigail Craig, siostry podejrzanego i bez wątpienia ważnej osoby w mającym się rozegrać dramacie.

- Jak to się stało, że ty weszłaś do rodziny, a ja nawet nie mam nazwiska?

- Szczęśliwy przypadek, kochanie. - Peggy wstała z łóżka i podeszła do szaf. - Obejrzyjmy nasze kostiumy - zaproponowała.

Z wyjątkiem dwóch rzeczywiście przepięknych sukni balowych - jednej z brzoskwiniowej tafty, drugiej z zielonego jedwabiu - kostiumy okazały się nieco mdłe. Zwykła bawełna, gruby muślin w proste wzory i hafty, wysokie kołnierze, długie rękawy. Amelia skrzywiła się.

- W sam raz dla mojej babci - stwierdziła.

Peggy spojrzała na nią krytycznie i Amelia uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Przypuszczam, że nie przypadkiem wybrali właśnie coś takiego. A teraz, skąd mamy wiedzieć, który kostium jest czyj?

- Sprawdzimy, co na kogo pasuje. Podałyśmy im nasze wymiary, pamiętasz? Ciekawe, w co mamy się ubrać na kolację? - Peggy przyjrzała się zielonej jedwabnej sukni.

- To chyba na bal w sobotni wieczór. Tylko popatrz! - Z dolnej półki szafy Amelia wyciągnęła coś przypominającego jakby złożone koło pokryte muslinem. - Nie wiedziałam, że w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku nosiło się jeszcze krynoliny!

- To nie krynolina. To tiurniura. - Peggy przyłożyła wzmocnioną fiszbinem poduszeczkę do talii i zachichotała. - Aż trudno sobie wyobrazić, że nasze prababie chciały mieć takie wystające tyłeczki! Ale spójrz tylko na te małe, śliczne pantofelki! Pomyśl, ile te kostiumy kosztowały! Och, będziemy się tu świetnie bawić! - Zdjęła z wieszaka halkę, żółtobrazową suknię, wzięła pantofle i ruszyła w kierunku łazienki. - Mam zamiar wziąć prysznic, a potem się przebiorę. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, jak w tym wyglądam!

Jedyną rzeczą, która denerwowała Amelię podczas

wypraw z Peggy było to, że uwielbiała przesiadywać w łazience. Kiedy wreszcie z niej wyszła narzekając, że nie może dosięgnąć guzików na plecach i upinając włosy, było już za piętnaście szósta. W końcu Amelia postanowiła zaczekać z prysznicem do wieczora.

Podczas gdy Peggy wojowała przed lustrem z lokówką, próbując ułożyć włosy w jakąś stylową fryzurę, zapamiętaną z filmów kostiumowych w telewizji, Amelia zaczęła się ubierać. Wybrała białą bawełnianą suknię ozdobioną wzorem w pączki róż; suknia ta wyglądała na niej o wiele lepiej niż na wieszaku. Spódnica wydawała się pełniejsza i znacznie bardziej elegancka niż zwięzające się u dołu spódnice kojarzone zazwyczaj z tiurniurami - miała niejasne wrażenie, że zaczęto nosić je nieco później, pod koniec wieku - a z tyłu układała się tak doskonale, że Amelia, mimo obaw, wcale nie wyglądała w niej śmiesznie. Długi stanik zapinany był z przodu, ozdabiała go bawełniana koronka wokół dekoltu i bufiaste rękawy trzy czwarte. W łokciu materiał zebrany był wplecioną różową wstążką, tworząc u dołu rękawa falbanę. Kiedy Amelia próbowała ułożyć lewy rękaw, wstążka została jej w ręku.

- Och, tylko nie to! - zawołała zrozpaczona. - Masz agrafkę?

- Może powinnaś wziąć inną suknię? - Peggy zerknęła na zegarek. - Już szósta.

- Szybciej będzie poprawić tę. - Amelia zaczęła odpinać stanik, a Peggy szukała w torebce agrafki. Kiedy zobaczyła, jak jej przyjaciółka, w białej bawełnianej koszulce, przerzuca włosy przez ramię i siada na łożu, a fałdy długiej spódnicy podkreślają jej smukłą talię, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Wyglądasz zupełnie tak, jakbyś wyszła ze starego obrazu. „Dziewczyna przy szyciu”. Zawsze mówiłam, że gdzieś, głęboko, jest w tobie coś z prawdziwej, południowej piękności. A ja? Jak wyglądam?

Pod okiem Amelii Peggy wykreśliła piruet, ukazując więcej halki i znacznie więcej łydki niż jakakolwiek szanująca się, dziewiętnastowieczna dama.

- Lepiej zdejmij zegarek.

- Och, zapomniałam! - Peggy przyjrzała się swemu dużemu zegarkowi z czarnym paskiem i zachichotała.

- Rzeczywiście, psuje cały efekt. Długo jeszcze będziesz się z tym grzebać?

Amelia wpięła agrafkę we wstążkę i mrużąc oczy przewlekła ją przez otworki w rękawie.

- Może lepiej idź beze mnie - zaproponowała.

- Jedna z nas powinna tam być od początku, na wypadek gdyby mówili coś ważnego.

- Nie chcę cię tak zostawiać...

- Nie martw się, zaraz cię dogonię.

- Zobaczymy się w ogrodzie różanym, dobrze?

Nie będziesz się tu grzebać?

- Muszę tylko poprawić włosy.
- No to w porządku. Do zobaczenia na dole.

Kiedy za Peggy zamknęły się drzwi, Amelia westchnęła z ulgą. Wcale jej się nie spieszyło do zejścia na dół. Jeśli będzie miała szczęście, zabawa rozkręci się bez jej udziału i kiedy pojawi się na koktajlu, najspokojniej wtopi się w tło.

Skończyła przewlekać wstążkę, mocno ją związała i włożyła na siebie stanik. Zapinała guziczki przed umieszczonym na toalecie lustrem, zdumiona widokiem, który w nim ujrzała. Trzeba było oddać sprawiedliwość dziewiętnastowiecznej modzie: choć niewygodna, choć gorąca i ciężka, pięknie podkreślała kobiecą sylwetkę. W sukni tego kroju Amelia miała talię tak wąziutką, że niemal nie istniejącą, a skromny dekolt, kończący się tuż poniżej obojczyków, sprawiał, że nawet najzwyczajniejszy biust prezentował się niezwykle atrakcyjnie. Wstążki zwisające z rękawa wyglądały szalenie romantycznie. Amelia zaaprobowała swój wygląd potakującym skinieniem głowy, po czym zajęła się fryzurą.

Nie miała zamiaru odbyć podobnie długiej sesji z lokówką jak Peggy, więc po prostu rozdzieliła włosy pośrodku i odgarnawszy do tyłu, spięła na bokach. Następnie związała na nich różową wstążkę, której końce opadały na kark. To uczesanie pasowało do jej szczupłej twarzy; aż zdumiała się widząc, jak stylowo



wygląda. Peggy miała rację - mogła pozować portretu jakiejś młodej kobiety z tej epoki.

Po chwili wahania zdjęła zegarek i agraftką przypięła go wewnątrz stanika tak, że był całkowicie niewidoczny. Nosiła rolexa, którego dostała w prezencie od babci. Była to jedyna cenna biżuteria, jaką posiadała, i nie chciała zostawiać go w pokoju. Nie zdjęła także naszyjnika - złotego łańcuszka z wiszącą na nim literką „A”, urodzinowego prezentu od matki - kryjąc go za dekoltem. Ostatni raz zerknęła do lustra i wyszła z pokoju.

W połowie schodów uświadomiła sobie, że nie wzięła ani klucza, ani szkicu plantacji. A niech to licho, pomyślała, ale oczywiście trudno było pamiętać o takich drobiazgach, kiedy nie nosiło się torebki. Teraz już było za późno, by wracać. Miała tylko nadzieję, że Peggy pamiętała o swym kluczu - jeśli nie, szybko będą miały okazję przekonać się, jak skutecznie pracownicy plantacji potrafią się zaopiekować gośćmi.

W holu było pusto, więc Amelia nie miała kogo spytać, dokąd powinna się teraz udać. Rozejrzała się niepewnie, po czym skierowała się do drzwi frontowych.

Niebo zdecydowanie pociemniało, powietrze było gorące, nieruchome. Czuła, że włosy już zaczynają się jej kręcić. Skręciła w lewo i szła wzdłuż ściany bu-

dynku. Nieco dalej znalazła żwirową ścieżkę oddalającą się od hotelu i prowadzącą w stronę ściany wysokich, przyciętych, iglastych krzewów wyglądających tak, jakby mogły otaczać ogród. Miała wrażenie, że słyszy dobiegające stamtąd głosy, więc poszła w tym kierunku.

Gdy znalazła się za żywopłotem niskich świerków, uświadomiła sobie nagle, że nic nie słyszy. Rzeczywiście, była w ogrodzie. Krzewy tworzyły półkole, w którego środku znajdowała się fontanna otoczona różowymi i żółtymi orlikami. Nie opodal rosła wierzba, pod którą ustawiono dwie białe ławeczki z kutego żelaza, a w pobliżu dostrzegła jeszcze wyłożone płaskimi kamieniami i osłonięte drewnianym daszkiem patio. Urocze miejsce, ciche, odizolowane od świata, w sam raz dla kogoś, kto marzy o romantycznej randce lub pragnie pozostać wyłącznie w towarzystwie swych myśli. Ale najwyraźniej trafiła nie do tego ogrodu!

Rozejrzała się. Po prawej stronie widziała dach domu, po lewej, przez szczelinę w świerkach, jakiś budynek. Pamiętała, że dom ma dwa skrzydła, a więc, jeśli utrzyma dotychczasowy kierunek, powinna go w końcu okrążyć. Taką przynajmniej miała nadzieję.

W pewnej chwili zobaczyła komin. Powodowana impulsem podeszła bliżej, pochyliła się i przeciągnęła palcami po wygładzonych przez czas cegłach, aż wre-

szcie znalazła to, czego szukała: głęboką bruzdę mniej więcej na wysokości ramienia.

- No, no - szepnęła do siebie. - Ślad po tej kuli!  
- I, choć nie była osobą szczególnie przesadną, zdrząła. Tu, dokładnie w miejscu, gdzie teraz stała, zamordowano człowieka. W tę ziemię wsiąkła jego krew. A gdyby stała cicho, gdyby tylko zaczekała wystarczająco długo, mogłaby usłyszeć echo rozdzierającego nocną ciszę wystrzału. O...!

Dopiero po chwili zorientowała się, że w rzeczywistości usłyszała echo dalekiego grzmotu. Z obawą spojrzała w niebo - było ciemne, pełne groźnych, burzowych chmur. Nic dziwnego, że się przestraszyła. Taka pogoda każdemu podziałałaby na nerwy.

Wreszcie jednak dowiedziała się przynajmniej, gdzie się znalazła: w zachodnim ogrodzie. Uniosła spódnicę i pospieszyła przed siebie, nasłuchując głosów, które mogłyby jej wskazać, gdzie zgromadzili się ludzie. Kręta żwirowa dróżka rozwidłała się, a nagły powiew wiatru przyniósł dźwięk kobiecego śmiechu. Amelia miała wrażenie, że dobiegł z prawej strony, więc skręciła w prawo. W powietrzu unosił się ciężki zapach magnolii, wielkie drzewo przesłoniło jej widok domu. Niebo stawało się coraz ciemniejsze. Amelia przyspieszyła kroku. Dokoła widziała efektowne, owalne rabaty obsadzone czerwonymi i różowymi begoniami; ich kwiaty drżały w gwałtownych, silnych

podmuchach wiatru, który wyraźnie zapowiadał deszcz.

- To śmieszne - mruknęła do siebie. Nim znajdzie ogród, jeśli kiedykolwiek go znajdzie, wszyscy z pewnością przeniosą się już do hotelu. Najlepiej zrobi, jeśli wróci do domu, zanim przemoknie do suchej nitki.

Stanąła i obejrzała się nie wiedząc, gdzie właściwie jest. W tym momencie niebo przecięła błyskawica. Zapowiadało się, że burza będzie bardzo gwałtowna. Nie miała zamiaru dać się jej zaskoczyć.

Przed sobą zobaczyła fragment trawnika, pośrodku którego stał zegar słoneczny. Poszła w jego stronę z nadzieją, że z tamtego miejsca dojrzy dom i najkrótszą prowadzącą doń drogę.

Nim jednak dotarła do trawnika, mrok był już tak gęsty, że z trudem widziała zarys ścieżki. Wichur miotał gałęziami drzew, szarpał jej suknię, niebo zaś przybrało dziwny, żółtozielony odcień. Amelia pomyślała: „Może tak właśnie zaczyna się huragan?”

Idąc w kierunku zegara obejrzała się i przez szarpane silnym wiatrem gałęzie rozpaczliwie próbowała dostrzec choćby zarysy domu. W powietrzu niemal wyczuwało się zapach błyskawic. Było tak naelektryzowane, że wręcz paliło skórę. Amelia potarła ramiona dłońmi i zrobiła jeszcze jeden krok.

Nagle wiatr poderwał jej spódnicę aż do pasa.

Krzyknęła, zachwiała się, zrobiła niepewny krok wstecz. Zmagiała się z nieposłuszną suknią, próbując ją obciągnąć, lecz materiał przywierał jej do dłoni jak namagnetyzowany. Czuła wokół siebie wyładowania elektryczne, włoski na rękach stanęły jej dęba. Omal nie wpadła w panikę, kiedy uświadomiła sobie, co jej grozi. Słyszała kiedyś, że ludzie czują dokładnie to samo, co ona teraz, na chwilę przed porażeniem piorunem.

Ze zdławionym okrzykiem postąpiła krok w kierunku zegara. Chciała jak najbardziej oddalić się od drzew, mogących działać jak piorunochrony. Powietrze zrobiło się nagle gęste jak syrop, było gorące, suche, aż trzeszczące od ładunków elektrycznych. Nie mogła iść - miała wrażenie, że z każdym krokiem walczy z jakąś niewidzialną siłą. Spódnica kleiła się jej do nóg, hamując ruchy. Choć widziała, jak wiatr targa liśćmi, ukazując to ich ciemnozielony wierzch, to biały spód, nie czuła go. To nie była zwykła burza!

Nie słyszała nic - ani ryku wichury, ani szelestu liści - nic oprócz niskiego pomruku, przypominającego dźwięk wydawany przez potężny transformator. Boże, pomyślała rozglądając się wokół, wielki Boże...

Na skórze rąk i nóg czuła bolesne ukłucia, jakby pełzały po niej tysiące mrówek. Serce waliło jej jak

młotem, w gardle zaschło, odsuwała się tylko coraz dalej i dalej od drzew pewna, że za chwilę porazi ją piorun. Im bardziej zbliżała się jednak do zegara, tym silniejsze stawały się te dziwne wrażenia.

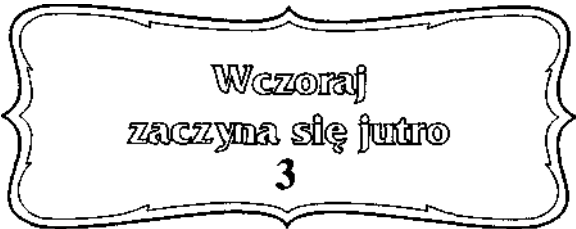
Nagle poczuła, jak coś szarpie ją za włosy. Podniosła ręce do głowy i w tej samej chwili dostrzegła z przerażeniem, jak spinki wylatują jej z włosów niczym strzały, by przylepić się do tarczy kamiennego zegara. Dopiero wtedy zrozumiała. Nie wierzyła własnym oczom, ale zrozumiała. Zegar - jakimś cudem - był namagnesowany. Oto jedno z tych „dziwnych miejsc”, o których wspominał prospekt... Tak, bez wątpienia. Trafiła w sam jego środek.

- O... mój... Boże... - Jej głos zadźwięczał słabo, cichutko. Zrobiła jeszcze jeden krok w kierunku zegara i wtedy rozpuszczone włosy znów zaczęły powiewać jej wokół twarzy, a spódnica opadła luźno. Poczuła dziwną euforię, cudowne podniecenie, i zrobiła jeszcze jeden krok przed siebie. Musi wszystkim powiedzieć, co się tu dzieje. Ktoś jeszcze powinien to zobaczyć. Natychmiast, bo zaraz wszystko się skończy.

- Hej! Niech ktoś tu przyjdzie! - krzyknęła. - Nie uwierzycie własnym oczom!

Niemal nie usłyszała własnego głosu w przenikliwym szumie, od którego aż dzwoniło powietrze. Odwróciła się i zaczęła biec, lecz na śmierć zapomniała

o długiej sukni. Przydeptała ją czubkiem buta, straciła równowagę, wyciągnęła rękę, by oprzeć się o zegar i nagle głowę przeszył jej straszny ból. Poczowała, że upada, że ogarniają ją mdłości, a potem spowiła ją lodowata ciemność.



Wczoraj  
zaczyna się jutro  
3

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała zamazany obraz męskiej twarzy: zielone oczy, pokryte delikatnym cieniem zarostu policzki, fala kruczoczarnych włosów. Usłyszała dobiegający z daleka cichy, kojący głos:

- Już dobrze. Proszę głęboko oddychać. Wszystko będzie dobrze.

Posłuszna zdecydowanemu, choć łagodnemu głosowi, kilkakrotnie wciągnęła powietrze w płuca. Oszołomienie powoli mijało, pozostawiając po sobie tylko drzenie mięśni i lekki ból głowy.

Pochylał się nad nią mężczyzna; widziała już jego twarz w kolorze miedzi, takim, jaki przybiera śniada cera zbyt często wystawiana na działanie słońca. Mężczyzna miał zdecydowanie zarysowaną szczękę, a kiedy się uśmiechał - tak jak teraz - w kącikach jego ust i kącików oczu pojawiały się delikatne zmarszczki. Dostrzegła to wyraźnie, jasno, choć nie widziała nic więcej. Leżała na ziemi, tego była pewna, lecz nie wyczuwała pod sobą trawy, nie dostrzegała nieba. Nie potrafiła uświadomić sobie, jak się tu znalazła, nie



pamiętała, dlaczego czuje się tak źle, tak słabo. Mogła jedynie wpatrywać się w pochyloną nad sobą twarz i zastanawiać się, dlaczego właściwie ktoś tak nieprawdopodobnie przystojny klęczy na ziemi i klepie ją po dłoni.

- Jak się pani czuje? - spytał łagodnie mężczyzna.

- Lepiej?

Amelia jęknęła. Spróbowała usiąść, poczuła falę mdłości i natychmiast opadła na ziemię.

- Nie - wyszeptała słabo. - Czuję się okropnie.

- Wszystko będzie dobrze. Proszę się nie ruszać.

- Odwrócił głowę. - Mamo!

Słyszając jego donośny głos, mocno zacisnęła powieki. Kiedy znów je otworzyła, nadal był przy niej, obiema dłońmi ściskając jej przegub. Z wysiłkiem cofnęła rękę.

- Co się stało? - jęknęła.

- Myślałem, że pani mi to wyjaśni. - Mężczyzna przykucnął, opierając dłonie na udach. Przyglądał się jej z mieszaniną sympatii i rozbawienia. - Wyszedłem zza rogu i nagle zobaczyłem, że leży pani koło zegara. Wybacz pani, ale był to widok całkiem nieoczekiwany.

Nagle Amelia przypomniała sobie burzę i to, jak dziwnie spinki wyskoczyły jej z włosów. Przypomniała sobie, jak biegła, by opowiedzieć wszystkim, co się jej zdarzyło i jak upadła.

- Och, jakież to żenujące - wyszeptała. - Nade-  
pnęłam na suknię, potknęłam się i pewnie uderzyłam  
się w głowę. - Ostrożnie dotknęła czoła i oczywiście  
wyczuła guz, formujący się tuż poniżej linii włosów.

Skrzywiła się i znów spróbowała usiąść, powstrzy-  
mał ją jednak stanowczy nacisk dłoni spoczywających  
na jej ramionach.

- Proszę leżeć. Znowu pani zasłabnie - stwierdził  
mężczyzna, po czym po raz drugi zawołał: - Mamo!

- Wielki Boże, a cóż tu się...

Amelia odwróciła głowę i dostrzegła tęgą kobietę  
w średnim wieku, ubraną w strój z epoki, wyłaniającą  
się zza zakrętu ścieżki. Towarzyszyła jej młoda dziew-  
czyna, również w kostiumie. Widząc ją leżącą na  
ziemi, tęga kobieta zatrzymała się nagle i złapała za  
głowę.

- Wielki Boże! - powtórzyła ruszając w kierunku  
leżącej. - Co się tu dzieje?

- Ta młoda dama najwyraźniej zasłabła w naszym  
ogrodzie - wyjaśnił uprzejmie mężczyzna i wstał, by  
zrobić miejsce matce. - Uważam, że powinnaś o tym  
wiedzieć.

- Och, moje biedne maleństwo! - Kobieta zebrała  
bladofioletową suknię przy kolanach i uklękła. Na jej  
twarzy malował się lęk.

Amelia uniosła się, lekko zażenowana troską, jaką  
jej okazano.

- Naprawdę, nic mi nie jest. Potknęłam się i upadłam, ale nic mi...

- Boże, jesteś blada jak prześcieradło! - Starsza pani przyłożyła gładką dłoń do jej policzka. - I spocona. Moja droga, nie wiesz, że nie wolno wychodzić na takie słońce bez kapelusza? Abigail, biegnij do domu i każ Lotti namoczyć kilka ręczników w źródlanej wodzie. Jeff, odprowadź panią do domu. Mój Boże, co za koszmary dzień. Cud, że wszyscy nie pomdleliśmy!

Abigail pospiesznie odeszła, Amelia zaś dopiero teraz zauważyła, że rzeczywiście świeci słońce i jest upiornie gorąco, choć przed chwilą zaczęła się wielka burza. Jak długo była nieprzytomna? Ciemnowłosa mężczyzna podszedł do niej. On także - co również zauważyła dopiero teraz - ubrany był w strój z epoki. Nagle ogarnęło ją przerażenie: popsuła zabawę, by nie wspomnieć już o tym, że w tak niesprzyjających okolicznościach przyszło jej poznać innych gości!

- Proszę... Naprawdę czuję się świetnie - zaprotestowała natychmiast, gdy mężczyzna ukląkł obok i zrozumiała, że zamierza ją podnieść. - Mogę iść, naprawdę, nie musi pan...

Podniósł ją bez wysiłku i Amelii nie pozostało nic innego, jak tylko podziękować mu słabym uśmiechem, a potem skryć spłonioną twarz na jego szerokim, obciągniętym suknem ramieniu.

Lecz choć okoliczności pozostawiały wiele do ży-

czenia, musiała przyznać, że było coś podniecającego w fakcie, iż niesie ją ktoś tak przystojny i silny. Bowiem rzeczywiście mężczyzna był silny, choć nie umięśniony jak kulturysta. Sprawiał raczej wrażenie człowieka, który ciężko pracował na życie. Obejmował ją mocno, mięśnie miał napięte, szedł długim, pewnym krokiem, a kiedy w końcu położył ją na małej kanapie o wygiętym oparciu, stojącej w chłodnym pokoju, nie był nawet zaczerwieniony z wysiłku.

- Dziękuję panu - wyszeptwała, a on uśmiechnął się tak szelmowsko, że musiała odwrócić wzrok. Podniosła dłoń do włosów, potarganych wiatrem i rozrzucanych na ramionach. - Muszę wyglądać okropnie!

- Wygląda pani ślicznie - stwierdził obdarzając ją uprzejmym, staroświeckim, głębokim ukłonem. W jego oczach ujrzała jednak wyraz spokojnego zaciekania, sprawiający, iż poczuła się tak, jakby miała coś do ukrycia, co oczywiście było śmieszne, ponieważ nie musiała ukrywać niczego.

Starsza kobieta metodycznie obchodziła pokój, zamykając drewniane okiennice.

- Jednego nie mogę zrozumieć - powiedziała. - Jak w ogóle trafiła pani do naszego ogrodu? Może mógłbyś mi wytłumaczyć, Jeffrey, jak taka przemiła młoda dama mogła znaleźć się w naszym ogrodzie i zemdleć tam nagle, a myśmy w ogóle nie mieli o niczym pojęcia!

Amelia uniosła się na łokciach na śliskiej, wypchanej końskim włosiem kanapie. Odwróciła głowę, by spojrzeć na kobietę.

- Cóż... zabłądziłam. Ale najdziwniejsze, że właśnie nadeszła burza, a przynajmniej wydawało mi się, że jest burza. Powietrze było tak naelektryzowane. Czułam to na skórze, potem spinki po prostu wyfrunęły mi z włosów jak przyciągnięte przez magnes, zawołałam, żeby ktoś przyszedł zobaczyć to dziwo, zaczęłam biec, potknęłam się o suknię i...

Mniej więcej w połowie opowieści Amelia zorientowała się, że popełnia błąd. Peggy może by i zrozumiała, ale po co ona właściwie opowiada taką historię kompletnie obcym ludziom?

Starsza pani zatrzymała się przy jednej z okiennic i utkwiała w niej zdumione spojrzenie. Amelia nie miała nawet odwagi spojrzeć na mężczyznę. Zajęła się płamą z trawy na sukni, próbując zetrzeć ją dłonią.

- No... - bąknęła w końcu - to chyba nieważne.

- Upał - oznajmiła kobieta z całkowitym przekonaniem. - Znałam kiedyś dziewczynę, która po porażeniu bredziła przez trzy tygodnie. Przykuło ją do łóżka na całe lato, nigdy całkowicie nie wydobrzała. Ciągłe ma kłopoty z głową. Pani oczywiście - dodała szybko - nie zdarzy się nic podobnego. Nie dopuścimy do tego.

- Przyniosłam trochę zimnej maślanki, mamó. -

Do pokoju weszła dziewczyna ze srebrną tacą, na której stał dzbanek i szklanki. - Lotti zaraz przyniesie mokre ręczniki. A jak się czuje nasz gość?

- Świetnie! - Starsza pani podbiegła do córki. Z dzbanka nalała gęsty, biały płyn. - To pani natychmiast pomoże. Proszę wszystko wypić. Ale nie za szybko, nie za szybko. Spokojnie.

Amelia próbowała nie okazać niechęci, jaką budził w niej ten napój. Z wahaniem przyjęła szklankę. Skosztowała maślanki i omal się nią nie udławiła, taka była gęsta i kwaśna.

- Jednego nie pojmuję - powtórzyła starsza pani, marszcząc z niepokojem brwi. - Jak się tu pani dostała... i, proszę wybaczyć mi tę nieuprzejmość, ale kim pani właściwie jest?

Amelia z wdzięcznością skorzystała z okazji i odstawiła szklankę. Wyciągnęła dłoń.

- Nie, nie, to ja okazałam się nieuprzejma. Powinam była już wcześniej się przedstawić. Nazywam się Amelia Langston.

Kobieta przyjrzała się wyciągniętej ręce, jakby nie była całkiem pewna, co ma właściwie z nią zrobić, potem ujęła ją obiema ciepłymi dłońmi, ucisnęła lekko i powiedziała:

- A ja jestem Martha Craig, o czym z pewnością pani wie. To mój syn, Jeffrey...

Mężczyzna skłonił się.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Langston.

- ..i moja córka, Abigail.

Dziewczyna, która przyniosła maślankę, wykonała niski dyg. Amelia spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. Abigail miała kasztanowe włosy, niebieskie oczy i najwyżej dziewiętnaście lat. Wszyscy obecni używali nadanych im dla potrzeb gry imion, co wydało się jej pewną przesadą biorąc pod uwagę okoliczności. W Abigail nie rozpoznała jednak Peggy!

- Byłam pewna, że tę rolę ma grać Peggy - powiedziała.

Kobiety spojrzały na siebie zmieszane, gdy nagle weszła Murzynka ze stosem ręczników.

- Lotti, dzięki Bogu! - wykrzyknęła kobieta, która przedstawiła się jako Martha Craig.

- Idę o zakład, że zamieniła się z kimś na role - mruknęła do siebie Amelia. A może odnalazła parkingowego, pomyślała, i w ogóle dała sobie spokój z tą całą zabawą? Uśmiechnęła się na tę myśl, lecz jej uśmiech niemal w tej samej chwili zastąpiło zdumione westchnienie: ktoś położył jej na czole zimny jak lód ręcznik. Usiadła, próbując zerwać go z głowy, lecz łagodny nacisk dłoni zmusił ją do położenia się; kolejne przeraźliwie zimne ręczniki znalazły się natychmiast na jej gardle, nagich ramionach i na brzuchu.

- Moja droga, proszę leżeć. Musimy obniżyć pani temperaturę...

- Nie mam temperatury... to znaczy gorączki. Naprawdę, czuję się świetnie. A te' ręczniki są takie zimne!

- Oczywiście, że są zimne, moje dziecko. Dzięki nim zaraz poczuje się pani lepiej...

- Nie, proszę... - Amelia zrzuciła z siebie ostatni z ręczników i usiadła. Zdumiona Martha Craig cofnęła się o krok, Abigail sprawiała wrażenie przestraszonej, a mężczyzna nazwany Jeffem wydał z siebie jakieś puchnięcie, podejrzenie przypominające stłumiony wybuch śmiechu.

Odgarniając z twarzy mokre włosy i rozpaczliwie starając się zachować resztki godności, Amelia powiedziała spokojnie:

- Proszę państwa, wiem, że chcą państwo mi tylko pomóc, ale ja nie doznałam porażenia słonecznego. Naprawdę! Czuję się świetnie! Chciałabym tylko...

- Landston! - zawołała Martha Craig, a jej zatroskana twarz rozjaśniła się nagle. - Ależ oczywiście, z pewnością jest pani córką Charlotty Landston!  
- Odwróciła się ku Abigail. - Pamiętasz moją przyjaciółkę Charlotte, prawda, kochanie? Tę z Charlestonu?

Zanim Abigail zdołała odpowiedzieć, Amelia poprawiła jej matkę:

- Langston, nie Landston. -I nagle umilkła.



Oczywiście! To zawodowi aktorzy, o których wspomniała Karen. Po prostu odgrywają scenariusz! Wydało się jej to niezbyt odpowiednie - w końcu może być poważnie chora! - ale mimo wszystko musiała podziwiać ich za sposób, w jaki wciągnęli ją w grę. Córka Charlotty Landston z Charlestonu? Stara przyjaciółka rodziny? Niech i tak będzie.

Martha Craig usiadła na kanapce, przyjaźnie ujmując jej dłoń.

- Kochanie, nie wiem tylko, dlaczego twoja matka nie zawiadomiła mnie, że przyjeżdżasz? Oczywiście... - Zmarszczyła brwi, zmartwiona. - Poczta nie działa już tak dobrze od czasu, kiedy przejęli ją Janke-si... W każdym razie trzeba wysłać do niej jednego z naszych chłopców z wiadomością, że dotarłaś szczęśliwie. Proszę, opowiedz mi wszystko! Jak się miewa twoja kochana mama? Mój Boże, ileż to lat! I jak długo możesz u nas zostać? Z pewnością co najmniej do czwartego lipca. Będziemy tu mieli wielki bal, fajerwerki przywieźli aż z Filadelfii! A teraz, gdzie twoje bagaże, dziecko? Zaraz zaniесimy je na górę, potem odpoczniesz, a później pogawędzimy sobie od serca.

Mimo niesprzyjających okoliczności, Amelia poczuła zachwyт. Ta kobieta była prawdziwym zawodowcem, wszystko miała opracowane aż do najdrobniejszego szczegółu.

- Cóż, zostawiłam je chłopcu...

- Och, kochanie! - Martha Craig sprawiała wrażenie głęboko rozczarowanej. - Tylko mi nie mów, że wysłałaś je wcześniej. Chłopiec na przystani jest tak nieodpowiedzialny, że możesz ich już nigdy więcej nie zobaczyć. Ale nie obawiaj się. - Mocnym uściskiem dłoni dodała jej odwagi. - Abigail ma mnóstwo prześlicznych sukien, których nigdy nie nosi. Z pewnością użyczy ci kilku, prawda, kochanie?

Abigail wydawała się nieco zmieszana, lecz mimo to zdobyła się na uśmiech.

- Ależ oczywiście - przytaknęła.

- No, to wszystko ułoży się doskonale, bo zamieszkaż razem z nią. Obawiam się, że wszystkie pokoje zajęte są na całe lato, lecz w tych trudnych czasach nie ma nic radośniejszego niż rodzina i przyjaciele przy domowym stole. A więc - pani Craig wstała ze spokojnym uśmiechem na ustach - Abigail zabierze cię na górę. Odpocznij sobie przed kolacją.

Amelia próbowała protestować.

- Ale ja właśnie... - powiedziała i umilkła. Zrobiła z siebie taką idiotkę przy tych ludziach. Nie była pewna, czy w tej sytuacji stawia czoło reszcie obsady. Głowa ją bolała; może rzeczywiście byłoby najlepiej wziąć teraz aspirynę i odpocząć. I tak pozna wszystkich przy kolacji.

Wstała. Uśmiechnęła się do aktorki grającej panią Craig.

- Jest pani doprawdy cudowna - powiedziała. Obrzuciła spojrzeniem pozostałą dwójkę. - Wszyscy jesteście cudowni!

Jeff nie odpowiedział uśmiechem; patrzył na nią niemal z dezaprobatą. Za to Martha Craig zarumieniła się ślicznie.

- Słodka z ciebie istota, kochanie - powiedziała. - A teraz idź do siebie, na górę. Połóż się. Abigail, proszę, nie męcz jej tą swoją paplaniną. Pozwól odpocząć.

Poprzedzana przez Abigail Amelia opuściła pokój. Była słaba i czuła, jak uginają się pod nią nogi. Ból głowy przeszedł; pozostało tylko wrażenie ucisku za lewym okiem, ale nadal czuła się nieco zdezorientowana i bardzo zawstydzona widowiskiem, które z siebie zrobiła. Do idącej przed nią dziewczyny powiedziała:

- Słuchaj, nie musisz mnie odprowadzać. Potrafię znaleźć drogę do pokoju, a i tak narobiłam wam wystarczająco wiele kłopotów...

Abigail uśmiechnęła się promiennie.

- Nie żartuj, chętnie ci wskażę drogę. A poza tym w takim starym domu każdy mógłby się zgubić.

- Chyba masz rację. - Gdy doszły na półpiętro, uwagę Amelii pochłonęło jednak coś innego. Nagle

odniosła wrażenie, że dom uległ jakiejś zmianie od czasu, gdy widziała go po raz ostatni. Coś było tu nie tak. Nie od razu zorientowała się, co, ale wreszcie sobie przypomniała.

- Portrety - powiedziała zatrzymując się i przyglądając wiszącym wzdłuż schodów obrazom.

Abigail skrzywiła się z obrzydzeniem.

- No właśnie, są okropne. Ci wszyscy starzy ludzie ubrani na czarno! Kiedy na nich patrzę, mam wrażenie, że jestem w kościele!

- Ale... to inne portrety. - Amelia przyglądała się im uważnie żałując, że nie pamięta, co w istocie jest w nich innego. Za pierwszym razem nie przyjrzała się im dokładnie, ale mogłaby przysiąc, że jest ich teraz znacznie więcej niż poprzednio, kiedy wchodziła po tych schodach razem z Peggy. Chyba gościęj je rozmieszono, były wśród nich także twarze, których nie rozpoznawała.

- Jednego brakuje - stwierdziła. - Gdzie jest portret Marthy Craig?

Abigail roześmiała się wesoło.

- Mamy? Boże, nigdy nie pozwoliła namalować swego portretu. Zawsze powtarza, że chce, aby pamiętano ją taką, jaka była w kwiecie młodości, a nie taką, jaka jest teraz.

Amelia miała ochotę zaprotestować, Abigail jednak odwróciła się i ruszyła na górę. Amelia zdecydowała

się pójść za nią, ostatnim, zdziwionym spojrzeniem obrzucając miejsce, gdzie przedtem wisiał portret Marthy Craig.

Kiedy dotarły na górę, o czymś sobie przypomniała.

- Zaraz, poczekaj, zapomniałam...

Chciała powiedzieć „klucza”, lecz Abigail tylko nacisnęła klamkę i drzwi otworzyły się same. Rzuciła jej pytające spojrzenie, na które Amelia odpowiedziała wyłącznie słabym uśmiechem. Najwyraźniej zapomniała zamknąć pokój - i oczywiście nie była to pierwsza głupia pomyłka, jaką dziś popełniła.

Pokój wyglądał niemal tak samo jak przedtem, tylko okna były otwarte; poprzez koronkowe zasłony do wnętrza docierał kapryśny wiaterek. Najwyraźniej pokojówka zrobiła w nim porządek. Folder, którego zawartość leżała rozrzucona na łóżku, znikł, nie widziała także porozrzucanych ubrań i swojej torby. Mimo wiatru powietrze było ciepłe, wilgotne, lecz klimatyzacja nie działała zapewne przy otwartych oknach.

Abigail uśmiechnęła się nieśmiało.

- Mam nadzieję, że zostaniesz z nami jak najdłużej. Miło mi będzie porozmawiać wreszcie z kimś w moim wieku.

Komplement ten zaskoczył i rozbawił Amelię. Jest od Abigail przynajmniej dziesięć lat starsza!

Chociaż, kiedy się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że dziewczyna zachowuje się poważniej, niż wygląda.

- Wiem, że to nieładnie... - mówiła dalej Abigail - i ja bardzo Jeffa kocham... ale od jego powrotu w domu panuje niezwykle... napięcie. Mama się denerwuje, Elliot cały czas jest zły, przyjechali Calvertowie, a ich w ogóle nikt nie lubi i... och! - Przerwała z taką miną, jakby zrobiła coś złego. - Mama uprzedzała, że nie powinnam cię męczyć, a ja tylko gadam i gadam. Wybacz mi, proszę. Kiedy tylko chcesz, możesz mi powiedzieć, żebym umilkła. Jeff nazywa mnie katarynką i oczywiście ma rację.

Amelia z trudem pojmowała, o czym właściwie rozmawiają, lecz w porę przypomniała sobie, że dziewczyna recytuje tylko kwestie ze scenariusza. Amelia nigdy nie radziła sobie dobrze w podobnych sytuacjach, ale tym razem nie miała wyboru, musiała dostosować się do reszty towarzystwa. Szukając wzrokiem torby, spytała:

- Powiedziałaś, że Jeff właśnie wrócił. A gdzie właściwie był?

- Na zachodzie. Brzmi to bardzo podniecająco, ale... - Twarz nagle jej znieruchomiła; podeszła i usiadła na jednym z łóżek. - Nie chce mi o tym opowiedzieć. W ogóle z nikim nie rozmawia, a to już naprawdę fatalnie. Oczywiście - dodała - kiedy przyje-

chał, był chory, wyzdrowiał zaledwie przed paroma tygodniami. Wcałe nie mieliśmy czasu, żeby znów się do niego przyzwyczaić.

- Chory? - spytała zaskoczona Amelia. Jeff wyglądał na okaz zdrowia.

Abigail zarumieniła się.

- Powinnam raczej powiedzieć „ranny”. Miał tam, na zachodzie, jakiś groźny wypadek. Ale już jest zdrowy - dodała szybko i znów obdarzyła Amelię przeproszającym uśmiechem. - Zła ze mnie gospodyni, opowiadam ci tylko te okropne historie i zanudzam na śmierć. Naprawdę mieszkasz w Charlestonie? - spytała i w jej oczach zabłyśło zainteresowanie. - Zawsze myślałam, że najwspanialszą rzeczą w życiu byłoby mieszkać w wielkim mieście. Proszę, powiedz mi, jak tam jest.

W pierwszym odruchu Amelia omal nie powiedziała jej prawdy, ale w porę przypomniała sobie o roli - roli, która, jeśli już o to chodzi, szybko stawała się męcząca i nieco dziwaczna. Czy ci ludzie nigdy nie przestają grać?

- Charleston to urocze miasto - odparła ostrożnie - ale wcałe nie takie wielkie.

- Och, mnie wydaje się wielkie - powiedziała z rozmarzeniem Abigail. - Każde miasto wydałoby ci się wielkie, gdybyś musiała przeżyć całe życie na wyspie. Proszę, powiedz... Czy naprawdę tak wielu

w nim Jankesów, marynarzy i... i domów uciech, jak opowiada mama?

Tego już było za wiele! Amelia z wahaniem przyłożyła dłoń do czoła i z błagalnym uśmiechem, mającym złagodzić jej słowa, powiedziała:

- Posłuchaj, czy mogłybyśmy na razie przerwać? Tylko na chwilkę. Od tego wszystkiego teraz rozbolała mnie głowa i...

- Och, tak, strasznie cię przepraszam! - zatroskała się Abigail. - Proszę, musisz się położyć. - Podeszła do Amelii, chcąc wziąć ją za rękę, lecz ta zrećźnie usunęła się jej z drogi. - Czy coś ci przynieść?

- No, może aspirynę. Miałam kilka tabletek w torbie... - Amelia otworzyła drzwi do łazienki i zamarła.

Za drzwiami wcale nie było łazienki, tylko mroczny schowek o niskim suficie, w którym znajdowały się wyłącznie stare kufry, manekin krawiecki i pudła na kapelusze. Przesycone kurzem powietrze dobitnie świadczyło o tym, że drzwi te otwierano bardzo rzadko.

Stojąc i patrząc w ciemną, wypełnioną gorącym powietrzem przestrzeń poczuła oszołomienie tak silne, że podłoga wydała się poruszać pod jej stopami. Obejrzała się szybko, jakby pragnąc zyskać całkowitą pewność, że pokój nagle nie znikł. Potem znów spojrzała w głąb schowka.



- Czy coś się stało? - spytała Abigail. Jej głos brzmiał słabo, jakby dobiegał z daleka.

Amelii dosłownie osłupiała. Gardło miała równie suche i pełne kurzu jak otaczające ją powietrze, serce biło jej szybko, każdemu uderzeniu odpowiadało zaś bolesne echo w głowie. Tu przecież była przedtem łazienka! Nie może się mylić! Peggy siedziała w niej niemal czterdzieści minut... Słyszała szum prysznic... Peggy naprawdę brała prysznic! Jakim cudem cała łazienka po prostu zniknęła?

Nagle tuż przy niej stanęła Abigail.

- Co się stało? - spytała. - Szukasz czegoś?

- Łazienka - wyszeptała ochryple Amelia. - Gdzie się podziała łazienka?

Abigail zmarszczyła czoło.

- Chcesz wziąć kąpiel? Czy mam kazać przynieść wodę?

Amelia wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Nie wyglądało na to, by dziewczyna żartowała sobie z niej, lecz, oczywiście, była aktorką. Ta gra posunęła się zdecydowanie za daleko. Amelia jeszcze raz spojrzała w głąb schowka, a później przyłożyła dłoń do głowy. Ból sięgał aż po skronie.

- Dzieje się tu coś dziwnego - szepnęła, spojrzała spod oka na dziewczynę, a potem rozejrzała się dookoła.

- To mój pokój, prawda? - spytała.

Abigail wydawała się zaskoczona.

- No, nie... Oczywiście, jesteś mile widzianym gościem, ale to jest mój pokój.

Amelia w ostatniej chwili powstrzymała westchnienie ulgi. Oczywiście! Wszystkie pokoje są do siebie podobne. Nie zwracała uwagi, dokąd idzie, zresztą zawsze łatwo się gubiła.

- Chyba lepiej będzie, jeśli pójdę do swojego pokoju - stwierdziła.

Abigail sprawiała wrażenie urażonej i zmieszanej.

- Ale... tylko ten jest wolny. Mamy wielu gości i... proszę. - Wyciągnęła rękę w geście zaproszenia.

- Nie zechcesz położyć się i odpocząć?

Z wysiłkiem utrzymując pozory spokoju, Amelia spytała:

- Chcesz powiedzieć, że zamieniono mi pokój... i współlokatorkę... nie pytając nawet o zgodę?

Abigail wpatrywała się w nią, jakby nic z tego nie rozumiała.

- A ty? - upierała się Amelia. - Czy tobie to nie przeszkadza? No bo przecież... ty mnie wcale nie znasz!

- Nie, wcale mi to nie przeszkadza - odpowiedziała uspokajająco dziewczyna. - Mówiłam ci przecież, cieszę się, że ze mną zamieszkaasz. Tylko proszę, nie powinnaś się tak denerwować. W końcu przecież zasłaabłaś i... Może przyniosę ci herbatę, albo może wolisz coś innego?

Przyciskając palce do skroni Amelia zaczerpnęła tchu. Abigail miała niewątpliwą rację w jednej przynajmniej kwestii - nie powinna się denerwować. Nigdy nie lubiła robić scen; w każdym razie w tym, co się stało, nie było przecież winy tej aktorki. Jeśli już, to ona sama jest wszystkiemu winna, spóźniła się na spotkanie, na którym wyjaśniano zasady zabawy, a w ogóle porozmawia na ten temat później, z właściwymi ludźmi.

- Potrzebna mi moja torba - powiedziała.

Abigail szybko cofnęła się ku drzwiom.

- Spróbuję ci ją znaleźć - obiecała.

Amelia uśmiechnęła się przeprasząco.

- Wybacz - powiedziała. - Nie chciałam sprawiać wam takich kłopotów. Tylko strasznie boli mnie głowa. Jeśli ci to nie przeszkadza, chciałabym się teraz położyć. To wszystko możemy wyjaśnić później.

Nagła zmiana tonu najwyraźniej uspokoiła dziewczynę.

- Oczywiście, rozumiem. Spróbuję odnaleźć twój bagaż. Gdybyś zdjęła suknię, zobaczę, co Lotti mogłaby zrobić z plamami od trawy. Przygotuję ci też coś odpowiedniego na kolację.

- Dziękuję. To bardzo miło z twojej strony.

Amelia wcale nie miała ochoty się kłaskać. Powinna odnaleźć Karen - a już co najmniej swój pokój - i to zaraz po wyjściu tej denerwującej, natrętnej aktorki.

Lecz głowa bolała ją tak bardzo, że z trudem mogła zebrać myśli; zdawała sobie sprawę, że nie pora teraz kłócić się teraz z jakimś cierpiącym na kompleks wyższości recepcjonistą. Nie była w stanie nawet się złościć.

Zdjęła suknię, włożyła bawełnianą koszulę nocną, pozostawioną jej przez Abigail - nie przypominała sobie, by przedtem widziała ją w szafie - i położyła się do łóżka. Patrząc w sufit przez delikatną mgiełkę moskitiery próbowała policzyć, co - mniej więcej zgodnie z hierarchią ważności - zgubiła podczas krótkiego pobytu w hotelu. Przyjaciółkę. Łazienkę. Torbę. Klucz i broszury, które otrzymała w recepcji. Co jeszcze utraci? Zdrowy rozsądek?

Niech cię diabli, Peggy, Jakim cudem udało ci się mnie na to namówić?

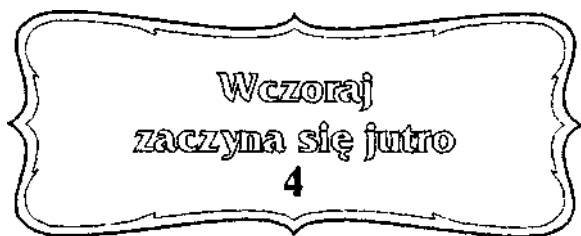
Miała się dobrze bawić. Oderwać od smutnej rzeczywistości. No tak, oderwała się od rzeczywistości trudno zaprzeczyć. Wkroczyła wprost w strefę mroku.

Peggy oczywiście powiedziałyby, że to po prostu cała Amelia: traktuje świat zbyt poważnie, nie wie, jak się odprężyć, nie poznałyby się na dowcipie, nawet gdyby sama go opowiedziała. Peggy doradziłyby jej, żeby się odprężyła i dała się ponieść wydarzeniom.

I być może Peggy miałyby całkowitą rację. Źle się zaczął ten weekend: najpierw spóźnienie na koktajl, potem ten wypadek, teraz problem z pokojem, ale...

gdyby tylko spróbowała, może mogłaby jeszcze mile spędzić czas.

Doszła jednak do przeciwnego wniosku. To, co się działo, wydawało się jej zdecydowanie zbyt niesamowite.



Wczoraj  
zaczyna się jutro  
4

Nie myślała, że zaśnie, toteż była zaskoczona, gdy otworzywszy oczy stwierdziła, że zrobiło się późno i zapadł zmrok. W pokoju było chłodniej, nie czuła już bólu głowy. Przeciągnęła się i usiadła, palcami przeczesaując włosy. Sytuacja, w jakiej się znalazła, wydawała się jej teraz znacznie mniej przykra niż poprzednio.

Nadal nie była zachwycona tym, że dostała pokój bez łazienki - w końcu przyjechała tu jako gość, a nie wynajęty pracownik - ale przynajmniej łatwo to było wyjaśnić. Peggy musiała zamienić się z kimś na role lub w ogóle wyjechać, wobec czego kierownictwo zdecydowało się zmienić zasady przydzielania pokoi. Prawdopodobnie Peggy zapomniała to z nią uzgodnić. Lecz choć i przedtem jej przyjaciółka zachowywała się bardzo niekonwencjonalnie, tym razem jednak posunęła się zdecydowanie za daleko. Wiedziała przecież, że Amelia w ogóle nie ma ochoty tu przyjechać i mogła przynajmniej zamienić z nią słówko, nim zostawiła ją z zupełnie obcą osobą w prymitywnym po-

koju, w którym nie może teraz nawet znaleźć swej torby. Nie, to w ogóle nie pasuje do tej Peggy, jaką znała.

Ale czy jest jakieś inne wyjaśnienie?

W pokoju panował mrok. Amelię zaciekało, jak długo spała. Machinalnie podniosła rękę, lecz przypomniała sobie, że zegarek przypięła do stanika sukni. Odpięła go, podniosła do oczu i przeżyła kolejną przykrą niespodziankę. Choć taki drogi, stanął - zapewne wtedy, kiedy upadła na zegar słoneczny - i wskazywał szóstą dwadzieścia trzy.

Westchnęła, założyła go na rękę i wstała. Suknia w różyczki zniknęła - zamiast niej znalazła schludnie przewieszoną przez poręcz krzesła suknię ze ślicznej, żółtej błyszczącej bawełny z dekoltem w szpic, ozdobionym bladoliliową koronką. Uśmiechnęła się na jej widok. Aktorka otrzymała oczywiście lepsze kostiumy niż gość, co zapewne było jedynym zyskiem, jaki ona sama odniosła ze zmiany sytuacji.

Nowa suknia nie leżała na niej jak ulał. Amelia już wcześniej zauważyła, że Abigail ma nieco pełniejszy biust, niemniej nie wyglądała w tej sukni źle. Po raz kolejny przekląła utratę torby, w której miała spinki; w końcu uczesała się zbierając włosy na karku i wiążąc je żółtą wstążką, którą znalazła w koszyczku na toaletce. Po chwili wahania zdjęła zegarek i schowała go do kieszeni spódnicy. Był jedyną osobistą rzeczą,

jaka jej pozostała, przynajmniej do chwili odnalezienia torby. Nie miała zamiaru ryzykować.

Próbowała przejrzeć się w lustrze, było jednak tak ciemno, że nie widziała swego odbicia. Odwróciła się, by znaleźć kontakt, łydką uderzyła o krawędź szafki, zakłęta cicho i pokuśtykała w stronę drzwi. Przejechała dłońmi po obu stronach framugi, obmacała ścianę aż do stojącej przy łóżku lampki, lecz nie znalazła włącznika. Poniosła szklany, malowany klosz i zdumiona stwierdziła, że lampa nie ma sznura, za to w podstawie znajduje się zbiornik wypełniony naftą. Odstawiła klosz na miejsce, próbując opanować strach. Pokój bez łazienki - w końcu to nic niezwykłego, zwłaszcza w starych wiejskich gospodach, lecz pokój bez elektryczności? Czy nie zabraniają tego przepisy przeciwpożarowe?

To część scenariusza, przypomniała sobie. Uśmiechnij się i baw, najlepiej jak potrafisz. Weekend bez dostępu do bieżącej wody i bez elektryczności kłócił się z jej wyobrażeniem luksusowych wakacji, ale... co powtarzała wciąż Peggy? Że boję się przygody?

Amelia próbowała przekonać siebie, że to w końcu tylko weekend, że tak bardzo potrzebuje zmian w życiu, że w ich imię powinna się trochę rozluźnić. Jeśli inni goście potrafią pogodzić się z podobnymi niewygodami, ona też może, a już co najmniej powinna spróbować wczuć się w rolę. Lecz przecież nie ozna-



cza to, że ma koniecznie przestać myśleć, poczęła więc zastanawiać się, jak daleko organizatorzy tego widowiska zechcą się jeszcze posunąć dla odtworzenia autentycznej scenerii.

Wyszła na korytarz, rozjaśniony kinkietami naftowymi. Na ich widok tylko potrząsnęła głową w zdumieniu. Widocznie jednak nie zabraniały tego żadne przepisy przeciwpożarowe, a poza tym musiała przyznać, że ciepłe, słabe światło dodawało hotelowi romantycznej, tajemniczej atmosfery. Powodowana impulsem podeszła do najbliższych drzwi i zapukała cicho. Kiedy nikt nie odpowiedział, przekręciła porcelanową gałkę. Drzwi otworzyły się skrzypiąc.

Pokój nie przypominał w niczym tego, do którego wprowadziła się wraz z Peggy. Nie miał tapety we wzór z zielonych gałązek. Był mniejszy, stało w nim tylko jedno łóżko, okna zaś, zamiast koronkowych firanek, osłaniały drewniane okiennice. A przecież była taka pewna, że wszystkie pokoje urządzone są identycznie, przecież tylko dlatego nie od razu zorientowała się, że przydzielono jej inny. Jeśli to nieprawda...

Szybko zamknęła drzwi i podeszła do następnych. Czując się jak włamywaczka, podobnie jak poprzednio bez przeszkód dostała się do środka. W tym pokoju stały trzy niewielkie łóżka; porozrzucane ubrania i charakterystyczny zapach natłuszczonej zwierzęcej

skóry, podobny do zapachu pasty do butów, świadczyły, że ktoś tu mieszka. Różnił się od poprzedniego diametralnie. I dlaczego nikt w tym hotelu nie zamyka drzwi?

Stanęła przed kolejnym pokojem i tym razem nawet nie pofatygowała się zapukać. Po prostu weszła do środka. Serce biło jej szybko, dłonie miała wilgotne.

Ktoś tu był, jakiś mężczyzna, ubrany w szare spodnie, z których zwieszały się szelki, i białą koszulę. Pochylony nad wyposażoną w lustro umywalnię, próbował zawiązać pod szyją aksamitkę.

- Och! Strasznie przepraszam - zawołała Amelia wystraszona, a mężczyzna, którego przedstawiono jej jako Jeffreya Craiga, obrócił się ku niej nie tyle zaskoczony, co po prostu zaintrygowany.

Zaczęła się cofać. Policzki jej płonęły.

- Panna... Langston, prawda? - zatrzymał ją Jeffrey Craig, po czym podciągnął szelki, sięgnął po wiszący na oparciu krzesła surdut i podszedł do niej. - Widzę, że najwyraźniej czuje się pani lepiej. Zabłądziła pani?

- Tak, to znaczy... - Amelia starała się szybko coś wymyśleć. - Właściwie... szukam damskiej toalety.

Mężczyzna wkładał właśnie surdut. Na jego czole pojawiła się zmarszczka.

- Przepraszam, czego?

- No... łazienki. Wiem, że jakaś musi tu być, na tym piętrze. Proszę się mną nie przejmować, znajdę sama...

Nie zdążyła uciec. Craig wyszedł na korytarz tuż za nią, przyglądając się jej nieco podejrzliwie i nieco drwiąco zarazem. Amelia pożałowała, że nie powiedziała mu prawdy.

- Czyżby miała pani na myśli klozet? - spytał nieco rozbawiony.

Przez dłuższą chwilę milczała. Potem powtórzyła:

- Klozet?

Delikatnie ujął ją za łokieć i poprowadził korytarzem.

- Pokażę pani. Jak mi się zdaje, to swego rodzaju ciekawostka. Nigdy przedtem nie widziałem niczego podobnego. Kilka lat temu zbudował to dla nas profesor Kane, lecz -jak słyszałem - nieczęsto się go używa. Mama uważa to za niezbyt higieniczne, a Elliot za zwykłe marnotrawstwo wody. Ja sam myślę, że jest to bardzo sprytne urządzenie - no, ale moje zdanie niezbyt się tu ostatnio liczy.

Otworzył znajdujące się przy końcu korytarza drzwi prowadzące do małego pomieszczenia, w którym stał staroświecki, drewniany klozet, splukiwany jednak bieżącą wodą.

- Chyba nie zamierza mnie pani pytać, jak z tego korzystać?

Amelia przecząco potrząsnęła głową, zadowolona, że postanowiono jednak nie przesadzać z autentycznością. Wątpiła, czy wiele wiejskich domów wyposażano w ubikacje już w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, lecz ucieszyła się, że nie musi wędrować do wygódki na dworze.

- Czy chce pani... to znaczy...

Urwał dyskretnie. Amelia zachichotała nerwowo i potrząsnęła głową.

- Nie, nie. Ale dziękuję, że wskazał mi pan drogę. Bardzo łatwo się tu zgubić, prawda? - Szybko odwróciła się ku schodom. - Wie pan może, gdzie podają kolację?

- Dość regularnie zasiadałem w tym domu do stołu przez większą część życia, więc sędzę, że w jadalni. Czy pozwoli pani sobie towarzyszyć?

Podał jej ramię; przyjęła je z wahaniem. Równie trudno było jej przywyknąć do wszechobecnych staroświeckich manier, co do samego scenariusza. Pamiętając, że zdecydowała się przynajmniej spróbować dobrze się bawić, postanowiła zrezygnować z dochodzenia, dlaczego zmieniono jej pokój. Na razie.

Kiedy szli w kierunku schodów, spytała:

- Kim jest profesor Kane?

- No cóż, to interesująca historia i nie taka, którą można opowiedzieć schodząc do jadalni. - Jeff miał miły głos, niski, łagodny, z akcentem wskazującym na

pobyt na zachodzie niż na dalekim Południu. Niektórym kobietom podobają się oczy, innym uśmiech lub ręce, ona zwracała uwagę przede wszystkim na głos, a głos Jeffa Craiga był bardzo miły. - Kane to zwariowany staruszek. Mieszka tu od nie wiadomo kiedy, choć nikt nie wie, dlaczego. Ale wszyscy go lubią, więc jest z nami. A może opowie mi pani coś o sobie?

Amelię zaskoczyło nieco to nieoczekiwane pytanie, bowiem nadal nie była pewna, jaką rolę ma właściwie grać. Lekko potrząsnęła głową i powiedziała:

- To wcale nie jest takie proste, jakby się mogło z pozoru wydawać. Może zechciałby mi pan opowiedzieć coś o reszcie mieszkających tu osób? Chyba że to wbrew zasadom? - Nie zaszkodzi, dodała w myślach, od razu zabrać się do rozwiązywania zagadki, zwłaszcza że nie dotarła na powitalny koktajl. I kto wie... Może z niewielką pomocą odkryje w sobie talent detektywistyczny i wszystkich zaskoczy.

Jeff Craig obrzucił ją niepewnym spojrzeniem.

- Nie, to nie jest wbrew zasadom. Jest więc tu mój brat Elliot, kierujący teraz plantacją, i najmłodszy z nas, Benjamin, który jesienią wyjedzie na uniwersytet. Z Baltimore przyjechał doktor Calvert z żoną i swoim synem z pierwszego małżeństwa, Samem. Gościmy także pułkownika Talbota, starego przyjaciela mojego ojca. Jest też, oczywiście, profesor Kane. Niedługo spotka pani wszystkich. Zapewniam, że nie

gryzą. Czy chciałaby pani dowiedzieć się czegoś jeszcze?

- Boże, co za pytanie! - Amelia roześmiała się głośno. Pewnie, chciałaby dowiedzieć się wszystkiego, począwszy od tego, dlaczego - i jak! - zmieniono jej pokój, a skończywszy na tym, co stało się z Peggy i torbą. Miała całą listę pytań. Wyjaśnienia trwałyby do późnej nocy, lecz nie należało oczekiwać ich od tego właśnie mężczyzny, a poza tym wątpiła, by jej ich udzielił, nawet gdyby cokolwiek wiedział. Mogła już dalej uczestniczyć w grze, potrząsnęła więc lekko głową i dodała: - Będę sama musiała dowiedzieć się wszystkiego. Jak wszyscy.

- Chyba tak - stwierdził cicho Jeff. Ale miała dziwne wrażenie, że nie chodziło mu o zagadkę morderstwa.

Domownicy i goście zebrali się już w dużej jadalni przy głównym holu. Kiedy weszli tam Amelia i Jeff, Martha Craig pospieszyła ku nim z wyciągniętymi rękami.

- Jeff, kochany, właśnie mieliśmy siadać do stołu! - zawołała. - Widzę, że przyprowadziłeś ze sobą naszego gościa. Dobrze się czujesz, dziecko? Nie musiałś schodzić. Poślalibyśmy ci kolację do pokoju. - Potrząsnęła dłońmi Amelii i wciągnęła ją do sali, nie dając jej chwili na odpowiedź. - Chodź, przedstawię cię wszystkim.

Amelia próbowała dopasować twarze do imion, które podał jej Jeff, wiedząc, że nie ma szans na rozwiązanie zagadki, jeśli nie pozna uczestników gry. Elliot Craig był do niego szalenie podobny - rzeczywiście mogliby być braćmi! - lecz w jego męskiej urodzie raziło coś sztucznego, wymuszonego; brakowało mu witalności, tak charakterystycznej dla Jeffreya. Beniamin, chudy i niezgrabny jak nastolatek, mógłby nawet być gościem, gdyby nie był taki młody. Pułkownik Talbot, wysoki, jowialny i potężnie zbudowany, mówił z przesadnym południowym akcentem. Amelii wydał się niemal na pewno jednym z gości. Doktor Calvert, niski, spokojny, trzymał się na uboczu, za to jego żona wydawała się osobą bardzo nieprzyjemną. Na wielki biust spływało jej kilka podbródków, mówiła głośno i dobitnie, za to bardzo niegramatycznie. Na szyi miała wspaniałą kopię naszyjnika z rubinów i brylantów, razem z pewnością trzydzieści pięć karatów kamieni. Amelia pomyślała, że gdyby były prawdziwe, z pewnością każdy miałby ochotę je ukraść. Profesor Kane, którego Jeff nazwał „zwariowanym staruszką”, wydawał się najzupełniej normalny. Dziwny był tylko jego niedobry kostium: brązowe spodnie, spłowiała czerwona koszula i żółty, krzywo zapięty żakiet. Włosów miał niewiele, a łysinę pokrywały wątrobiane plamy. Na jego twarzy widniał lekki zarost, minę miał nieco nieprzytomną,

lecz nie było w nim nic odpychającego. Sprawiał wrażenie jedyne go człowieka doskonale czującego się w tym towarzystwie.

Amelia nie rozpoznała nikogo, zapewne dlatego, że niezbyt dokładnie przyjrzała się ludziom, którzy stali w holu, kiedy Peggy meldowała je w recepcji. Ktoś z nich gra być może doktora Calverta lub pułkownika, była jednak pewna, że nie widziała wcześniej pani Calvert. A gdzie jest Karen? A przede wszystkim Peggy?

Nie miała jednak szansy na zadanie tych pytań, ponieważ Martha Craig zaprosiła gości do stołu. Amelia nie czuła się dobrze podczas oficjalnych spotkań, jeśli nie znała nikogo z obecnych, a teraz, musząc na dodatek trzymać się roli, oczekiwała posiłku niczym swego rodzaju sprawdzianu wytrzymałości. Atmosfera okazała się jednak całkiem przyjemna. Aktorzy byli tak przekonujący, tak pochłonięci swymi rolami, że całkowicie zdjęli z jej barków ciężar udawania kogoś innego. Nie minęło wiele czasu, nim całkowicie doszła do siebie i zaczęła cieszyć się zupełnie nowym doświadczeniem, jakim z pewnością była dla niej dziewiętnastowieczna, rodzinna kolacja.

Musiała przyznać, że jedzenie jest wyśmienite - doskonały przykład kuchni Chesapeake Bay, najlepszy, z jakim spotkała się do tej pory.



- Wspaniała kolacja, prawda? - spytała profesora Kane'a, który siedział po jej prawej ręce.

Profesor spojrział na nią surowo.

- Czy ja panią znam? - burknął.

- Noo... nie - odpowiedziała zaskoczona Amelia.

- Jestem Amelia Langston.

- Z tych stron?

Amelia nerwowo bawiła się wisiorkiem żałując, że nie trzymała języka za zębami.

- No... raczej nie. Ja...

- Nie znam pani - oznajmił profesor i zajął się jedzeniem.

Ciekawe, pomyślała, czy kazano mu zachowywać się tak ekscentrycznie, czy też rzeczywiście ma taki sposób bycia.

Jej sąsiad z lewej strony, Benjamin, zauważył tę wymianę zdań. Uśmiechnął się przepraszająco i powiedział cicho:

- Jest trochę dziwny, ale całkiem sympatyczny, kiedy się go pozna bliżej. - Podnosząc głos i pochylając się nieco, spytał: - Panie profesorze, czy sądzi pan, że człowiek dotrze kiedyś na Księżyc?

Profesor, z ustami pełnymi kukurydzianego chleba, odparł nie odrywając wzroku od talerza:

- Moim zdaniem, ludzie już tam dotarli. Budują miasta i za pomocą wielkich teleskopów przyglądają się nam, kiedy tak jemy kolację.

Beniamin wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Amelii, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”

Pani Calvert chichotała podczas tej rozmowy, czym obie panie Craig były nieco zażenowane. Abigail zauważyła, że Amelia bawi się wisiorkiem i, najwyraźniej próbując zmienić temat, zawołała:

- Och, jaki uroczy drobiazg! Mamo, widziałaś jej naszyjnik?

- Oczywiście, jest śliczny - podchwyciła Martha Craig z wdzięcznością. - Chyba nigdy jeszcze nie widziałam niczego takiego. Co to za wzór?

- Pierwsza litera mojego imienia. - Amelia złożyła dłonie na kolanach. - „A”.

- Jakież to pomysłowe!

- Dostałam go od matki na urodziny. - Amelia poczuła się już na tyle swobodnie, by wziąć udział w rozmowie. - Oczywiście, jest niczym przy naszyjniku pani Calvert.

Pani Calvert natychmiast uniosła głowę, prezentując naszyjnik na tle swych licznych podbródków, lecz nikt na nią nie spojrzał. Wręcz przeciwnie - przy stole wyczuwało się jakieś szczególne napięcie, jakby wszyscy umyślnie odwracali od niej wzrok.

Panującą w jadalni ciszę przerwał nagle donośny głos pułkownika Talbota.

- Najwyraźniej niektórych ludzi nie obchodzi,

gdzie obnoszą się ze swoimi błyskotkami... ani skąd one pochodzą.

Pani Calvert prychnęła pogardliwie. Martha Craig spojrzała na pułkownika błagalnym wzrokiem. Sam Calvert zacisnął w pięść spoczywającą obok talerza dłoń.

- Co to właściwie miało znaczyć, szanowny panie?  
- spytał.

- Znaczy to, szanowny panie - pułkownik wypluł te słowa niczym obelgę - że w tych stronach każdy bogobojny, praworządny obywatel wie, jak nabijają sobie kiesy ludzie pańskiego pokroju...

- Pan mnie obraża! - przerwał mu gniewnie doktor Calvert.

Pułkownik Talbot natychmiast zwrócił się ku niemu.

- A ja uważam za obraźliwy fakt, że tchórzom o zajęcych sercach pozwala się siadać do stołu w towarzystwie uczciwych konfederatów...

Sam Calvert zerwał się na równe nogi. Twarz miał czerwoną jak burak.

- Kogo nazywa pan tchórzem, szanowny panie?

- Pana, szanowny panie. I bez wahania użyję jeszcze gorszego określenia...

- Panowie, proszę! - Lodowato spokojny głos Eliota Craiga z łatwością przedarł się przez krzyk pułkownika. - Nie zapominajmy, gdzie jesteśmy, dobrze?

Pułkownik z wściekłością odwrócił się w stronę gospodarza.

- Nie masz pan chyba zamiaru powiedzieć mi...

- Mówię panu - stwierdził Elliot dobitnie - że ten dżentelmen jest moim gościem. Pan również. Pragnę spokoju przy moim stole.

Przez długą chwilę mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Wreszcie pułkownik opuścił oczy i spojrzał na bliską łez Marthę Craig.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział łagodnie. A później, zwracając się do Sama Calverta, dodał sztywno: - Przepraszam, zapomniałem się. Przy stole tej damy nie wypada podnosić głosu.

Sam Calvert stał jeszcze przez chwilę, a potem usiadł, nadal zaciskając zęby. Wcale nie zamierzał się poddać.

- Jestem równie dobrym konfederatem jak każdy z was - burknął. - Tylko że nie walczyłem. - Obrzucił Elliota oskarżycielskim spojrzeniem. - Ty też nie walczyłeś. Nie pojmuję, czemu tak się wynosisz ponad innych.

Elliot nie podniósł wzroku znad talerza, zajęty krojeniem plastra szynki na małe kawałeczki.

- Mój brat był bohaterem.

Jeffrey roześmiał się cicho. Śmiech, tak zaskakujący w napiętej atmosferze panującej w pokoju, zabrzmiał niczym wyzwanie.

- A więc teraz jestem bohaterem? - Wpatrzone w Elliota oczy błyszcząły. Jeff wydawał się rzeczywiście rozbawiony. - Czyżbyś powiedział mi właśnie: „Witaj w domu”?

Elliot zarumienił się, lecz nie odezwał się. Nagle rozległ się wysoki, nosowy głos pani Calvert. Amelia dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jedynie ona nie naśladowuje południowego akcentu.

- Bohater, co? To tak się to teraz nazywa?

Siedzący przy stole mężczyźni zamarli. Martha Craig wydała z siebie dziwne, stłumione westchnienie. Pani Calvert odwróciła się ku niej, najwyraźniej próbując się bronić.

- No, przepraszam cię, Martho, ale mam takie samo prawo mówić jak każdy, a przecież wszyscy wiemy, kim on jest.

Jeff opanował sytuację, przyznając pani Calvert rację.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał temu zaprzeczyć, szanowna pani. Lecz nim zacznie pani wymieniać litanie moich grzechów, pozwoli mi pani stwierdzić, że to chwila równie dobra jak każda inna na zakończenie kolacji. - Odłożył serwetkę i wstał. - Mamo, jak zawsze przygotowałaś wspaniałe posiłki. Panie wybaczą. - Ukłonił się zebrany i wyszedł.

Echo jego kroków umilkło, a przy stole nadal pano-

wała martwa cisza. Martha Craig uśmiechnęła się wreszcie z wysiłkiem i powiedziała:

- Taaak. Mamy jeszcze ciasto orzechowe i pyszne babeczki z jabłkiem. Czy ktoś napije się mrożonej kawy?

Amelia miała ochotę bić brawo. Dramat okazał się tak przekonujący, aktorzy tak świetnie zagrali swe role, że dopiero słowa Marthy uświadomiły jej, że to tylko inscenizacja. Tyle się działo, intryga goniła intrygę. Maciło się jej w głowie, gdy próbowała sobie to wszystko ułożyć. A jednak czuła ogarniającą ją fascynację. Peggy nie myliła się - to rzeczywiście mogła być świetna zabawa.

Finał kolacji był nudny i spokojny. Elliot próbował nawiązać z nią rozmowę, lecz Amelia doszła do wniosku, że niezbyt go lubi. Wydawał się wyjątkowo nie pasować do roli twardego pana domu; sprawiał wrażenie słabeusza próbującego bronić nie istniejącego autorytetu. W jego roli znacznie lepszy byłby Jeffrey.

Kiedy Martha Craig zaproponowała, by panie opuściły mężczyzn i pozwoliły im oddać się rozkoszom brandy i cygar, Amelia poczuła ulgę, lecz wkrótce przekonała się, że towarzystwo kobiet w małym saloniku jest znacznie bardziej wyczerpujące niż rozmowa z Elliotem. Każda z pań zabrała ze sobą coś do szycia i Amelia nie wiedziała, co począć z rękami. Abigail i Martha próbowały wciągnąć ją w rozmowę, zaś pani

Calvert przyglądała się jej drapieżnym spojrzeniem, jakby czyhając na jakieś potknięcie. Wyczerpało ją doszczętnie tworzenie sobie biografii w formie odpowiedzi na ich pytania. W końcu bąknęła coś o panującym w saloniku upale, przeprosiła panie i wyszła na werandę.

Rozejrzała się. Dom otoczony był krytym gankiem, ruszyła więc przed siebie, by nie słyszeć dobiegających przez okno saloniku kobiecych głosów. Za rogiem skręciła. Po tej stronie domu w oknach było ciemno. Co za dzień! Prawda, zjadła świetną kolację, bawiła się przy niej wyśmienicie, lecz nadal czuła się niepewnie w towarzystwie tylu obcych ludzi i trochę niepokoiła się o Peggy. A poza tym przygody znosi się przecież tylko do pewnego momentu. Żałowała, że nie jest u siebie w domu, we własnym łóżku.

Gdyby była teraz w swoim mieszkaniu, nalałaby sobie kieliszek wina, puściła muzykę z „Nędzników” i spędziła cudowne pół godziny śmiejąc się i płacząc przy tak dobrze znanych melodiach. O jedenastej obejrzałaby powtórkę serialu „M.A.S.H.”, wzięłaby prysznic i poszła do łóżka. Tak wyobrażała sobie wymarzony wieczór...

A przez następne dwie godziny przewracałaby się w łóżku rozmyślając, jaki błąd popełniła z Bobem, z czego będzie żyć, kiedy przestaną jej płacić odprawę, i żałując, że nic już nie będzie tak jak dawniej,

bowiem jej życie, choć nie wspaniałe, było przynajmniej dobrze znane.

I właśnie stąd, powiedziała sobie stanowczo, wzięła się pomysł tego weekendu, oderwania się od rzeczywistości. Na wyspie działały się tak tajemnicze rzeczy, że od chwili przyjazdu prawie ani razu nie pomyślała ani o Bobie, ani o tym, że jest bezrobotna.

Na ganku było bardzo ciemno, choć niebo rozświetlały gwiazdy. Balsamiczne powietrze pachniało kwiatami i ziołami, słysząc było tylko cykanie świerszczy i kumkanie żab. Pełen uroku, spokojny wieczór.

Najpierw poczuła zapach cygara, dopiero później dostrzegła palącego je mężczyznę. Siedział w rogu ganku, ukryty w głębokim cieniu, odchyłony na bujanym fotelu, ze stopą opartą na barierce. Gdy opuścił nogę i wstał, niemal się zderzyli.

- Och! - westchnęła. - Nie wiedziałam, że jest tu jeszcze ktoś oprócz mnie.

Z mroku wyłonił się Jeff Craig, z lekkim uśmiechem na ustach.

- Skoro nikt nie wie, że tu jestem, pani opinia chyba nie ucierpi.

Nie wiedziała, czy powinna iść dalej, czy raczej zawrócić. Mężczyzna zagradzał jej drogę, więc gdyby po prostu odwróciła się i odeszła, okazałaby nieuprzejmość. Po chwili wahania zbliżyła się do barierki, wychyliła i spojrzała na trawnik.



- Bardzo tu ładnie, prawda? - spytała.

Jeff podszedł do niej. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie pali cygara, lecz coś cieńszego, o łagodniejszym zapachu, podobnego do cygaretek pokazywanych na starych westernach.

Zaciągnął się po raz ostatni, wyrzucił niedopałek za barierkę, odwrócił się ku niej i zapytał spokojnie:

- Kim pani właściwie jest?

Zaskoczona, Amelia zamrugła oczami.

- O co panu chodzi?

- Chodzi mi o to, droga panno Langston, jeśli to pani prawdziwe nazwisko, że nie jest pani córką Charlotty Landston z Charlestonu. Nie przyplłynęła pani dziś rano promem, nie zgubiła pani bagażu i że wcale nie przypadkiem przewróciła się pani w naszym ogrodzie i straciła przytomność. Więc kim pani jest?

Amelia z ulgą porzuciła graną aż do tej chwili rolę.

- Ma pan rację. - Uśmiechnęła się. - Moja matka ma na imię Joanne. Handluje nieruchomościami w Virginia Beach. Przyjechałam z Richmond, choć urodziłam się w Norfolk. Naprawdę zgubiłam bagaże, ale nie wiedziałam nawet, że jest tu prom. Przyjechaliśmy szosą.

Między oczami Jeffa pojawiła się głęboka, pionowa zmarszczka.

- My?

- Ja i moja przyjaciółka, Peggy. Jest blondynką,

mniej więcej tego wzrostu. - Podniosła dłoń kilka centymetrów nad głowę. - Ma piwne oczy. Może pan ją spotkał?

Zmarszczka tylko pogłębiła się.

- Nie ma tu nikogo takiego.

Amelia miała ochotę zaprotestować, lecz w końcu z rezygnacją przygryzła wargę.

- Chyba rzeczywiście wyjechała - szepnęła z nie-szczęśliwą miną.

- A więc jest pani sama? - W głosie mężczyzny zabrzmiała ostra nuta, co zdziwiło trochę Amelię.

- Chyba tak - przyznała.

- I co pani tu robi?

Amelia wzruszyła ramionami.

- Piszę felietony kulinarne, o kuchni i diecie, dla lokalnego magazynu... a przynajmniej pisałam.

Patrzył na nią tak, jakby czekał, aż skończy. Kiedy milczała, zmarszczył ciemne brwi.

- O kuchni? - powtórzył. - To znaczy recepty i różne takie?

Zanim uświadomiła sobie, że na głębokim Południu ludzie mogą mówić „recepty” zamiast „przepisy”, minęła dobra chwila. W końcu odpowiedziała:

- No, coś takiego. Odwiedzam restauracje i piszę, gdzie najlepiej można zjeść w obcym mieście. Mniej więcej tym się zajmuję.

Patrzył na nią coraz bardziej przenikliwie.

- W ten sposób zarabia pani na życie?

Roześmiała się cicho.

- Do pewnego stopnia - odparła.

- Rozumiem. - Jeff obrócił się i oparł plecami o barierkę. - To najbardziej przekonujące ze wszystkiego, co powiedziała pani dziś wieczorem.

- Słucham?

Dostrzegła, że przygląda się jej z namysłem.

- Jest pani niezwykle młodą osobą. Ciagle nie wiem, co o pani myśleć.

Nikt nigdy jeszcze nie nazwał jej „niezwykłą”. Nie wiedziała, czy ma potraktować to jako komplement, lecz w rozmowie, prowadzonej na mrocznym gan-ku z przystojnym, zagadkowym mężczyzną było coś niesamowitego, a nawet romantycznego. Amelia tak długo była z Bobem, że już niemal całkiem zapomniała, jak powinna zachowywać się samotna kobieta. Bała się wszystkich niezręczności, które mogła popełnić podczas spotkania z mężczyzną, a jednak przy Jeffie nie czuła się niezręcznie - być może dlatego, że to wszystko sprawiało wręcz nierzeczywiste wrażenie.

Uśmiechnęła się i lekceważąco machnęła ręką.

- Nie ma we mnie niczego niezwykłego. Jestem osobą najzwyczajszą w świecie.

- Doprawdy? - Mimo ciemności spostrzegła w jego oczach wyraz rozbawienia. - Zjawia się pani zni-

kaąd, żeby zasłaabnąć w naszym ogrodzie. Bez przerwy mówi pani o swojej nie istniejącej przyjaciółce i o bagażu, którego, według mnie, także pani nie miała. Wygląda pani jak typowa piękność z Południa, lecz podobno zarabia pani na życie. I mówi to pani z dumą! Kiedy mama próbowała zmusić panią do wypicia maślanki i kiedy nakładano na panią mokre ręczniki, walczyła pani jak lwica, czego nigdy nie zrobiłaby dobrze wychowana dama. I nie zarumieniła się pani nawet, kiedy pokazałem pani klozet profesora Kane'a. Nie. Nigdy nie ośmieliłbym się stwierdzić, że jest pani osobą zwyczajną. Właściwie nie przypomina pani żadnej z kobiet, które znam.

Ta przemowa zmieszała ją. Nie wiedziała, jak powinna na nią zareagować. Ten mężczyzna nie sprawiał wrażenia kogoś grającego rolę Jeffa Craiga. Znów poczuła się niepewnie i odwróciła od niego wzrok. Do głowy przyszły jej jedynie te słowa:

- Musiał pan znać bardzo niezwykle kobiety.
- Tak mi się wydawało - zgodził się spokojnie.
- Póki nie spotkałem pani.

Pragnąc dowiedzieć się o nim czegoś więcej, poprosiła:

- Niech pan mi coś o sobie opowie. Czym się pan właściwie zajmuje, kiedy nie robi pan tego, co pan robi tutaj?

Jeff roześmiał się cicho i stwierdził sucho:

- Okradam banki i pociągi... sądząc po tym, co mówią o mnie ludzie.

Amelia znów poczuła wszechogarniające oszołomienie, jakby na moment znalazła się w innej epoce. Granica między rzeczywistością a fantazją okazała się tak mglista, że nie potrafiła odróżnić jednego od drugiego. Z kim rozmawia tak długo w ciemnościach? Z przystojnym aktorem, który zrobił sobie przerwę w pracy, czy też z prawdziwym Jeffreyem Craigiem? Na myśl o tym zadrżała. Potem tylko potrząsnęła głową - zdecydowanie dała się ponieść fantazji!

- Myślałam, że jest pan bohaterem tej wojny - stwierdziła z mocnym postanowieniem, że będzie się trzymać scenariusza.

Jeffrey sięgnął do kieszeni po kolejne cygaro. Patrzył na nie przez dłuższą chwilę, zanim powiedział:

- W tej wojnie nie było bohaterów.

Głos miał cichy, brzmiało w nim echo strasznych wspomnień. Amelia ze zrozumieniem skinęła głową.

- Tak jak w Wietnamie.

Utkwił w niej zdumiony wzrok.

- Gdzie?

Amelia zupełnie osłupiała. Przez cały dzień napotykała znacznie poważniejsze niespójności... tyle że w jego oczach dostrzegła teraz szczere zdziwienie człowieka, który naprawdę nigdy nie słyszał o Wietnamie. Miała wrażenie, że ktoś wbił jej nóż w serce.

Cichy głos gdzieś w głębi jej duszy powtarzał: „On to powiedział poważnie. On nie gra. Nikt tu nie gra... od samego początku. To...”

Z prawie rozpaczliwym wysiłkiem stłumiła ten głos i odwróciła wzrok. Przełknęła ślinę, opanowała się i kiedy przemówiła, w jej głosie nie słychać było ani odrobiny napięcia.

- A więc naprawdę okrada pan banki i pociągi?

Jeff spojrzał na cygaro, po czym miękkim ruchem wsunął je z powrotem do kieszeni.

- Nie, nie okradam. Lecz wątpię, żebym zdołał przekonać o tym szeryfów, skoro nie potrafię przekonać nawet rodziny.

- A więc... - zdyszany głos Amelii zabrzmiał fałszywie - ..intryga robi się coraz bardziej zawiłana.

- A tak - przytaknął cicho. - Ciekawe, co też pani ma z nią wspólnego.

- Ja? - Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

Jeff uśmiechał się ponuro.

- Nie po raz pierwszy użyto by kobiety jako szpiega.

- Szpiega? A więc miałabym być szpiegiem? - Amelia gwałtownie potrząsnęła głową. - O, nie! Bardzo dziękuję, ale nie przyjmę tej roli. Jest za trudna, a ja nie jestem aktorką. Niech kto inny zagra szpiega. Ja wolę siedzieć z boku i patrzeć.

Przez parę sekund Jeff spoglądał na nią w całkowi-

tym milczeniu. Potem roześmiał się niskim, wesołym głosem.

- Rzeczywiście - przyznał. - Nie nadaje się pani na szpiega. Mimo wszystko... - Przekrzywił głowę, a w jego oczach zamiast oskarżenia pojawiła się ciekawość. - Mimo wszystko nie mogę dojść, kim pani właściwie jest?

Amelia uśmiechnęła się zagadkowo.

- Może to nie ma znaczenia? To znaczy, o to w tym wszystkim chodzi, prawda? Zapomnieć o kłopotach życia we współczesnym świecie i uciec w krainę fantazji.

Po dłuższej chwili odpowiedział jej śmiechem.

- Ja także czuję się podobnie na tej wyspie. Chyba dlatego tu wracam.

- I gra pan zawsze tę samą rolę? - spytała przewrotnie.

- Och, nie! - odpowiedział z przekonaniem. Oczy mu błyszczały. - Za każdym razem jest to inna rola. Raz jestem zbuntowanym młodym człowiekiem, kiedy indziej praktycznym starszym bratem albo posłusznym synem, albo kimś, kto sprawia wyłącznie kłopoty... A teraz przyszło mi grać rolę uciekającego przestępcy. A jaką rolę gra pani, Amelio Langston?

- Och, sama nie wiem. - Amelia odchyliła głowę. W tym miejscu naprawdę było coś magicznego, odgłosy nocnego życia przyrody, spokój. Jakże łatwo

- być może zbyt łatwo - byłoby zapomnieć o niepewności, o wszystkich obawach, dać się ponieść fantazji. Od dawna już nie flirtowała, toteż owo spotkanie z tajemniczym nieznanym sprawiało jej wielką przyjemność.

- Nie sądzę, żeby pasowała do mnie rola typowej piękności z Południa, jak pan już sam zauważył. - Zerknęła na niego spod oka. - Być może będę ubogą krewną, która swoją skromnością i dobrocią podbija serce księcia z bajki albo, jak w tym wypadku, właściciela plantacji.

- Ta rola także do pani nie pasuje - zauważył Jeff.  
- Jest pani na to zbyt piękna.

Komplement ten wywołał na jej policzkach rumieniec. Roześmiała się i z przesadnym południowym akcentem rzuciła:

- Szanowny panie, ależ nie tak szybko!

Jeff uśmiechnął się, podniósł dłoń i lekko dotknął spływających jej na policzek włosów. Delikatny jak piórko dotyk ręki sprawił, że lekko zadrżała. Błysku, który dostrzegła w jego oczach, od dawna nie widziała w oczach mężczyzny; był podniecający, tyle obiecywał.

- A poza tym nie sądzę, żeby polubiła pani Elliota. Bywa nieco sztywny i nie przepada za gierkami.

- Kto twierdzi, że miałam na myśli Elliota? - odpowiedziała bez tchu.



Śmiałość tych słów zaskoczyła ją, ale w gruncie rzeczy jakie to miało znaczenie? Znalazła się w bajkowym świecie i tak łatwo, tak cudownie łatwo było zapomnieć o rzeczywistości. Tego właśnie potrzebowała - na chwilę przestać kierować się rozsądkiem, zapomnieć, kim jest i co zostawiła za sobą w prawdziwym świecie. Udawać, choćby na krótko, że jest kimś, kim nigdy nie była.

Serce biło jej mocno, oddech miała przyspieszony. Jeff obserwował ją z takim napięciem! Pachniał czystą bawełną i wyprawioną skórą, zmieszaną z ledwie wyczuwalną wonią dymu tytoniowego. Taki męski, szalenie wyrazisty zapach. Znow podniósł dłoń i palcami delikatnie musnął jej szyję. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Być może najbardziej odpowiadałaby mi rola kobiety bezwstydnej - brnęła dalej.

Na jego ustach pojawił się kpiący, lecz jednocześnie czuły uśmiech.

- Albo uroczej uwodzicielki - dokończył. Jedną ręką lekko uściśnął jej ramię, druga objęła talię. Nie opierała się, gdy ją przytulił.

Kiedy poczuła jego usta, zdumiała się własną reakcją. Nie był to delikatny pocałunek wyrafinowanego kochanka, w niczym nie przypominał gry, nie służył powolnemu uwodzeniu. Był zdecydowany, pewny, pozbawiony jakichkolwiek zahamowań. Jeff tulił ją

mocno, czuła na plecach jego silne dłonie. Była oszołomiona. Odniosła wrażenie, jakby przed nim nie tulił jej do siebie jeszcze żaden mężczyzna, jakby jeszcze nikt jej dotąd nie całował. W tej chwili czuła się tak, jakby był jej pierwszym mężczyzną.

Przerwał, lecz nadal wirowało jej w głowie. Nie potrafiła się od niego oderwać. Jeff dotknął wargami jej policzka i ogarnęło ją jeszcze silniejsze uczucie ekstazy. Przesunął rękę z jej pleców na szyję i przyciągnął jej głowę do siebie jeszcze bliżej, Amelia poczuła, że traci grunt pod nogami. Boże, to już nie jest gra!

- Nie - szepnęła. Nie miała pojęcia, skąd znalazła w sobie tyle siły, by wypowiedzieć to jedno słowo, by, aczkolwiek bez przekonania, w obronnym geście położyć mu dłoń na piersi.

Dotyk spoczywającej na jej szyi dłoni zelżał. Choć Jeff także oddychał nierówno, jego głos brzmiał niemal normalnie, gdy szepnął:

- Droga panno Langston, czyżbym się pomylił?

Chciała się uśmiechnąć. Z pewnością powiedział to tylko po to, by sprowokować ją do uśmiechu. Zdobyła się jednak tylko dwa słowa.

- O... Boże!

- Wolałbym nie mieszać w to Boga - odparł z ustami w jej włosach.

Zdeterminowana, oparła rękę na jego piersi i odepchnęła go, cofając się jednocześnie o krok. Jeff po-

woli opuścić ręce i oparł je na jej talii, jakby starając się zatrzymać ją przy sobie.

- Czy coś się stało? - spytał.

- Tak... Nie. To znaczy, nie chciałam... - Teraz Amelia rzeczywiście poczuła się jak głupiutka piękność z Południa. - Nie wiem nawet, jak masz naprawdę na imię! - wykrztusiła wreszcie, czerwona i zmieszana.

Uśmiechnął się cieplej i lekko kpiącym tonem powiedział:

- Tak się składa, że naprawdę mam na imię Jeff. Chyba już ci o tym wspomniałem. A ty? Jak masz naprawdę na imię?

Z trudem zapanowała nad głosem.

- Amelia. Przyjaciele mówią mi... Amy.

Lekko zacisnął rękę na jej talii.

- A teraz, kiedy już mamy to za sobą, czy czujesz się lepiej?

Napierw skinęła głową, a potem potrząsnęła.

- Na ogół... Ja... nie miałam zamiaru z tobą flirtować. Przepraszam.

- Nie - rzekł poważnie, delikatnie gładząc jej włosy. Potem odsunął się o krok. - To ja powinienem cię przeprosić. Obawiam się, że zbyt długo przebywałem z dala od cywilizacji. Zapomniałem, jak traktuje się damy. - Przyglądając się jej bacznie, dodał: - Nie wiem, kim jesteś, ale damą jesteś na pewno.

Patrzyła mu w oczy, zdziwiona zarówno swoim, jak i jego zachowaniem. Nie zdołała się powstrzymać i powiedziała:

- Nikt mnie jeszcze tak nie pocałował.

Jeff uśmiechnął się.

- To akurat miło mi usłyszeć. Ja sam od dawna nie całowałem tak wspaniałych ust... - Zniżył głos.  
- Spróbujemy jeszcze raz?

Nim zdążyła zaprotestować, choć w istocie nie miała takiego zamiaru, znów ją pocałował, tym razem łagodniej, krótko, choć i ten pocałunek zdawał się trwać całą wieczność.

Odsunął się i patrząc w jej twarz powiedział:

- Być może lepiej będzie, jeśli teraz się rozstanie-my. Od dawna nie ćwiczyłem roli dżentelmena... i trudno mi teraz ją grać.

Nie chciała się z nim rozstawać. Wolałaby ulec fantazji, zobaczyć, dokąd ją zaprowadzi, zapomnieć się na jedną noc i posłuchać podszeptów wyobraźni. Oczywiście, postąpiłaby nierozsądnie, co nie było jej zamiarem. Lecz w życiu nie czuła jeszcze tak silnej pokusy.

Po chwili skinęła głową i weszła do domu.

Przez dłuższy czas leżała z otwartymi oczami w swym wielkim łożu z baldachimem, lecz nie myślała ani o Bobie, ani o utraconej pracy. Chciała po prostu przeżyć na nowo wszystkie wydarzenia tego dnia.

Gdy tylko wspominała to, co zaszło na werandzie, czuła rumieniec na twarzy i przyspieszone bicie serca. Co się właściwie z nią dzieje? Nie należała do kobiet uganiających się za wakacyjnymi przygodami. To było specjalnością Peggy. Czyżby rzeczywiście znalazła się w takim stanie, że oszałamiał ją każdy nieznamy spotkany w gwiazdzistą noc? Zawsze wierzyła, że potrafi panować nad sobą znacznie lepiej, a teraz będzie zmuszona spędzić resztę weekendu unikając Jeffa... Tylko że wcale nie miała takiego zamiaru.

Nie była także pewna, czy chce tu zostać do końca weekendu.

Peggy by się z niej śmiała. Peggy by powiedziała, że Amelia ucieka przed własnymi marzeniami. I być może miałyby rację. Z pewnością otrzymała więcej, niż się spodziewała. Ten jeden pocałunek na ganku... Nie miała ochoty analizować bliżej uczuć, które wzbudziło w niej to zdarzenie. Gdyby się nad nimi zastanowiła, musiałyby dojść do wniosku, że wiele straciła. Wszystkie te lata z Bobem... Całe jej życie było jakieś ubogie. A poza tym Jeff Craig, bez względu na to, kim naprawdę jest, wydaje się jakiś dziwny.

Wszystko tu wydawało się dziwne. Zaginiona torba, zaginiona przyjaciółka, inny pokój! Staroświecka kanalizacja, brak elektryczności, aktorzy zbyt poważ-

nie traktujący swe role. Było w tym wszystkim coś straszliwie niepokojącego.

Powinna wyjechać. Skoro nie bawi się dobrze, może najrozsądniej byłoby znaleźć kogoś, kto rano odwiezie ją na plażę, gdzie bez wątpienia znajdzie Peggy chichoczącą z kłopotów, w jakich zostawiła przyjaciółkę.

A jeśli nie znajdzie tam Peggy? Jak zamelduje się w hotelu bez pieniędzy i kart kredytowych? Równie dobrze Peggy może się tu jutro pojawić. Ależ będzie się nabijała z głupoty swojej przyjaciółki. Skoro cała ta podróż była właśnie pomysłem Peggy, może należy przynajmniej dać jej szansę? W każdym razie trudno cokolwiek zrobić, zanim odnajdzie się torba. I choć Amelia bezustannie powtarzała sobie, że powinna przestać się martwić, a zacząć bawić, irytowało ją, że wpadła w pułapkę.

Zapadała już w płytki, niespokojny sen, gdy obudził ją jakiś dźwięk. Ktoś był na dole i gwizdał melodię, która była jej dziwnie znajoma i kojąca. Amelia poprawiła poduszkę, zamknęła oczy i pozwoliła jej ukołysać się do snu.

W chwilę później otworzyła oczy nad słuchując znajomych dźwięków, lecz na dole panowała już cisza. Nagle uświadomiła sobie, co to była za melodia. Pierwsza od wielu godzin oznaka dwudziestego wieku, na jaką tu natrafiła, dodała jej gwałtownej, niemal

histerycznej odwagi. Ktoś gwizdał „Hey, Jude” Beatlesów. Amelia ułożyła się wygodnie w łóżku i radośnie uśmiechnęła. Najwyraźniej ktoś oprócz niej także zapomniał o granej przez siebie roli.

Wczoraj  
zaczyna się jutro  
5

Obudziła się o świcie. Mrużąc oczy w blasku słońca przedzierającego się przez koronkowe firanki, patrzyła, jak Abigail trzyma się słupka baldachimu łóżka, a Lotti sznuruje jej gorset. W głowie kołatała się jej jedna myśl: „To sen. To może być tylko sen”.

Murzynka powiedziała nagle:

- Dziś będzie gorąco, panienko Abigail. Bardziej gorąco niż wczoraj. Ubierze się panienka w tę śliczną muślinową suknię, którą wieczorem obrębiłam?

- Lotti, ciszej, proszę - szepnęła Abigail. - Nasz gość jeszcze śpi. Tak, ta muślinowa będzie dobra.

- Ona prześpi śniadanie, jeśli zaraz nie wstanie.

- Źle się czuje.

- Może powinnam przygotować jej coś na wzmocnienie?

Amelia leżała nieruchomo i udawała, że śpi, lecz była przytomna jak jeszcze nigdy w życiu. Nie był to sen. I nie miała do czynienia z aktorami. W tej chwili była tego pewna. Nikt nie gra tak perfekcyjnie przy pustej widowni. Żadna dwudziestowieczna kobieta



nie dałaby sobie zasnuwać fiszbinowego gorsetu bez jednego, choćby najcichszego przekleństwa. Nikt nie gra tak doskonale, chyba że...

Chyba że dzieje się tu coś znacznie poważniejszego niż zwykła weekendowa zabawa w rozwiązanie tajemnicy zbrodni.

Mięśnie miała napięte, serce biło jej szybciej niż zwykle. Krótka chwila radości, którą przeżyła minionego wieczoru, w krainie fantazji, ulotniła się bez śladu. Amelia zdecydowała, że nie ma zamiaru ani chwili dłużej grać tej komedii. Działo się tu coś bardzo, bardzo dziwnego; musi wszystko rozwikłać w ciągu najbliższej godziny.

Usiadła na łóżku i odsunęła moskitierę.

- Dzień dobry. Lepiej się czujesz? - spytała Abigail.

- Czuję się doskonale - odparła równym, spokojnym głosem.

Lotti dygnęła.

- Dzień dobry, panienko. Przyniosłam panience suknię. Plama z trawy sprąta się bez śladu.

- Świetnie.

Amelia patrzyła, jak Lotti kończy dopinać guziki błękitnej sukni Abigail.

- Teraz rozumiem, dlaczego niegdyś trzeba było mieć służących. Bez pokojówki nie da się włożyć takiego stroju, prawda?

Abigail uśmiechnęła się niepewnie. Amelia wyskoczyła z łóżka i przeciągnęła się.

- Dziś mam ochotę włożyć normalne ubranie - rzekła. - Nie znaleźliście jeszcze mojej torby?

- Nie, jeszcze nie - odparła uspokajająco Abigail. - Mama posłała na przystań, żeby dowiedzieć się...

- Nie przypłynęłam promem - stwierdziła z naciśkiem Amelia, odwracając się w stronę dziewczyny.

- Nie wiedziałam nawet, że tu jest prom. W torbie mam wszystkie pieniądze i karty kredytowe. Chcę ją natychmiast odzyskać. A skoro już przy tym jesteśmy, chciałabym dowiedzieć się, co się stało z kluczem do pokoju, z ubraniami, w którym przyjechałam... i w ogóle z moim pokojem!

Abigail rzuciła Murzynce przelotne spojrzenie.

- Nie będę cię już potrzebować, Lotti.

Lotti z niepokojem popatrzyła na Amelię.

- Tak jest, proszę pani - szepnęła i szybko wyszła.

Kiedy zostały same, Amelia zaczerpnęła tchu i - naspokojniej jak potrafiła - zaczęła tłumaczyć:

- Słuchaj, nie zamierzam się na ciebie złościć. Wiem, że to wszystko należy do gry. Tylko że ja mam już tego zupełnie dosyć. Powiedz mi tylko, gdzie mogę znaleźć Karen, a ja już wszystko z nią załatwię i zaraz wyjadę.

- Kto to jest Karen?

Amelia złapała się za głowę i z rozpaczą popatrzyła w okno.

- Nie, tego już za wiele!

Zirytowana zwróciła się w stronę Abigail i zawołała:

- Słuchaj, w tym pokoju nie ma elektryczności. Nie ma tu nawet przyzwoitej łazienki, a kiedy wprowadzałam się wczoraj, było jedno i drugie. Jeśli tak macie zamiar traktować gości, to gwarantuję, że nie przetrwacie nawet miesiąca!

- Bardzo mi przykro, że ci się u nas nie podoba...  
-wykrztusiła Abigail.

- Po prostu nie nadaję się do życia w prymitywnych warunkach, rozumiesz? I nie sędzę, żeby ten żart - jeśli to w ogóle jest żart - był bardzo śmieszny. Powiem ci coś więcej i możesz to przekazać komuś, kto tu rządzi. Uważam, że mój bagaż skradziono i nikomu nie będzie do śmiechu, jeśli go natychmiast nie odzyskam.

W oczach dziewczyny Amelia dostrzegła zdumienie i lęk. Sama nie potrafiła uwierzyć, że powiedziała coś takiego. Nigdy przecież nie robiła scen. Należała do ludzi, którzy w restauracji zjedzą wszystko, co dostaną na talerzu, nawet jeśli to jest niejadalne, i jeszcze zostawią duży napiwek kelnerowi, grzecznie wysłuchają denerwującego telefonu od akwizytora i nawet coś od niego kupią, byle nie okazać się nieuprzejmym.

W korku ulicznym nigdy nie nacisnęła na klakson. Co się z nią dzieje! Straszy tę zupełnie obcą dziewczynę, oskarżając ją o coś, czemu z pewnością nie była winna!

Zrobiła krok w kierunku Abigail, chcąc ją przeprosić.

- Powiedz mi tylko, gdzie jest Karen - rzekła łagodniejszym tonem. - Koniecznie muszę z nią porozmawiać. Ona znajdzie mój bagaż, a potem zniknę i więcej się tu nie pokażę.

- Nie mogę ci powiedzieć, gdzie jest Karen! - Z oczu Abigail popłynęły łzy. - Nie mam pojęcia, o kim mówisz!

Amelia umilkła i przyjrzała się bacznie dziewczynie. Rozpacz w jej oczach nie mogła być udawana. Kiedy Amelia postąpiła krok do przodu, Abigail cofnęła się - i nie była to aktorska improwizacja. Abigail naprawdę się bała!

Tak łagodnie, jak tylko potrafiła, Amelia powiedziała:

- Proszę, przestań na chwilę grać i powiedz mi, o co tu właściwie chodzi.

Abigail już była przy drzwiach i trzęsącą się dłonią rozpaczliwie szukała klamki.

- Ty... ty chyba nie czujesz się dobrze.

- Powiedz mi tylko, o co tu chodzi.

Abigail jednak już była na korytarzu. Amelia usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Podeszła więc do okna i wyjrzała na dwór. Musi być jakieś wytłumaczenie, powiedziała sobie. Proste, rozsądne, zapewne nawet niewinne wytłumaczenie. Miała spędzić cichy, spokojny weekend w towarzystwie grupki przepracowanych dyrektorów i prezesów, poprzebieranych w historyczne kostiumy i bawiących się w detektywów. Taka ucieczka od rzeczywistości. I nic innego się tu nie dzieje, powtarzała w duchu, dodając sobie odwagi. Tylko dlaczego jej się zdaje, że trafiła wprost do filmu Hitchcocka?

Odgarnęła włosy, przytrzymała je na karku i nerwowo zaczęła upinać w węzeł. W porządku, powiedziała sobie. Przyjechałaś tu, żeby rozwiązać zagadkę, prawda? No więc ją rozwiąż.

W istocie jednak nigdy nie przepadała za zagadkami. Nie sądziła, by miało się to zmienić tylko dlatego, że została główną bohaterką w tej grze.

Jej wzrok padł na upraną i wyprasowaną suknię w różyczki, którą po raz pierwszy włożyła na siebie wczoraj, tuż po przyjeździe. Nie miała więc wyboru i zaczęła się ubierać. Jednak nawet ten drobiazg wydał się jej ustępstwem, niemal przyznaniem do porażki; z każdym zapiętym guziczkiem Amelia była coraz bardziej zirytowana. Powinna się wykapać. Włosy miała skręcone, bardzo potrzebowały pianki do układania i spinek. Brakowało jej nawet szminki i pudru, a bez nich jej twarz wydawała się blada, zmęczona

- zbyt podobna do twarzy z portretów, na których nawet najpiękniejsze kobiety - według dwudziestowiecznych kryteriów - sprawiały wrażenie bardzo zwyczajnych. Chociaż, powiedziała sobie, nie ma to przecież najmniejszego znaczenia. Nie przyjechała tu zwyciężyć w konkursie piękności, ma większe powody do zmartwień niż problemy z urodą.

Schodząc po schodach próbowała nie patrzeć na obrazy. Mogło jej się przecież coś pomylić z portretem Marthy Craig. Wtedy jeszcze nie przywiązywała to tego większej wagi. Nie wyobrażała sobie, po co ktoś miałby przewieszać obrazy... tak jak nie widziała powodu, by ktoś wykształcony, mężczyzna w wieku Jeffrey'a Craiga udawał, że nigdy nie słyszał o Wietnamie.

Stojący w holu stół z prospektami i broszurkami został usunięty, podobnie jak sztalugi i tablica, na której zapisywano program dnia. Stary zegar stał na swoim miejscu, wraz z obitymi brokatem krzeselkami i kanapkami. Z innej części domu doleciał zapach kawy i wiejskiej szynki, ale - dziś wyjątkowo - apetyt nie był jej największym problemem. Podeszła do frontowych drzwi. Zrezygnowała z prób dyskusji z kimkolwiek spośród mieszkańców tego domu. Na dworze znajdzie może portiera, ogrodnika lub parkingowego, który udzieli jej jakichś informacji.

Przed domem ujrzała jednak tylko profesora Kane'a.

Siedział na giętym, bujanym fotelu i przyglądał się pająkowi, tkającemu sieć między okapem - znajdującym się tuż nad głową profesora - i jedną z kolumn. Profesor nie zareagował na pojawienie się Amelii, lecz była pewna, że ją zauważył.

- Dzień dobry - powiedziała.

Odpowiedziało jej chrząknięcie.

Wydawało się najzupełniej oczywiste, że nie wydobędzie z niego niczego konkretnego, więc odwróciła się, by odejść, kiedy na podłodze przy fotelu dostrzegła złożoną gazetę.

- Dzisiejsza? - spytała podnosząc ją.

- Wczorajsza. Na wyspę wszystko dociera dzień później.

Amelia rozłożyła gazetę. Była to kopia wydawnictwa z epoki - charlestońska „Gazette”. Zaimponowało jej to, lecz także trochę zirykowało. Rzeczywiście, dbano tu o każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.

Już miała zamiar odłożyć gazetę, kiedy nagle jej wzrok przykuła data: „14 czerwca 1870”.

- Pomylili daty - stwierdziła.

Profesor, aczkolwiek niechętnie, oderwał wzrok od pajęczyny.

- Proszę popatrzeć. - Wskazała mu palcem odpowiednie miejsce. - To dowód pewnej beztroski, prawda? Zwłaszcza że wszystkiego innego dopilnowano tak starannie. - Poczowała przypływ lekkiego optymizmu.

zmu. Ktokolwiek to wszystko wymyślił, nie był nieomylny, a jeśli pomylił się raz, może pomylić się znowu. Nie czuła się już tak osaczona jak przed chwilą.

Bez większego zainteresowania profesor Kane stwierdził sucho:

- A pani zdaniem którego dzisiaj mamy?

Amelia zastanawiała się przez chwilę.

- Wczoraj był trzeci - powiedziała w końcu.

- Dzisiaj jest czwarty. Czwarty lipca.

Na moment łagodne, niebieskie oczy nabrały ostrzejszego wyrazu, a potem profesor najwyraźniej znów stracił zainteresowanie całą sprawą i powrócił do kontemplacji pajęczyny.

- Czas to zabawna rzecz - stwierdził w zamyśleniu. - Wszystko zależy od punktu widzenia. Weźmy na przykład tego pająka. Jego życie trwa tylko kilka dni. Od chwili, gdy pani tu przybyła, dla niego minęło wiele lat. Wszystko zależy od punktu widzenia.

Niespiesznie wstał z fotela.

- Chyba powinienem pójść do warsztatu. Muszę dziś popracować trochę przy mojej maszynie.

- Maszynie? - powtórzyła zaciekawiona Amelia.

- Perpetuum mobile - wyjaśnił profesor i ruszył ku schodom. - Zupełnie nieźle mi idzie. Zupełnie nieźle. Może pani pójść ze mną i popatrzeć. Mnie to nie przeszkadza.

Nieco oszołomiona powiodła za nim wzrokiem.



Szedł ścieżką, skręcił za rogiem domu i zniknął. Amelia wróciła do domu.

Obejrzała po kolei wszystkie pokoje na parterze. Na żadnym nie znalazła napisu „Biuro”, w żadnym nie było łazienki ani szafki na ręczniki i prześcieradła, czyli tego, co obowiązkowo znajduje się w każdym hotelu. Wszystkie natomiast urządzone były w duchu epoki - i puste.

Nagle usłyszała dobiegające z jadalni głosy. Wydawało się jej, że w jednym z nich rozpoznała Elliota Craiga.

- Na miłość boską, Abigail, uspokój się! Mamy tu dość kłopotów i bez tych twoich żali, że musisz dzielić z kimś pokój!

- Bo ty jej nie widziałeś! Nie słyszałeś, jak do mnie mówiła... i co mówiła! Ona... z nią coś jest nie tak, mamo.

- To samo powiedziałam ci wczoraj, Elliot. - Pani Craig była wyraźnie zmartwiona. - Może powinniśmy poprosić doktora Calverta, żeby ją zbadał?

- To stary szalbierz. - Słowa te wypowiedział niewątpliwie pułkownik Talbot swym charakterystycznym, szorstkim głosem. - Nie odróżni użądlenia pszczoły od ugryzienia psa, a jeśli chcecie poznać moją opinię...

Amelia nie mogła tego słuchać. Wprawdzie nie miała sposobu, by przejść koło jadalni nie dostrzeżo-

na, ale było jej to obojętne. Uniosła suknię i pobiegła przed siebie.

Nie wiedziała, przed czym ucieka: przed wstydem, że rozprawiają o niej tak bezceremonialnie, przed własnym niepokojem i gniewem, a może nawet przed prawdą? To, że po raz kolejny aktorzy zagrali doskonale przy pustej widowni, może oznaczać wyłącznie jedno: to nie są prawdziwi aktorzy.

Uważała zawsze, że jest w niezłej formie, lecz ciężka suknia utrudniała jej ruchy, wilgotność powietrza odbierała oddech, a podniecenie siłę. Zaledwie dobiegła do pierwszego rzędu wysokich cyprysów, stojących u początku drogi, a już zdyszała się i musiała przystanąć.

Oparła się dłonią o drzewo. Nie klęła jak szewc tylko dlatego, że brakowało jej tchu. Nie usłyszała kroków za plecami, nie wiedziała, że ktoś znalazł się przy niej, dopóki nie poczuła czyjś dotyku na ramieniu.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Jeffreyem Craigiem, trzymającym w dłoni wielki, damski kapelusz.

- Zapomniała go pani - powiedział spokojnie i wyciągnął rękę.

Patrzyła na niego stojąc bez ruchu i ciężko dysząc. Po chwili Jeff wzruszył ramionami, nałożył jej kapelusz na głowę i zaczął zrećcznie wiązać pod brodą sze-

roka, różową wstążkę. Nie było w tym nic szczególnie intymnego, lecz sama jego bliskość i delikatny dotyk palców na szyi wywołały znajome drżenie.

W ciepłym blasku poranka Jeff wydał się jej znacznie bardziej intrygujący niż w mroku nocy. Chłodne, zielone oczy patrzyły uważnie i przenikliwie. Dziewiętnastowieczny strój nosił z naturalnym wdziękiem, który podkreślał jeszcze jego męskość. Dopiero teraz, stojąc przy nim w pełnym świetle dnia, Amelia zorientowała się, co ją tak zafascynowało wieczorem: jego nie narzucająca się lecz niewątpliwa zmysłowość. Może i Jeffrey Craig jest aktorem, lecz ten Jeff, który przed nią stoi, jest niewątpliwie prawdziwy, i nie tak w końcu różny od granej przez siebie postaci. Żałowała tylko, że nie wie, gdzie kończy się gra, a zaczyna rzeczywistość.

Unikała jego wzroku czekając, aż uspokoi się jej bijące jak dzwon serce. Potem powiedziała:

- To nie mój kapelusz.
- Oczywiście. To kapelusz mojej siostry - powiedział nie ruszając się z miejsca. Czuła na sobie jego baczny wzrok. - Jeśli dobrze pamiętam, przyjechałaś bez kapelusza, a niebezpiecznie wychodzić na taki upał z odkrytą głową.

O tej porze słońce stało nisko nad horyzontem. Zauważyła, że Jeff też nie ma głowie kapelusza. Mimo to okazał wielką uprzejmość, dbając o jej zdrowie.

Ten nieoczekiwany gest zmieszał ją jeszcze bardziej. Nerwowo rozglądała się po dziedzińcu, ale nie mogła *przecież unikać jego* wzroku w nieskończoność. Nagle spojrzała mu w oczy i powiedziała:

- Słuchaj, jeśli chodzi o miniony wieczór... Nie chcę, żebyś mnie źle rozumiał. Zazwyczaj tak się nie zachowuję i wolałabym, żebyś sobie nie pomyślał. ...

- Zapewniam cię, że nigdy czegoś podobnego sobie nie pomyślę - przerwał jej z niezmaconym spokojem. Potem obdarzył ją uśmiechem, który niewątpliwie miał jej dodać otuchy, lecz sprawił tylko, że poczuła się jeszcze bardziej zakłopotana. - Chyba niewiele wiesz o mężczyznach - mówił dalej. - Wykorzystamy każdą okazję, jaka się nadarzy, ale większość z nas wie, jak daleko może się posunąć. Nie znaczy to, oczywiście - dodał i ujął ją pod ramię - że nie zamierzam spróbować jeszcze raz. Możesz uważać to za ostrzeżenie.

Amelia potrząsnęła głową, lecz wbrew samej sobie poczuła odrobinę absurdalnej satysfakcji, a nawet podniecenia. Z pewnością spędzają tu weekend ładniejsze od niej młode kobiety - choć oprócz Abigail nie widziała jeszcze żadnej - on jednak wybrał właśnie ją. Amelii nieczęsto zdarzało się coś takiego, więc oczywiście poczuła się jeszcze bardziej onieśmielona. Głos rozsądku przypomniał jej, że ostatnią rzeczą,

jakiej teraz potrzebuje, jest serce złamane trzydniową przygodą z hotelowym donżuanem.

Jeff gestem wskazał jej ścieżkę, a ona nie próbowała nawet uwolnić ramienia. Ruszyli razem.

- Chciałam tylko, żebyś zrozumiał, że nie interesują mnie weekendowe romanse. A nawet gdyby tak było, mam teraz znacznie poważniejsze problemy.

- Rzeczywiście, i mnie się tak wydaje - odparł cicho.

Amelia paplała teraz szybko, niezbyt troszcząc się o to, co właściwie mówi, jak zawsze, gdy była zdenerwowana.

- Po prostu teraz wcale tego nie potrzebuję. Przyznaję, trochę uległam urokowi chwili, ale to chyba zupełnie naturalne po tym wszystkim, co się tu wydarzyło. No, bo właśnie zerwałam z mężczyzną - a raczej to on zerwał ze mną - i chyba nie całkiem się z tym jeszcze pogodziłam, choć byłam pewna, że jest inaczej. To znaczy, przecież wiem, że twoim obowiązkiem jest bawić gości...

Jeff puścił nagle jej ramię, odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. W jego wzroku widać było oburzenie i lodowatą furję.

- Bawić gości? - powtórzył tak ostro, że zabrzmiało to jak twierdzenie, a nie pytanie. - A więc twoim zdaniem to właśnie robię?

Amelia zorientowała się, że popełniła błąd. Ten

mężczyzna nie jest żigolakiem i sam fakt, że coś takiego w ogóle mogło jej przyjść do głowy, świadczył o tym, jak bardzo jest wytrącona z równowagi. Jeśli jest aktorem, to bardzo dobrym. Może miał ochotę z nią poplirtować i nieco przesadził ze swą rolą, lecz - patrząc mu w oczy - stwierdziła, że uwodzenie kobiet nie jest jego zadaniem.

Wszyscy przeciw mnie, pomyślała i trochę się za-wstydziała. Ale przecież, biorąc pod uwagę okoliczności, odrobina podejrzliwości była chyba najzupełniej uzasadniona.

- Bardzo cię przepraszam - powiedziała zakłopotana. - Nie chciałam... Sama już nie wiem, czego chciałam! Tylko że to wszystko jest takie dziwne, nic z tego nie rozumiem... - Nagle wybuchnęła: - Powiesz mi, co tu się dzieje? Czy ty w ogóle wiesz, co się tu dzieje?

Widziała, jak powoli opuszcza go złość. I choć przyglądała mu się uważnie, w jego oczach nie dostrzegła śladu wahania, a na twarzy - śladu nieszczęrości. Sprawiał wrażenie zamyślonego.

- Nie wiem - powiedział po prostu. - Myślałem, że ty mi powiesz.

Amelia poczuła gwałtowny przypływ rozpacz. Odwróciła się gwałtownie, aż zaszumiała suknią, i szybko ruszyła przed siebie. Jeff z łatwością dotrzymał jej kroku.

Doszli do dużego budynku z surowego drewna. Po chwili zmagających ze skoblem Amelia zdołała otworzyć wrota. Wnętrze było ciemne. W powietrzu przesyconym słodkim, ostrym zapachem suszącego się ziarna unosił się pył. W środku nie było niczego, co by nie pasowało do dziewiętnastowiecznej stodoły. Była tego pewna, jeszcze za nim rozejrzała się dokoła.

- Ktoś tu próbuje mnie okpić - powiedziała bardziej do siebie niż do swego towarzysza. - Tylko kto? I po co?

Wyszła ze stodoły i z determinacją ruszyła ścieżką przed siebie.

Jeff zamknął wrota na skobel i dogonił ją po kilku krokach.

- Czego właściwie szukasz? - spytał uprzejmie.

- Garażu - odparła. - Można tu dotrzeć wyłącznie samochodem. A samochody muszą gdzieś przecież parkować. Trudno ukryć kilkanaście samochodów.

Podeszła do jakiejś szopy i choć była ona zbyt mała, by zmieścić się w niej samochód, mimo wszystko zajrzała do środka. Trafiła do wygodki. Z obrzydzeniem zamknęła drzwi. Jeff stał z wyrazem rozbawienia na twarzy.

Obejrzała po kolei wszystkie budynki: wysoką, wąską wędzarnię, przesyconą wilgocią spiżarnię, wozownię, w której stała kareta i powóz. Po każdym kolejnym rozczarowaniu przyspieszała kroku, aż wresz-

cie dotarła do stajni, jej ostatniej szansy, jedyne miejsce, które dałoby się przerobić na garaż. Jednak stajnia pachniała wyłącznie sianem i nawozem, a w środku zobaczyła kilka koni do jazdy wierzchem, parę mułów oraz wóz z pękniętą osią. W osobnym pomieszczeniu leżały siodła i skórzana uprząż.

Wyszła na słońce, masując skronie, w których narastał ból.

- Musi być jakieś wyjaśnienie - szepnęła do siebie. - Musi!

Jej wzrok powędrował na pola. Wzdłuż bruzd poruszały się małe z tej odległości postaci, pochylające się i prostujące w rytm ruchów motyk. W kurniku na grzędzie siedziały gdaczące kury, z dala dobiegało kwiczenie zamkniętych w obórcie świń. Niedaleko przechadzał się dumnie paw, owce pasły się po przeciwnej stronie trawnika. Z komina unosił się dym palonego drewna, rozwieszająca pranie kobieta nuciła jakąś nieznaną Amelii piosenkę. Spokojna, wiejska scenka, prawdziwa... Aż za bardzo prawdziwa.

Ktoś stawał na głowie, aby przekonać ją, że bez wątplenia jest rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty, że jest gościem autentycznej rodziny Craigów, że to nie inscenizacja, nie jakaś gra, lecz absolutna prawda. Nawet zabytkowe gospody Williamsburga wyposażone były w strzałki wskazujące wyjście i toalety z bieżącą wodą. Nawet na uliczkach Salem świeciły elektryczne



latarnie. Nawet Amisze używają telefonów... lub przynajmniej coś o nich wiedzą. Tu autentyczny był każdy szczegół, nawet aktorzy nie pomylili się ani razu.

Spojrzała na Jeffa i szybko odwróciła wzrok, usiłując powstrzymać dreszcz strachu. Prawda, nie był tak dziwny jak reszta rodziny, lecz gdyby przypomniawszy sobie każdą spędzoną z nim chwilę... Czy choć raz miała absolutną pewność, że on nie gra wyznaczonej sobie roli? W jej głowie pojawiło się naraz kilka tłumaczących to wszystko nonsensownych teorii, od zbiorowej halucynacji począwszy, przez pranie mózgu, na intrydze CIA skończywszy. A może sama to wszystko wymyśliła? Może to wczorajsze uderzenie w głowę było groźniejsze, niż przypuszczała? Może w rzeczywistości żyła w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, a jej wspomnienia z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego były tylko snem?

Jakże żałowała, że nie spotka tu kapitana Kirka. Już on wiedziałby, co zrobić.

Dokładnie w tym momencie Jeff powiedział:

- Wiesz, moja siostra uważa, że jesteś naprawdę szalona.

Amelia wybuchnęła zdławionym śmiechem. Były chwile, w których zgodziłaby się z nią w całej pełni.

- A ty?

- Ja nie.

Spojrzała na niego, nagle pełna nadziei. On jednak coś musi wiedzieć.

- Dlaczego? - Niemal zabrakło jej tchu, by wypowiedzieć to jedno słowo.

- Nie jestem całkiem pewien - odparł z głębokim namysłem. - Być może zbyt często oskarżano mnie o to, że osądzam innych ludzi. Być może widziałem zbyt wiele, żeby być pewnym czegokolwiek.

Na jego ustach pojawił się cyniczny uśmiech, jakby kąpił nie tylko z niej, ale i z siebie.

- Nie wykluczam też, że najbardziej pociąga mnie w tobie właśnie twoje szaleństwo. Nie po raz pierwszy stanąłbym do walki o przegraną sprawę... i z pewnością nie po raz ostatni.

Była to odpowiedź, najłagodniej mówiąc, przygnębiająca. Amelia jeszcze raz z posępną miną rozejrzała się wokół, sprawdzając, czy czegoś nie pominęła, zastanawiając się nad tym, jaki mogła popełnić błąd, poszukując jakiejś nieprawdopodobnej teorii, której jeszcze nie zbadała.

Jej wzrok padł na biały dom, który wczoraj zobaczyła z okna swego pokoju. Czyżby rzeczywiście przyjechała tu zaledwie wczoraj? Miała wrażenie, że między „wtedy” a „teraz” minęły lata, że jest pająkiem profesora Kane'a, tkającym sieć życia przez kilka zaledwie dni.

- Co to jest? - spytała wyciągając dłoń.
- Domek letni - odparł Jeff i wziął ją pod ramię.
- Masz ochotę go obejrzeć?

Budynek wydawał się zbyt mały, by mógł pomieścić kilkanaście samochodów lub w ogóle coś ważnego i znaczącego, więc tylko potrząsnęła głową. Nie zaproponowałby jej, by go obejrzała, gdyby coś tam ukryto. Coraz wyraźniej rozumiała, że wyjaśnienia wszystkich kolejnych zagadek nie znajdzie na otaczającym dom terenie.

Nagle przysłała jej do głowy pewna myśl.

- Jeff, zrobiłbyś coś dla mnie? - spytała.
- Szarmancko skłonił głowę.
- Służę w każdej chwili.
  - Zabierz mnie na plażę. Muszę odnaleźć Peggy, a to jedyne miejsce, gdzie może być. - Ale chodziło jej nie tylko o odnalezienie przyjaciółki; nagle poczuła nieodpartą potrzebę odnalezienia cywilizacji, takiej jaką znała: parasoli plażowych, kostiumów bikini, barków wokół basenów, asfaltowych parkingów, kelnerów w szortach i hawajskich koszulach - tego wszystkiego, z czego składa się rzeczywistość. Jeśli wkrótce jej nie odnajdzie, może postradać zmysły.

Jeff spojrział w niebo. Amelia zauważyła ten jego nawyk, całkowicie naturalny u farmerów, niemal nie istniejący u ludzi z miasta - kolejny dowód na to, jak dobrze nadawał się do swej roli.

- Oczywiście - powiedziały. - Dlaczego nie? Zdamy dotrzeć na miejsce i wrócić, nim zrobi się zbyt gorąco. Pójdę po Abigail.

- Nie! - Amelia złapała go za rękę. - Nie chcę, żeby jechała z nami i nie chcę na nią czekać. Jedźmy od razu, dobrze?

- Jesteś pewna, że obejdziemy się bez przyzwoitki? Twojej matce by się to chyba nie podobało. Jeśli już o tym mowa, mojej także.

- Proszę! - Amelia była tak zniecierpliwiona, że nie mogła ustać w miejscu. - Czy możemy jechać? Już?

Jeff przyjrzał się jej sceptycznie, choć z rozbawieniem, a potem zwrócił się w kierunku stajni i zawołał:

- Skinner! Przygotuj powóz, dobrze?

Amelia westchnęła z ulgą.

Nieco później, podczas niezbyt komfortowej jazdy, przekonała się, jak daleko może posunąć się człowiek gotowy za wszelką cenę uwierzyć w to, w co uwierzyć nie sposób. Prawdę mówiąc, tym właśnie zajmowała się od wczorajszego popołudnia. Ignorowała fakty, wymyślała różne usprawiedliwienia, niezmordowanie udawała, że wszystko jest dokładnie tak, jak powinno, aż w końcu zaczęła się potykać o fakty obalające tę pewność. Nawet wtedy powtarzała sobie, że musi istnieć jakieś racjonalne wyjaśnienie i że jej winą jest, iż nie potrafi go znaleźć.

Powóz podskakiwał na wyboistej drodze, oddalając się od plantacji. Amelia kurczowo trzymała się obitego skórą siedzenia, aż pobieleły jej kostki palców, i uparcie ignorowała wszelkie dowody na to, że wyspa Aury różni się od tej, na którą przyjechały z Peggy. Minęły wioskę pełną drewnianych chat - nie widziały jej przedtem, oczywiście. Na bagnach uprawiano ryż; robotnicy w kombinezonach i grubych, bawełnianych koszulach długimi kijami wybijali z niego ziarno... Cóż, wtedy niemal przez całą drogę do hotelu czytała prospekt. Przypominający dżunglę las wydawał się jeszcze gęściejszy... Z pewnością Jeff wybiera boczne dróżki. Przecież razem z Peggy jechały asfaltową szosą, przy której stały normalne znaki drogowe, nie brakło nawet umieszczonych dyskretnie drewnianych tablic z nazwami ulic.

Teraz ciszę dusznego, upalnego poranka zakłócało tylko brzęczenie owadów i skrzypienie resorów powozu; wystarczyło kilkanaście minut, by Amelia dość miała tej ciszy. Musiała coś powiedzieć.

- Pewnie myślisz, że jestem strasznie głupia. Nie chodzi o to, że nie lubię się bawić. Na ogół nawet uwielbiam! Po prostu źle znoszę przygody. Właściwie, to wcale nie chciałam tu przyjeżdżać. Wiedziałam, że coś takiego zupełnie do mnie nie pasuje. Peggy ciągle próbuje namówić mnie albo na spływ górskimi strumieniami, albo na wyprawę w Góry Skaliste, albo na

zwiedzanie Alaski helikopterem. Zawsze brzmi to wspaniale, tylko dla kogoś innego, nie dla mnie. Może jestem po prostu leniwa, ale nie widzę powodu, żeby płacić i denerwować się na wakacjach. Życie codzienne jest wystarczająco stresujące.

Jeff rzucił jej dziwne spojrzenie, ale się nie odezwał.

Amelia zaś powoli traciła pewność siebie. Mówiła tylko po to, żeby nie myśleć.

- Jestem pewna, że należysz do mężczyzn, którzy wolą wakacje na łonie natury.

- Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem.

- No, polowanie, strzelanie, noclegi pod gołym niebem. Tego rodzaju rzeczy.

Jeff roześmiał się krótko.

- Polowanie trudno nazwać rozrywką, w każdym razie nie tam, gdzie ostatnio bywałem. A jeśli chodzi o noclegi pod gołym niebem, zdecydowanie wolę spać pod dachem i w czystej pościeli.

Amelia uśmiechnęła się nerwowo.

- Ja też. Nie cierpię robactwa.

Jeff wybuchnął głośnym śmiechem.

Po chwili zjechał na bok, zatrzymał powóz i obwiązał lejce na hamulcu.

- Stąd łatwiej będzie pójść piechotą - wyjaśnił.

- Ocean widać z tego wzniesienia.

Zeskoczył i podszedł do powozu od strony, z której siedziała Amelia. Rozglądała się wokół niepewnie.

- Jesteś pewien, że to ta plaża?

- Mamy tylko jedną plażę nad oceanem - zauważył, a ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Wczoraj dość dokładnie przestudiowała mapę. Lecz z Peggy jechały zdecydowanie inną drogą. Wszystko wyglądało inaczej. Tak tu pusto, cicho... Słowem, zupełnie inaczej.

Wąska, piaszczysta ścieżka pięła się w górę wśród trawy morskiej i dzikich, powykręcanych zarośli. Była dość stroma. Jeff szedł tuż za nią, trzymając dłoń na jej ramieniu. Amelia przeklinała swą długą suknię, potknęła się nawet kilka razy, lecz on zawsze zdołał ją podtrzymać.

Słyszała już skrzeczenie mew, czuła zapach soli w powietrzu. Było gorąco, na twarzy poczuła kropelki potu. Ciepły wiatr próbował zerwać jej z głowy kapełusz. Fale łagodnie rozbijały się o pobliski brzeg. Tuż przed szczytem wzniesienia przyspieszyła kroku.

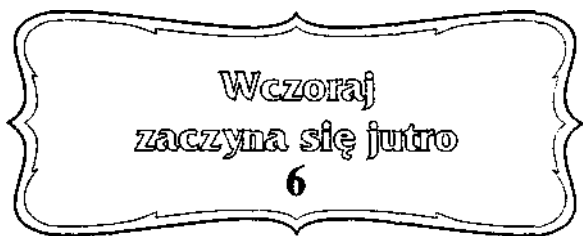
Wreszcie stanęli na płaskim pagórku. Amelia była tak pewna tego, co zobaczy, że przez chwilę istotnie widziała szeroki pas białego piasku, kolorowe, plażowe parasole stojące przed dyskretnie wkomponowanym w zieleń hotelem, opalone, rozciągnięte na koczach ciała, dzieci baraszkuje wśród fal.

Jednak w rzeczywistości patrzyła na pustą, wąską nieuporządkowaną plażę, biegnącą łagodnym łukiem wzdłuż linii wody i ginącą gdzieś w oddali. Błękitno-

zielone fale przyływały i odpływały, zostawiając na piasku skarby morza: kawałki drewna i muszle. Mewy skrzeczały, to opadając tuż nad wodę, to wznosząc się w powietrze. Plaża, morze i mewy. Tylko to, i nic więcej.

Wszystko zniknęło.





Wczoraj  
zaczyna się jutro  
6

Amelia zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, jak długo stała wpatrzona w leżącą poniżej pustą plażę, nim wreszcie zrozumiała... Lecz nawet wtedy nie uwierzyła do końca.

Najpierw poczuła się zdradzona. W prymitywnym, instynktownym odruchu wściekłości chciała rzucić się na ziemię i walić pięściami w piasek, jakby na nim mogła się zemścić. Cały luksusowy kurort zniknął! Do tej pory jedyną nicią, jaka wiązała ją z rzeczywistością, była pewność, że po drugiej stronie wyspy, na końcu pełnej zakrętów drogi, życie toczy się normalnie, ludzie popijają gęste, słodkie tropikalne drinki, chodzą w przewiewnych ubraniach i przeciw-słonecznych okularach, pod prysznicem myją się małymi mydełkami w kształcie muszli. Jest tam Peggy... i telefony, samochody, telewizory. Przecież na to właśnie liczyła! Ktoś odebrał jej jednak i tę ostatnią nadzieję; cywilizacja znikła. Przed szeroko otwartymi, zdumionym oczami Amelii ciągnęła się dzika, pusta plaża.

Potem pomyślała, że to na pewno nie ta plaża. Gwałtownie obróciła się w lewo, potem w prawo, a później dokoła. Niemożliwe, by nagle przypadło gdzieś całe wakacyjne miasteczko! Pewnie ogląda plażę ze złego miejsca. Widziała jednak zarówno jej początek, jak i koniec: łagodna, wygięta linia brzegu, dokładnie taka sama, jaką widziała wczoraj i doskonale zapamiętała.

Nagle zauważyła coś jeszcze. W zasięgu wzroku nie było ani jednego statku. Ilekroć przebywała na plaży, na horyzoncie widziała zawsze trawlerzy, kutry do połowu krewetek, kilka tankowców - i nie tylko to! Kiedy właściwie po raz ostatni słyszała przelatujący odrzutowiec? Lotnisko w Charlestonie znajdowało się przecież niewiele ponad sto kilometrów stąd, nie mówiąc już o bazie wojskowych sił powietrznych, której piloci nieustannie latali nad plażami.

Naraz Amelia uświadomiła sobie, że brakuje jej setek znajomych drobiazów; świadomość ta po prostu ją poraziła. Zniknęły zwykłe odgłosy, zapachy i widoki normalnego życia: pomruk silników, cichy szum samochodów pędzących odległą drogą, słupy telefoniczne, żółte znaki w miejscach, gdzie zakopano przewody elektryczne, hydranty przeciwpożarowe, zapach środków owadobójczych na terenach bagiennych, oznaczenia wjazdów na autostradę, światła na skrzyżowaniu...

Amelia drżała tak mocno, że nie potrafiła złapać oddechu, nie miała odwagi myśleć.

Odwróciła się w stronę Jeffa.

- Którego dziś mamy? - spytała ochrypłym szeptem.

Jeff zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien. Na wyspie nie liczy się dni. Jest połowa czerwca, tyle wiem. Czternasty albo piętnasty.

Zrozpaczona, krzyknęła:

- A rok? Który mamy rok!?

Jeff, choć zaszokowany jej histerycznym głosem, odpowiedział spokojnie:

- Tysiąc osiemset siedemdziesiąty.

Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami. Chciała go pobić, wrzeszczeć na niego, nazwać go kłamcą - ale on przecież nie kłamał. Pojęła to wreszcie, choć powinna dojść do takiego wniosku znacznie wcześniej - lecz wcześniej nie potrafiła uwierzyć.

Otwierała właśnie usta, by wyrzucić z siebie całą udrekę, lecz gwałtowny przypływ mdłości stłumił jej krzyk. Obraz przed jej oczami poruszył się nagle, piasek plaży okazał się śliski. Opanował ją przeraźliwy strach. Dostrzegła niepokój na twarzy Jeffa, który wyciągnął rękę, by ją podtrzymać. Gestem dłoni ostrzegła go, by się nie zbliżał. Odbiegła kilka kroków, upadła na kolana i zwymiotowała.

Nie wiedziała, jak długo to trwało. Czuła, że Jeff klęka obok niej, że przytrzymuje ją pod ramię, że odgarnia jej włosy z twarzy, szepcze słowa otuchy. W natłoku myśli tylko jedna wydawała się jasna i czytelna: „Nie chcę, żeby mnie widział w takim stanie”. Próbowwała go odepchnąć, on jednak nie chciał odejść.

A kiedy w końcu była już tak słaba, że mogła tylko oprzeć się na nim tłumiąc spazmatyczny szloch, podał jej czystą chusteczkę i szepnął:

- Wszystko będzie dobrze. Chodź, zaprowadzę cię w cień.

Objął ją w talii i delikatnie pomógł wstać. Jakimś cudem Amelii udało się głęboko zaczerpnąć powietrza.

- Już... już dobrze - powiedziała. - Niektóre kobiety mdleją, inne płaczą... Ja dostaję mdłości.

Nagle podniosła na niego wzrok, zmagając się z kolejną falą strachu i niedowierzania.

- Boże, ty jesteś prawdziwym Jeffem Craigiem! - wykrztusiła. Jeffrey Craig, który żył i umarł przed stu laty, a stał teraz obok niej, dotykał jej, ciepły, silny, rzeczywisty. Bo to nie on się zmienił. I nie ona. Zmienił się czas.

- Choć tu i usiądź - powiedział. Twarz miał posępną.

Poprowadził ją w cień drzew, podtrzymał, kiedy siadała na rosnącej tu szorstkiej trawie. Była zbyt słaba

ba, by protestować. Skóra lepiła się jej od potu i wcale nie miała pewności, że utrzyma się na nogach choćby przez następne kilka sekund.

Jeff usiadł obok, przyglądając się jej uważnie, lecz nie próbując nawiązać rozmowy lub zadawać pytań. Mimo złego samopoczucia Amelia świadoma była tego, iż Jeff jest doprawdy niezwykłym człowiekiem i dziękowała losowi, że ma go przy sobie.

- Zegar słoneczny - powiedziała. Kiedy odtwarzała wydarzenia ostatniej doby, jej głos stawał się coraz mocniejszy. - Wszystko było w porządku, póki nie zeszłam do ogrodu. Burza i te wyładowania elektryczne. To mogło... To musiało być to! Coś się stało. Pętla czasu. Wrota w przeszłość.

Oczywiście, takie wyjaśnię miało sens, lecz czy rzeczywiście potrafi wyobrazić sobie, że coś takiego może się zdarzyć w realnym świecie? A może po prostu uderzyła się w głowę i miała halucynacje? Czy trudniej jest uwierzyć, że dziewiętnastowieczne gorsety, wyposażenie farmy i wygodki są ułudą, niż że odbyła podróż w czasie? I czy w ogóle ma to jakieś znaczenie?

Machinalnie przesunęła dłoń po twarzy. Z oczu płynęły jej łzy, których nie potrafiła powstrzymać. Spojrzała na Jeffa, próbując się uśmiechnąć. Podejrzała, że znacznie bardziej przypomina to grymas.

- Może - powiedziała ochryłym głosem - zech-

cesz jednak zmienić zdanie na temat stanu moich zmysłów.

Na twarzy Jeffa odmalowało się skupienie. Patrzył na nią przenikliwym wzrokiem.

- Od początku wiedziałem - stwierdził - że coś jest nie tak. Wiedziałem, że masz problemy, lecz nie sądzę, żeby ich powodem była choroba psychiczna. To wytłumaczenie byłoby zdecydowanie zbyt proste, a ja podejrzewałem coś znacznie bardziej skomplikowanego. Może spróbuj wyłożyć mi, najprościej jak potrafisz, co tu się według ciebie dzieje.

Lecz Amelia - bardziej niż czegokolwiek na świecie! - pragnęła leżeć teraz z twarzą wtuloną w jego pierś, czując otaczające ją silne ramiona. Pragnęła zamknąć oczy i o wszystkim zapomnieć, lecz na to nie mogła sobie pozwolić. Musiała przemówić, wyrzucić z siebie długo powstrzymywane słowa, pozwolić, by ktoś je usłyszał. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli chce zachować choćby najbardziej kruchy związek z rzeczywistością, musi wszystko komuś opowiedzieć.

Opuściła wzrok na jego chusteczkę, którą kurczowo ścisnęła w dłoni. Rozłożyła ją na kolanach, wygładziła, a potem zaczęła składać w wążutkie plisy.

- Wczoraj - powiedziała - Peggy i ja przyjechałyśmy tu z Richmond. Właściwie to jechałyśmy dwa dni. Zatrzymywałyśmy się po drodze, oglądałyśmy

widoki... - Zdała sobie sprawę, że odbiega od tematu. Zamikła, powtórnie ocierając oczy.

- Tu - wskazała plażę - był nadmorski kurort. Hotele, bary, restauracje. Dom, twój dom, właśnie przerobiono na hotel. Na otwarcie zaproszono kilkanaście osób zajmujących się zawodowo turystyką i wypoczynkiem. Zorganizowano „weekend tajemnic”. Właśnie dlatego przyjechałam. Drogi... - urwała i z trudem łapała powietrze. - Wszystkie drogi były asfaltowe, w hotelu był prąd elektryczny, Peggy wzięła prysznic w łazience naszego pokoju, użyła lokówki, parkingowy odprowadził do garażu nasz samochód, a pewna kobieta imieniem Karen dała nam plany i w ogóle informacje o programie pobytu. Był... - Spojrzała na Jeffa żałośnie wiedząc, co pomyśli, kiedy usłyszy kilka następnych słów. Ale nie sposób było ich nie wypowiedzieć. - Był trzeci lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku - oznajmiła.

Twarz Jeffa pozostała niewzruszona. Z dała dobiegał ich szum fal i krzyk mew, lecz cisza pomiędzy nimi aż dzwoniła.

Amelia opuściła wzrok.

- Miałam kłopoty z kostiumem. Spóźniłam się na powitalne przyjęcie. Potem zabłądziłam w ogrodzie, a właśnie nadchodziła burza. Wokół zegara słonecznego było coś jakby pole magnetyczne. Wyrwało mi spinki z włosów, miałam wrażenie, że płonie mi skóra.

Próbowałam uciec, potknęłam się, przewróciłam, a kiedy odzyskałam przytomność, wszystko było inne. Kiedy odzyskałam przytomność... był rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty - szepnęła.

Cisza. Nie ośmieliła się spojrzeć na Jeffa i utkwiała wzrok w spoczywającej na jej kolanach haftowanej chusteczce. Po chwili podniosła ją do twarzy, wytarła policzki i nos, głęboko odetchnęła, próbując się uspokoić. Spojrzała na ocean, ale tak naprawdę wcale go nie widziała. Otepiała, nie była w stanie ani patrzeć, ani zbyt wiele czuć.

- Uważasz, że oszalałam - powiedziała w końcu zmęczonym głosem. - Nawet cię za to nie winię. Kiedy was wczoraj zobaczyłam, myślałam, że wszyscy oszaleliście.

Po dłuższej chwili Jeff wziął ją za rękę. Zaskoczona, podniosła na niego wzrok. Z opuszczoną głową wpatrywał się w jej dłoń, którą trzymał w łagodnym, ciepłym uścisku.

- Amelio - odezwał się wreszcie - widziałem już mężczyzn zabijających się tylko dlatego, że nosili różne mundury. Wędrowałem przez pola pełne oberwanych rąk i nóg. Piłem ze strumieni zabarwionych ludzką krwią i myślałem wtedy: „to szaleństwo”. Widziałem ogniste kule szybujące nad pustynią, spalające ludzi na popiół. Widziałem, jak ziemia otwiera się i pluje kłębamii dymu aż pod niebo. Widziałem, jak



burza piaskowa w kilka minut zasypuje miasto. Na własne oczy widziałem, jak indiański szaman wskrzesił człowieka, mając do dyspozycji tylko woreczek kamyków i kości. Po jakimś czasie przestałem rozważać, co jest szaleństwem, a co nim nie jest.

Spojrzał na nią pociemniałym, poważnym wzrokiem.

- Nie prosz, żebyim uwierzył w twoją opowieść, Amelio - powiedział po prostu. - Nie mogę. Ale nie potrafię też uznać, że zwariowałaś.

Amelia powoli przysunęła się do Jeffa. Policzek oparła na jego piersi, zamknęła oczy i przytuliła się do niego. A on objął ją. W tej chwili nie marzyła o niczym więcej.

Choć go o to nie poprosiła, Jeff jechał w kierunku domu drogą wzdłuż wybrzeża rozumiejąc, że tylko świadectwo własnych oczu pozwoli jej zaakceptować nową i nieoczekiwaną rzeczywistość. Powrót do domu musi wymazać wszystkie istniejące jeszcze wątpliwości.

- Co w twoich czasach robi się z szaleńcami? Zamyka się ich na strychu?

- Czasami - odparł spokojnie. - A czasami oddaje się pod troskliwą opiekę rodziny, co bywa znacznie gorsze.

- Z mojej rodziny - powiedziała powoli Amelia

- nikt się jeszcze nawet nie urodził. - Próbowwała rozważyć to, zaakceptować, zrozumieć, ale nie potrafiła. To po prostu przekraczało jej siły. Westchnęła. - Możliwe - stwierdziła dzielnie - że sobie to wszystko wymyśliłam, że kiedy się uderzyłam...

Jeff potrząsnął głową.

- Każde uderzenie w głowę, po którym wymyśla się historię równie zwariowaną jak twoja, byłoby śmiertelne - orzekł poważnie.

Uśmiechnęła się.

- Rozumujesz w dość dziwny sposób.

- W twoich ustach brzmi to jak komplement.

- W każdym razie ciebie to nie razi, prawda? Woleł raczej uwierzyć, że wszystko dzieje się naprawdę, choć takie jest nieprawdopodobne, niż że zwariowałam. Oczywiście - rzuciła mu pełne lekku spojrzenie - nie pomoże ci to zdecydować, w co wierzysz.

Jeff, najwyraźniej spokojny, uważnie wpatrywał się w wąską dróżkę.

- Wydaje mi się, że masz i tak dość problemów bez zamartwiania się o to, w co ja wierzę.

Oczywiście, miał rację. Tylko jak mogła obojętnie traktować to, w co wierzy Jeff? Był jedynym człowiekiem znającym jej tajemnicę, musi więc poznać jego zdanie! Najwyraźniej Jeff Craig nie należał do ludzi, którzy dzielą się ze wszystkimi swymi sądami; biorąc

pod uwagę okoliczności, powinna chyba być mu wdzięczna za to, że w milczeniu zaakceptował jej opowieść.

- Chodzi o to, że jestem ostatnią osobą, której powinno przytrafić się coś takiego. Po przeprowadzce z Norfolk do Richmond dochodziłam do siebie przez pięć lat. Jak mam pogodzić się z przeprowadzką w inne stulecie? Lubię, kiedy nic się nie dzieje, kiedy wszystko jest tak, jak było wczoraj i przedwczoraj. Nigdy nie umiałam poradzić sobie ze zmianami. Na litość boską, nowa jesienna ramówka w telewizji całkowicie wyprowadza mnie z równowagi, a tutaj w ogóle nie ma telewizora i... - Nagle głos się jej załamał, zamrugała szybko powiekami i zacisnęła dłonie w pięści. - Nie poradzę sobie z tym - oświadczyła z głębokim przekonaniem, rozpaczliwie usiłując zdusić w zarodku panikę. - Po prostu sobie z tym nie poradzę!

- Oczywiście, że poradzisz - stwierdził spokojnie Jeff, skręcając w wysadzaną drzewami drogę prowadzącą do domu. - Jesteś do tego przygotowana lepiej niż jakakolwiek kobieta.

- Skąd wiesz? - krzyknęła. - Co ty w ogóle możesz o tym wiedzieć! Nawet mi nie wierzysz... Sam się do tego przyznałeś. A jeśli ty nie potrafisz uwierzyć, to nikt nie uwierzy. Co ja mam zrobić? Czyżbyś mnie w ogóle nie słuchał? To nie mój świat! Moje

życie znajduje się sto dwadzieścia dwa lata stąd, w przyszłości...

Nagle Amelia westchnęła. Pomysł, który niespodziewanie pojawił się jej w głowie, był tak wspaniały, że dosłownie zapierał dech w piersiach.

- Zegar słoneczny - szepnęła z nadzieją w głosie i poczuła nagły zawrót głowy. - Oczywiście! Zegar mnie tu sprowadził i zegar może mnie odesłać!

Jeff spojrzał na nią, najwyraźniej nic nie rozumiejąc. Amelia chwyciła go za ramię, gniotąc rękaw marynarki.

- Zegar! - powtórzyła. - Nie rozumiesz? Tak właśnie jest w filmach fantastyczno-naukowych! Och, Jeff, pospieszmy się, proszę!

Wyskoczyła z powozu, nim się zatrzymał. Rąbkiem sukni zaczepiła o koło; obciągnęła ją niecierpliwie, lecz zaskoczeni służący - i Jeffrey Craig - mogli przez chwilę podziwiać jej nogi. Podniosła dłońią spódnicę i pospieszyła w stronę domu.

- Gdzie teraz? - spytała bez tchu. - Za pierwszym razem szłam inną drogą. Gdzie jest zegar?

Jeff uspokajającym gestem dotknął jej ramienia. Skierował się w lewą stronę.

Poszła za nim krętą ścieżką, po której obu stronach rosły ozdobne krzewy. Wszystko tu wydawało się jej inne. Drzewa rosły tam, gdzie poprzednio były trawniki, a w miejscu niegdysiejszych drzew widziała puste

przestrzenie. To samo było z krzewami. Ufała, że Jeff zna własny ogród, lecz z każdym krokiem coraz trudniej było jej zachować nadzieję.

Wszystko wyglądało inaczej. Zanedbany, zarosnięty ogród przemienił się w zalany słońcem trawnik porośnięty bluszczem i otoczony niskim świerkami. Wielkie drzewo, jeszcze wczoraj zasłaniające dom, dziś wcale nie wydawało się takie wielkie, lecz zegar stał na swoim miejscu. Szary granit emanował obojętnością i spokojem. Cień wskazywał godzinę - około jedenastej.

Amelia przystanąła w odległości około dziesięciu metrów od niego. Oddychała z trudem, serce biło jej jak oszalałe. To musi być ten zegar. Musi, bo jeżeli nie....

Nie będzie o tym myśleć. Nie powinna.

- Zostań tu - powiedziała do Jeffa i ruszyła przed siebie. Jeff oczywiście nie posłuchał. Z wyrazem lekkiego rozbawienia na twarzy dotrzymywał jej towarzysztwa.

Szła powoli, ostrożnie stąpając po gęstym dywanie bluszczu. W każdej chwili spodziewała się znajomych doznań, takich jak wyładowania elektryczne, wiatr, szczególne zjawiska magnetyczne. Czekwała i wstrzymywała oddech. Wyciągnęła przed siebie ręce, jakby to, co stało się wczoraj, mogła dziś przywołać samą siłą woli, lecz dzień nadal był cichy, słoneczny i nie-

mal bezwietrzny. O krok od zegara nadzieja wstąpiła w nią ze zdwojoną siłą. W końcu, niemal nabożnym gestem, dotknęła go dłońmi. Poczuła jedynie rozgrzany słońcem kamień.

Przez długą chwilę stała w milczeniu, zgarbiona, z pochyloną głową. Oprzytomniała słysząc głos Jeffa.

- Ta historia, którą wczoraj opowiedziałas mamie... o błyskawicach i magnetyzmie... To o tym właśnie mówiłaś?

Skinęła głową, zbyt przybita, by poczuć rozpacz.

- Dziwne.

Coś w tonie jego głosu kazało jej podnieść wzrok. Jeff patrzył na zegar, czoło przecinała mu pionowa zmarszczka.

Zdziwienie dodało jej energii i szybko spytała:

- Co? Coś się stało?

Przez chwilę nie odpowiadał. Potem wzruszył ramionami i spojrzał na nią. Głos miał spokojny, ale zmarszczka na czole pozostała.

- Nie. Nic. Tylko właśnie sobie przypomniałem...

- Co? - Amelia poczuła słaby przypływ nadziei.

Jeff zawahał się, a potem stwierdził:

- Na naszej wyspie powstało wiele legend. To chyba cecha takich miejsc. Jedna z tych legend głosi, że dom wybudowano na ziemi, która w mniemaniu Indian była święta. Rzeczywiście, do czasów pradziadka nikt tam nie budował - stary dom stał nad

rzeką. Przypuszczam, że pradziadek znudził się w końcu wojną z węzami i aligatorami, nie wspominając już powodziach, i zdecydował się na przeprowadzkę. Mieszkali tu z dziesięć lat, kiedy prababka postanowiła zbudować zegar. Była Francuzką, wiesz, u nich zegary słoneczne były w modzie. W każdym razie kazała ogrodnikom oczyścić ten skrawek ziemi za domem, a kiedy stawiali zegar - urwał i skinął głową w jego kierunku - jeden z nich zniknął na oczach innych. Taka przynajmniej krąży tu opowieść. Mówili, że po prostu rozpułnął się w powietrzu. Minęły lata, nim udało się zdobyć służących do pracy w domu, a nawet i teraz nie możemy skłonić ogrodników, żeby tu pracowali. Dlatego właśnie mama zasadziła bluszcz i pozwoliła mu rosnać bez przeszkód.

Amelia westchnęła, mając nerwy napięte do ostateczności. Czyżby ten nieszczęsny ogrodnik wbrew własnej woli odbył podróż w czasie, tak jak ona? Czy ma się czuć lepiej tylko dlatego, że komuś wcześniej przytrafiło się to samo co jej?

Z trudem zmusiła się do zadania pytania:

- A... co się stało z ogrodnikiem? Tym, który zniknął?

- Chyba nigdy go nie odnaleziono.

Patrzyła na Jeffa szeroko otwartymi oczami.

- Czy teraz mi wierzysz?

- Sam nie wiem, w co wierzyć. - Jeff odwrócił się, jakby chciał odejść.

Amelia chwyciła go za ramię. Nie była na niego zła, ogarnęła ją po prostu rozpacz. Była bezradna, rozdygotana, oszołomiona niesamowitością tego, co się stało, a beztroska i brak zainteresowania ze strony Jeffa były kroplą, która przepełniła czarę.

- Musisz w coś wierzyć! - krzyknęła. - Nie możesz tak stać sobie spokojnie i słuchać wszystkiego, co mówię, a potem skinać tylko głową i odejść! Potrzebuję pomocy, rozumiesz? Muszę wiedzieć, co myślisz!

Twarz Jeff pozostała nieruchoma, lecz kiedy się odezwał, głos miał nieco bardziej ochrypły. Poczowała, jak mięśnie napinają mu się pod rękawem surduta.

- A czego właściwie się po mnie spodziewasz? - odpowiedział pytaniem. - Mogę przecież przypuszczać różne rzeczy. Najpewniej po prostu oszalałaś. A może tylko kłamiesz, wymyślasz tę skomplikowaną historię, żeby skupić na sobie uwagę, lub może odciągnąć uwagę od jakiejś jeszcze bardziej niesamowitej intrygi.

Z każdym wypowiedzianym przez niego słowem Amelia traciła resztki nadziei. Puściła jego ramię. Podczas tych kilku krótkich chwil czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu.

- Lecz jest jeszcze jedna możliwość. - Wpatrzone



w jej twarz oczy Jeffa zwięzły się lekko. - Możliwość, że mówisz prawdę. Kto wie, może naprawdę przybyłaś tu z innej epoki, może w twoich czasach coś takiego jest możliwe, nawet proste. Co ja właściwie wiem o przyszłości? Nigdy nawet się nad tym nie zastanawiałem. Myślenie to rozrywka, której mężczyźni poświęcają się wtedy, kiedy nie mają nic lepszego do roboty, a szczerze mówiąc, utrzymanie się przy życiu pochłaniało dotąd cały mój czas.

- Oczywiście - powiedziała cicho, nie podnosząc wzroku. - Przetrwanie. - Coś takiego było zawsze najważniejszym celem wyprawy kosmicznej, uwięzionej przypadkiem na jakiejś obcej planecie. A w epoce, w której się znalazła, przetrwanie było codziennym problemem nawet tych ludzi, którzy się w niej urodzili. Powinna jak najszybciej przyzwycząić się do tej myśli, bo inaczej może być z nią krucho.

Łagodnym głosem Jeff dodał:

- Nie mnie należy pytać. Sam nie wiem, co myśleć. Lecz jeśli chcesz, udzielię ci jednej rady.

Niechętnie i powoli podniosła na niego wzrok.

- Na twoim miejscu nie rozmawiałbym na ten temat z nikim. Innym trudniej będzie cię zrozumieć niż mnie. - Wykrzywił lekko usta. - Być może dlatego, że mają znacznie więcej do stracenia.

Amelia wspomniała spotkania z innymi członkami rodziny i spróbowała spojrzeć na to ich oczami. Za-

drżała uświadamiając sobie, co musieli o niej pomyśleć i jak bardzo była zależna od ich gościnności. Nie miała dokąd pójść, mogła tylko tu zostać. Jeśli zdecydują, że jest psychicznie chora, jeśli tylko odkryją, że nie jest osobą, za którą ją mają, co się z nią stanie? Być może nigdy już nie zdoła wrócić do domu, a w tym stuleciu nie znajdzie przecież dla siebie żadnej ostoji. Bez przyjaciół, rodziny, w razie kłopotów nie będzie miała do kogo się zwrócić. Musi zacząć uczyć się sztuki przetrwania, i to od zaraz.

- Przepraszam, że cię w to wszystko wplątałam, Jeff - powiedziała znużonym głosem. - Nie powinnam spodziewać się, że zrozumiesz i doprawdy nie jest to twój problem. Nie powinnam była nic ci mówić. Nie chciałam komplikować ci życia.

Zaskoczyło ją zarówno milczenie, które zapadło po tych słowach, jak i wyraz jego oczu. Patrzył na nią przenikliwie, badawczo, a zarazem ze smutkiem i jakby z cieniem żalu i bezradności. Nagle z porażającą jasnością zrozumiała, w jak nieprawdopodobną historię kazała uwierzyć temu człowiekowi z dziewiętnastego wieku, jak bardzo Jeff musiał walczyć sam z sobą. Czego jeszcze może od niego oczekiwać? Czyżby samo milczenie w obliczu tego, co się zdarzyło, nie było już wyrazem niezwykłego bohaterstwa?

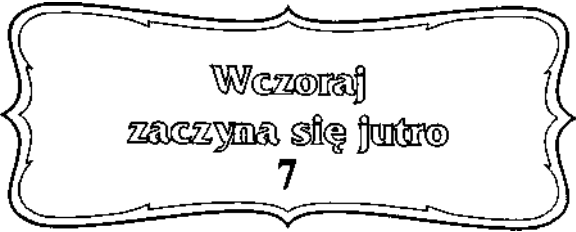
Jeff potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- W nic mnie nie wplątałaś - stwierdził. - Sam się

we wszystko wplątałem, kiedy znalazłem cię nieprzytomną w ogrodzie. Chyba już ci mówiłem, że mam chorobliwą słabość do przegranych spraw, prawda?

Podał jej ramię. Amelia uśmiechnęła się niepewnie i po chwili wahania wzięła go pod rękę.

Razem poszli w kierunku domu.



Wczoraj  
zaczyna się jutro

7

Reszta dnia upłynęła Amellii jak we mgle. Obiad - główny posiłek - podano o dwunastej, lecz prawie nie pamiętała, co jadła. Dowiedziała się, że po obiedzie panie idą do swoich pokojów „położyć się na chwileczkę”. Później polubiła ten obyczaj, bo popołudnia były tu upalne. Tego dnia zaś po prostu wdzięczna była losowi, że może pozostać sama ze swymi myślami.

W obecności domowników zachowywała się teraz bardzo ostrożnie. Posunęła się nawet do tego, że szczerze przeprosiła Abigail za swój poranny wybuch. Choć Abigail była najwyraźniej zbyt dobrze wychowana, by ujawnić rezerwę, z jaką przyjęła jej przeprosiny, Amelia odniosła wrażenie, że dziewczyna nie jest tak łatwowierna, jak by się wydawało. Pojęła, że nie będzie łatwo się z nią zaprzyjaźnić.

Kiedy pomyślała o przyjaciółkach, tych z innej epoki, których nie miała szansy odnaleźć w najzupełniej obcym świecie, w oczach stanęły jej łzy. Po chwili rozplakała się na dobre. Leżąc na łóżku obok drzemią-

cej spokojnie Abigail, wpatrywała się w sufit przez siatkę moskitiery i płakała tęskniąc za matką, która nigdy nie pozna losu córki, za siostrami, do których zawsze miała zadzwonić, lecz jakoś nigdy nie znajdowała na to czasu, za pracą, której czasem nie cierpiała, lecz którą także kochała, a której nigdy nie będzie już wykonywać, za Peggy, za sąsiadką Joyce, za koleżankami, z którymi chodziła do szkoły i ciągle się z nimi przyjaźniła, za wszystkimi znajomymi twarzami, które wydawały się jej tak mało ważne - do chwili, gdy uzmysłowiła sobie, że już nigdy ich nie zobaczy.

W planowaniu zawsze była dobra. W przeszłości zawsze obmyślała drogę, jaką pójdzie do najbliższego sklepu spożywczego. Planowała rozkład dnia. Zapisywała nawet, co ma zamiar powiedzieć przez telefon. Gdy zdecydowała się na wyprawę z Peggy, w wolnych chwilach ślęczała nad mapami, prospektami biur podróży i magazynami turystycznymi. Bob wytykał jej, że odziera w ten sposób życie ze spontaniczności. Teraz nie mogła odmówić mu racji. Planowała, jak unikać niespodzianek, jak odsuwać od siebie wszelkie problemy, i doprowadziła ten talent do poziomu wyrafinowanej sztuki. Tylko jak można robić plany nie wiedząc, od czego zacząć?

Doszła w końcu do wniosku, że przede wszystkim powinna zaprzyjaźnić się z Martha Craig i jej rodziną. Nie wyłącznie z egoistycznych pobudek - zrobiłaby

to nawet wtedy, gdyby w tym stuleciu istniały inne domy, w których mogłaby znaleźć schronienie i szansę rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Ci ludzie byli jej gospodarzami, a pod tym względem przez sto lat niewiele się zmieniło. Choć na razie miała sobie sporo do wyrzucenia, Amelia potrafiła przecież być mile widzianym gościem.

Zdziwiła się później stwierdzając, jak łatwo jest dostosować się do gospodarzy, którzy - żyjąc w epoce, gdy południowa gościnność była czymś więcej niż wspomnieniem - przyjęli ją z otwartymi rękami. Gdy zachwyciła się haftem krzyżykowym, nad którym pracowała robiła właśnie Abigail, i wyraziła chęć nauczania się tej sztuki, Abigail, choć najwyraźniej zaskoczona, że można nie mieć pojęcia o czymś aż tak podstawowym, gładko przełknęła komplement i obiecała jeszcze tego wieczora narysować jej wzór. Późnym popołudniem spotkała na werandzie Beniamina i namówiła go na partyjkę warcabów. Chłopak okazał się uroczym, bardzo interesującym towarzyszem. Amelia bawiła się świetnie, chociaż oczywiście musiała pozwolić mu wygrać, jak przystało niewieście w epoce, w której się znalazła.

Przy kolacji szczerze chwaliła wspaniałą rybę panierowaną. Martha Craig rozpromieniła się i kiedy zaproponowała, że pokaże jej książkę z przepisami, tajem-

mnice domów owej epoki, Amelia była już pewna, że odniosła spory sukces.

W porównaniu z wczorajszą, kolacja upłynęła bardzo spokojnie. Pani Calvert co prawda irytowała wszystkich, ale tym razem nie przeszła samej siebie. Dżentelmeni natomiast zachowywali się bez zarzutu. Sporo rozmawiano o pogodzie, i trudno się było dziwić. Deszcz wisił w powietrzu, lecz na próżno go wypatrywano. Amelia skoncentrowała się na wrażeniu, jakie pragnęła wyrzucić - i na obserwowaniu Jeffa. Słuchała go, czekała, aż powie lub zrobi coś, co zdradzi ich wspólny sekret. Jeff jednak milczał jak zaklęty, za co zapewne winna mu była wdzięczność.

Choć dopiero po raz drugi widziała go w towarzystwie rodziny, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zachowuje się zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy byli sami. Na pytania odpowiadał uprzejmie, lecz z własnej inicjatywy nie włączał się do rozmowy. Zauważyła, że odzywali się do niego tylko matka i pułkownik Talbot. Inni sprawiali wrażenie skępowanych jego obecnością, on zaś, jakby to wyczuwając, starał się pozostawać w cieniu.

Kiedy skończył jeść, podziękował i wstał od stołu. Matka nie dała mu jednak wymknąć się po angielsku i zaproponowała pogodnie:

- Taki upalny wieczór! Może wypilibyśmy mrożoną kawę i zjedli ciasto na werandzie? Nie, Jeff, kocha-

nie... - Machnęła ręką, nie przyjmując ofiarowanego jej ramienia. - Profesor będzie mi towarzyszył. Ty zajmij się naszą kochaną Amelią, dobrze?

Była to tak jawna - i nieoczekiwana - próba swatania ich, że Amelia z trudem powstrzymała uśmiech. Jeff zachował jednak kamienną twarz.

Goście i domownicy z hałasem poderwali się na nogi, oni jednak wyszli na werandę pierwsi. Amelia miała wrażenie, że Jeff unikał jej w trakcie kolacji - a właściwie przez całe popołudnie - więc szepnęła do niego sucho:

- Zdaje się, że jesteśmy na siebie skazani.
- Rzeczywiście. Nie powinniśmy jednak pozwolić, żeby weszło nam to w krew. Ze względu na ciebie. Znalazłabyś się w dwuznacznej sytuacji.
- Co masz na myśli? - spytała zaskoczona.
- Mam na myśli, moja droga - odpowiedział półgłosem - że, jak z rozkoszą wyjaśniłby ci każdy z tu obecnych, żadna młoda dama dbająca o swoją opinię nie spędziłaby ze mną ani chwili dłużej niż to absolutnie konieczne.

Amelia roześmiała się. W porównaniu z problemami, jakie ją gnębiły, jego zastrzeżenia wydawały się tak absurdalne, że po prostu nie mogła się powstrzymać i powiedziała:

- Niemal uwierzyłam, że mówisz serio.

Jeff zawahał się.



- To dziwne, ale i ja prawie w to uwierzyłem. A skoro tak... - urwał prowadząc Amelię do fotela, po czym uwolnił jej ramię i skłonił się szarmancko - lepiej będzie, jeśli zostawię cię w towarzystwie znacznie odpowiedniejszym niż moje.

Nim zdążyła otworzyć usta, był już na schodach.

Widząc oddalającego się syna, Martha Craig dała wyraz swemu rozczarowaniu.

- Coś podobnego - powiedziała z niezadowoleniem. - On ma zazwyczaj znacznie lepsze maniery. Elliot, jak myślisz, co wstąpiło w twojego brata?

Amelia usłyszała rezerwę w głosie Eliotta, który powiedział:

- Nic szczególnego. A już z pewnością nic nowego, mamó.

- Nie, doprawdy. - Starsza pani była bardzo rozczarowana. - I to właśnie wtedy, kiedy kazałam kucharzowi przyrządzić jego ulubione ciasto.

- Pachnie wspaniale - wtrąciła Amelia. Czowała się w obowiązku bronić Jeffa, a mogła to zrobić wyłącznie zmieniając temat. - Czy dodajecie do tego skórki cytrynowej?

Martha rozpromieniła się wyraźnie.

- Oczywiście, skąd wiesz? Cytryny są teraz takie drogie - wyznała cicho, jakby zdradzała największy sekret - że to wielka rozrzutność używać ich do zwykłego ciasta. Chodź, moja droga, usiądź przy mnie.

Amelia usiadła obok niej na plecionej kanapce, zgarniając spódnicę, by zrobić miejsce dla nich obu. Służący przyniósł kawę i pokroił na kawałki ciasto. Martha czekała, aż Amelia spróbuje, wyrazi całkowicie uzasadnione uznanie, po czym oparła się wygodnie i z zadowolonym uśmiechem wyznała:

- Jak to miło, że przyjechałaś, drogie dziecko. Teraz, kiedy przeszła ci już ta słabość, muszę powiedzieć, że przestraszyłaś mnie wtedy nie na żarty. Jeffrey chyba bardzo cię polubił?

Dopiero po chwili Amelia zrozumiała, do czego pani Craig zmierza.

- Był dla mnie bardzo miły.

- Wiem, że wybraliście się dziś rano na przejażdżkę. Cóż, kochanie, nie mam zamiaru nikogo krytykować, ale ludzie z pewnością zaczną plotkować. Będziesz ostrożniejsza, prawda?

- Ja...

- Tak miło patrzeć, jak młodzi ludzie cieszą się swoim towarzystwem. Pamiętaj, proszę, że nie tak dawno ja sama byłam młoda. Lubisz Jeffa, prawda?

Zaskoczona Amelia ledwie zdołała wyjąkać:

- Ja... oczywiście... tak...

Pani Craig uściśnęła ciepło jej dłoń. Na twarzy miała pełen zadowolenia uśmiech.

- Wiesz, on jest moim najstarszym synem. W moim sercu zawsze zajmować będzie specjalne miejsce.

Chcę, żebyś wiedziała, że macie moją aprobatę i jestem pewna, że tego samego zdania będzie twoja matka. Napiszę do niej z samego rana.

Amelia nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć, i w końcu doszła do wniosku, że najmądrzej będzie milczeć. Tylu problemom musiała stawić czoło, że swatanie wydało się jej błahostką. W rzeczywistości może nawet by ją to rozbawiło, gdyby nie pamiętała dziwnego wyrazu twarzy Jeffa, kiedy przed kilkoma minutami opuszczał werandę. Nie potrafiła także nie myśleć o tym, co miałyby do powiedzenia prawdziwa pani Landston, dowiedziawszy się, że jej córka - niewątpliwie bezpieczna we własnym domu - jest już właściwie zaręczona z Jeffreyem Craigiem.

Improwizowane przyjęcie na werandzie nie było najlepszym pomysłem. O zachodzie słońca pojawiły się chmury moskitów. Przeniesiono się więc do środka - wraz z owadami, wlatującymi bez przeszkód przez otwarte okna. Stałym mieszkańcom domu, widocznie przyzwyczajonym do harmonijnego współżycia z naturą, najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało. Abigail rozpoczęła pierwszą lekcję haftu, Amelia zaś próbowała dyskretnie odpędzać muchy, ćmy i moskity. Kiedy właściwie wymyślono siatki na okna?

Po chwili zerwał się przyjemny wietrzyk i owady zniknęły. Choć była to ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewała, Amelia odkryła, że w obecności tych lu-

dzi może się całkowicie odprężyć. Umysł człowieka zdolny jest znosić napięcie tylko do pewnego momentu - nie może denerwować się wszystkim naraz. To rodzinne zgromadzenie przypominało w pewnym sensie spotkania w domu jej babci: kobiety szyły, mężczyźni spokojnie grali w karty, od czasu do czasu ktoś siadał do pianina. Było bardzo przyjemnie. Nie sądziła, by kiedykolwiek w pełni mogła przyzwyczać się do braków i niewygód tego stulecia, lecz istniała możliwość, aczkolwiek niewielka, że spędzi tu także trochę radosnych chwil.

I nagle coś sobie przypomniała. Siedziała pracownicie wyszywając wzór, który Abigail narysowała jej wcześniej na kawałku białego płótna, i słuchała, jak Benjamin, trochę fałszując, gra na pianinie. Wspomnienie to naszło ją tak niespodziewanie, że ukłuła się w palec i musiała powstrzymać westchnienie - nie bólu, lecz zdumienia. Piosenka. Poprzedniego wieczoru słyszała - a może było to tylko złudzenie? - jak pod jej oknem ktoś gwizdze dwudziestowieczną piosenkę. Czyżby to była prawda? Bo jeśli tak...

Nieco później domownicy zaczęli się żegnać i rozchodzić, lecz Amelia udała, że jest bardzo zajęta haftem i poprosiła, by pozwolono jej zostać na dole. W głowie jej wirowało. Nie mogłaby teraz tak po prostu pójść na górę, położyć się w ciemności i uda-

wać przed Abigail, że właściwie nic się nie stało. Musiała zebrać myśli.

Lecz kiedy została już sama i krążyła po salonie gniotąc w rękach płótno, aż zatarł się wzór, w głowie czuła coraz większy zamęt. Jak ktoś żyjący w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku mógł słyszeć piosenkę nagraną dopiero w dwudziestym wieku? Niemal zaakceptowała już fakt, że odbyła podróż w czasie. Czyżby teraz miała z kolei uwierzyć, że to wszystko pomyłka, nieporozumienie, żart? Lecz jeśli nie, to jakim cudem mogła usłyszeć tę piosenkę?

A może nikt jej nie gwizdał? Drzemała przecież i mogły to być jakieś senne omamy. Usłyszała, co chciała usłyszeć; to jedyne możliwe wyjaśnienie. Ale jednak...

W końcu odrzuciła zmięty kawałek materiału, szeroko otworzyła drzwi i wyszła z domu. Pragnęła tylko przestać wreszcie zastanawiać się nad tym wszystkim, uciec jak najdalej od gnębiących ją kłopotów.

Świeże powietrze pomogło jej uporządkować myśli. Deszcz jakoś ich ominął, lecz wiatr wydawał się raczej chłodny. Schodząc po schodach oddychała głęboko, próbując odzyskać równowagę. Czyżby za mało było jej tego, co zdażyło się dziś wydarzyć? Ilu jeszcze tajemnic może się spodziewać?

Mimo zachmurzonego nieba było wystarczająco jasno, by mogła przejść przez trawnik. Instynktownie

skierowała się do budynku, który Jeff nazwał letnim domkiem. Kiedy podeszła bliżej, przekonała się, że jest mały, śliczny w swej staroświeckości, taka miniatuurka domu z kolumnowym gankiem i okiennicami zamiast okien. Drzwi były otwarte, więc weszła do środka.

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, ujrzała wewnątrz umeblowane kanapami, stołkami i krzesłami ustawionymi jakby na przyjęcie gości. Przez uchylone okiennice wpadał wiatr. Było tu znacznie chłodniej. Pomyślała, że pewnie stąd ta nazwa: „letni domek”.

Zrobiła jeden ostrożny krok, gdy w ciemnościach zabrzmiał czyjś głos:

- No i proszę! Robię, co mogę, żeby dbać o twoją opinię, a ty za wszelką starasz się mi przeszkodzić!

W ostatniej chwili Amelia stłumiła westchnienie.

- Jeff! Czy ty zawsze musisz się kryć w cieniu?  
- Podeszła do okna, z którego padało blade światło. -  
A poza tym opinia jest zapewne ostatnią rzeczą, o jaką powinnam się teraz martwić.

- Doprawdy? - Jeff wpełzł na kanapie w głąbi pokoju. Zawstydzona Amelia zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie drzemał - póki mu nie przeszkodziła. Teraz opuścił nogi na podłogę i usiadł, lecz nie podchodził do niej. - Czym tak bardzo się martwisz?

Roześmiała się stłumionym, pozbawionym radości śmiechem.

- A wystarczy ci czasu, żeby mnie wysłuchać?

- Ostatnio jedyne, czego mi nie brakuje, to czas. Równie dobrze mogę więc wysłuchać twoich żali. Czy coś się stało po moim wyjściu?

Amelia poczuła kolejne ukłucie wstydu, gdy zdała sobie sprawę, że od chwili, gdy go poznała, nieustannie zwierza mu się z kłopotów, choć Jeff też ma ich немало. A gdy zastanawiała się, jak opowiedzieć mu o swoim niepokoju i zasłyszanej melodii, cała sprawa nagle wydała się jej nonsensowna: twór chorej wyobraźni.

- Nic. I zarazem wszystko. - Westchnęła, odwróciła się plecami do niego i oparła o parapet. - Najwyraźniej nie radzę sobie z tym wszystkim tak dobrze, jak myślałam.

- Nie sądzę. Przy stole szło ci całkiem nieźle. Całkowicie podbiłaś matkę.

Jeff powiedział to łagodnym, przyjaznym tonem, jakby po kolacji stał się zupełnie innym człowiekiem. Anonimowość ciemnego pomieszczenia i łatwość, z jaką z sobą rozmawiali, trochę ją odprężyły.

- Być może nawet przesadziłam - stwierdziła bez troski. - Właściwie zaraz po twoim wyjściu zrobiła mi prezent ze swojego najstarszego syna.

Po chwili wahania Jeff odparł:

- Moja mama to anioł dobroci. Marzy się jej, że odpowiednia kobieta byłaby w stanie mnie odmienić. Na twoim miejscu nie dałbym się jej przekonać.

W jego słowach brzmiał ton ostrzeżenia. Amelia zjeżyła się.

- Nikt nie będzie mnie o niczym przekonywał - stwierdziła zaczepnie. - I nie obchodzą mnie starania twojej matki, marzącej o szczęściu najstarszego syna!

Roześmiał się cicho, przyprawiając ją o zmieszanie. Być może, zrobiła z igły widły.

- To świetnie! - powiedział wstając. Nie słyszała jego kroków na kamiennej podłodze. - A teraz, kiedy uspokoiliś mnie już co do swoich intencji dotyczących mojej skromnej osoby, powiedz, proszę, co ty właściwie tu robisz? Dlaczego o tak późnej porze spacerujesz po posiadłości?

- Wcale nie jest tak późno. - Amelia czuła się skrępowana. Jeff emanował ciepłem, czuła słaby zapach mydła do golenia i cygar. Wiedziała, że do końca życia nieodmiennie kojarzyć będzie te zapachy z jego osobą. Odwróciła się do okna udając, że wystawia twarz na chłodny powiew, lecz przede wszystkim nie chciała widzieć wyrazu rozbawienia w jego oczach. W panujących w domku ciemnościach wydawał się jakoś dziwnie uwodzicielski.

- A poza tym - dodała - nie mogłam zasnąć. Mam o czym myśleć. Muszę ułożyć jakieś plany na przyszłość.

- Na przykład?



Zamilkła. O tym właśnie próbowała nie myśleć przez całe popołudnie.

- Na przykład: dokąd mam pójść, co robić, jak zarobić na siebie. Nie mogę przecież do końca życia pozostawać na łasce twojej rodziny.

- No, a właściwie dlaczego nie? - spytał bez troski. - Jak profesor Kane. Co prawda ma jakieś skromne dochody z książek i wykładów, ale właściwie po prostu mieszka z nami. Na łasce mamy, można by powiedzieć. Tylko nie należy mówić tego przy niej.

Amelia zacisnęła dłonie na parapecie i potrząsnęła głową.

- Nie potrafiłabym tak żyć. Po pierwsze, oszalałabym nie mając żadnego zajęcia. Po drugie... Cóż, jak tylko twoja matka napisze do swojej przyjaciółki w Charlestonie, dowie się, że nie jestem kimś, za kogo mnie ma. I to będzie koniec wszystkiego.

- O mojej matce powinnaś wiedzieć przede wszystkim to, że nigdy do nikogo nie pisze. Ciągle o tym mówi, ale na dobrych chęciach się kończy. A poza tym wie, że nie jesteś osobą, za którą się podajesz.

- Co?!

- Wczoraj, kiedy drzemałaś po obiedzie, opowiedziałem wszystkim o moich podejrzeniach - odparł niewzruszony. - Przez pewien czas był to główny temat rozmów, ale, jak widzisz, nic się nie zmieniło. Dla

nich jesteś bezradna, potrzebującą pomocy kobietą. Chętnie ci pomogą. Bez względu na to, kim jesteś.

- Ja... Rozumiem. - Przez chwilę Amelia rozważała tę niepokojącą wiadomość. - Oczywiście są bardzo wielkoduszni, lecz to niczego nie zmienia. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby się utrzymywać, a nie sądzę, żeby w tym stuleciu dobrze płacono dziennikarce - specjalistce od spraw kulinarnych.

- Mogłbym udzielić ci dokładniejszych informacji, gdybym wiedział, co to jest specjalistka od spraw kulinarnych.

- Mogłabym pracować w restauracji - zastanawiała się głośno Amelia. - Dobrze gotuję. Czy są tu gdzieś w pobliżu jakieś restauracje?

Wyraz łagodnego rozbawienia na jego twarzy całkowicie wystarczył jej za odpowiedź. Poza tym w restauracji z pewnością nie płacono tyle, by mogła z tego wyżyć samotna kobieta.

Spojrzała na Jeffa.

- A ty? Masz jakiś pomysł?

- Cóż - przyznał Jeff. - Nigdy nie spotkałem się z podobnym problemem, ale sądzę, że skoro wiesz tyle o przyszłości, masz pewną przewagę nad resztą kobiet w twojej sytuacji.

Choć Jeff najwyraźniej z niej kpił, Amelia uchwyciła się tej możliwości jak ostatniej deski ratunku. Oczywiście! Mogłaby coś wynaleźć, w coś zainwesto-

wać, albo... Lecz natychmiast ogarnęło ją przygnębienie, tym bardziej dokuczliwe, że przez chwilę miała nadzieję. Potrząsnęła głową.

- Nie znam się na nauce, na mechanice i nigdy nie byłam szczególnie dobra z historii. Nie umiałbym dostrzec okazji, nawet gdyby sama wpadła mi w ręce. Gorączkę złota w Kalifornii mamy już chyba za sobą, prawda?

Jeff poważnie skinął głową, kąciki ust drgały mu jednak od powstrzymywanego śmiechu.

Amelia westchnęła.

- Teraz rozumiesz? A poza tym kapitan Kirk powiedziałby, że nie powinnam robić nic, co mogłoby zmienić bieg historii.

- A kto to taki?

- To... - Lecz sama myśl, że będzie musiała wytłumaczyć mu, czym jest telewizja, nie wspominając o science fiction, całkowicie ją zniechęciła. - Nikt - powiedziała. - Kompletnie nikt.

- No cóż - stwierdził Jeff po chwili milczenia - wydaje mi się, że pozostało ci tylko jedno. Musisz wyjść za mąż.

Amelia zorientowała się, że pragnie ją pocieszyć i z wdzięczności zdobyła się na uśmiech.

- Dziękuję, ale nie.

- Na szczęście - mówił dalej - w tym domu masz kilku kandydatów, czym w naszych czasach nie może

pochwalić się tak wiele kobiet. Na przykład mój brat Benjamin. Przyznaję, jest odrobinę za młody, ale za to energiczny i bardzo mu się podobasz.

Rzuciła mu chłodne spojrzenie.

- Gdybym zamierzała wyjść za mąż, wolałabym, żeby mój mąż nie chodził już do szkoły.

- No, dobrze. - Jeff oparł się bokiem o okno i sięgnął do kieszeni po cygaro. - Rozważmy kandydaturę pułkownika Talbota. Hałaśliwy prostak...

- Jest stary.

- ... ale za to wdowiec i z tego, co wiem, niezłe urządzony. Dzieci, oczywiście, mogłyby stanowić pewien problem.

- Nie wspominając o wnukach. - Wbrew woli, Amelia dała się wciągnąć w jego grę.

- Mimo wszystko - dodał Jeff - zdaje się, że jest zainteresowany Abigail, a lojalność jestem winien przede wszystkim siostrze. Lepiej skreślmy go z listy.

Amelia była autentycznie zdumiona.

- Abigail! Przecież jest od niego o połowę młodsza!

- Bywa, że najlepsze są małżeństwa maja z grudniem. Mamie podoba się ten pomysł. Każda kobieta musi przecież kiedyś wyjść za mąż.

Amelia przez chwilę rozważała tę wieść. Pułkownik Talbot i Abigail... Nigdy by się tego nie domyśliła!

- Powinienem wspomnieć także, że Elliot spotyka

się od jakiegoś czasu z dziewczyną z Roanoke, ale jeszcze się jej nie oświadczył i...

Amelia potrząsnęła głową.

- Jest nadęty. Oboje się z tym zgodziliśmy.

- Nie możesz być zbyt wybredna. Zostaje nam tylko Sam Calvert, ale on ciągle pakuje się w kłopoty. Znam takich. Poza tym nie ma ani grosza, więc musiałybyś mieszkać z jego macochą.

- Co to, to nie! - Amelią wstrząsnął dreszcz.

- Mądra dziewczyna. Ta baba mocno trzyma sakiewkę. Zdaje się, że nawet Sam jej nie lubi.

Podniosła na niego oczy.

- Jest jeszcze jedna możliwość - stwierdziła.

Nie udawał, że nie wie, o kogo jej chodzi, a kiedy spojrzał na nią, zobaczyła, że jego twarz przybrała wyraz powagi.

- To - powiedział cicho - byłaby bardzo lekkomyślna decyzja.

Jego głos brzmiał tak poważnie, że Amelia znów się zawstydziła i spróbowała rozładować przygnębiającą atmosferę.

- Twoja matka byłaby zachwycona.

Jeff patrzył na cygaro, którego nawet nie próbował zapalić.

- Matka - powiedział - jest jedyną osobą, która w ogóle nie ma do mnie zastrzeżeń. Czasami myślę, że i ona postępuje bardzo lekkomyślnie.

Gra nagle przestała być zabawna. Zapadła cisza, ciężka i brzemienna pytaniami, których Amelia nie potrafiła zadać. Zdobyła się na najobojętniejszą uwagę, jaka przyszyła jej do głowy.

- Jak tu miło. I chłodniej niż w domu.

Słowa te wyrwały go z zamyślenia. Gdy podniósł na nią wzrok, zmarszczka między brwiami nadal była widoczna, lecz wkrótce się wygładziła. Schował cygaro do kieszeni.

- Razem z braćmi sypialiśmy tu latem. Traktowaliśmy to jako przygodę, bo oczywiście rodzice surowo nam tego zabraniali, a wiesz przecież, że chłopcy zawsze zrobią to, czego im nie wolno. Kiedy byliśmy starsi, okazało się, że doskonale o wszystkim wiedzieli.

Nawet to zwykłe wspomnienie z dzieciństwa najwyraźniej niosło w sobie ból, bowiem uśmiech, z którym zaczął opowieść, bladł zwolna, zastąpiony najpierw wyrazem namysłu, a potem żalu.

Próbując go pocieszyć, Amelia zażartowała:

- A ty nadal wyslizgujesz się na noc z domu i traktujesz to jako przygodę, prawda?

Na wargach Jeffa znów pojawił się uśmiech, lecz tym razem nieco wymuszony.

- Obiecuj, że nikomu nie powiesz!

Było coś smutnego w mężczyźnie, który w kręgu najbliższych czuł się tak źle, że nie chciał nawet spać pod dachem rodzinnego domu.

- Nie najlepiej ci w towarzystwie rodziny? - spytała Amelia z wahaniem.

Jeff odszedł od okna. Zrazu myślała, że nic jej nie odpowie, po chwili jednak usłyszała:

- Raczej odwrotnie. I nie mogę ich za to winić.

- Dlaczego? - spytała zdziwiona, idąc za nim. - Czy chodzi o to, co wczoraj mi powiedziałeś? - Miała wrażenie, że od tamtego czasu upłynęły lata. Dziwne, ale nie miała wtedy żadnej pewności, że mówi jej prawdę. - Że jesteś... poszukiwany?

- Moja droga, to najmniejszy z moich problemów!

Zatrzymał się przy wąskiej kanapce, gestem zapraszając ją, by usiadła.

- Znów zapomniałem o dobrych manierach. Czy zechcesz spocząć?

Nagle nabrała przekonania, że Jeff nie chce, by tu została, że naruszyła jego prywatność, że powinna zostawić go i wyjść. Ale nie chciała być sama i nie mogła pozostawić tej sprawy bez wyjaśnienia. Podeszła więc do kanapy i usiadła.

- Opowiesz mi o tym? - spytała.

Przysiadł obok, na poręczy, i znów wyciągnął cygaro. Zapalił je, pocierając zapałkę o podeszwę buta; w jej świetle Amelia dostrzegła ostry zarys brody, napięte mięśnie szyi. Gdy odrzucił zapałkę i odezwał się, jego głos miał nonszalancki ton.

- To skomplikowana historia.

- Bardzo bym chciała ją usłyszeć.

W powietrzu pojawiła się chmurka aromatycznego dymu. Przez chwilę panowało milczenie, potem Jeff przybrał wygodniejszą pozycję.

- Nie jestem pewien, czy potrafię ci wyjaśnić - rzekł z namysłem - jak to jest, gdy dorasta się na wyspie. Kocha się ją i nienawidzi. Przez całe życie pragnie się z niej uciec, lecz jest coś, co ciągnie cię z powrotem. I chyba każdy mężczyzna, któremu wyspa weszła w krew, sądzi, że sam dla siebie stanowi prawa... Tata był taki i ja też.

Urwał i milczał tak długo, że Amelia nabrała przekonania, iż nic więcej nie zamierza powiedzieć. Z pochyloną głową wpatrywał się w świecący w ciemności czubek cygara, wyglądał tak, jakby myślami błądził daleko.

Nagle znów usłyszała jego głos:

- Studiowałem na William and Mary, kiedy wybuchła wojna. Po raz pierwszy zaznałem wolności, cieszyłem się nią do szaleństwa. Zaraz po wypadkach w Forcie Sumter ojciec posłał po mnie. Sądzę, że jego zdaniem odłączyliśmy się od Unii na długo przed tym, zanim Unia w ogóle powstała... - ciągnął jakby z ironią - bo wszystkim nam powtarzał tylko: „to nie nasza sprawa”. Nie mieliśmy o co walczyć, sami się rządziiliśmy; tata zdecydował, że nie będziemy się angażować. Ja widziałem to wszystko inaczej. Albo po prostu



nie chciałem wracać do domu. Pragnąłem przygód. Więc kiedy inni zaczęli się zaciagać, zrobiłem to samo.

Potem widziałem ojca już tylko raz. Miałem na sobie szary mundur, byłem dumny jak paw, a on zachowywał się tak, jakbym przystał do Jankesów. Może nie widział żadnej różnicy? Może zdawał sobie sprawę tylko z tego, że go zdradziłem i że traci syna?

Znow zapadła cisza. Amelia nie musiała zgadywać, o czym myśli. Widziała to w jego twarzy tak jasno, jakby przesuwające się po niej delikatne cienie maszerowały w rytm żołnierskich stóp. Pragnęła objąć go, dzielić jego ból, choć wiedziała, że nigdy nie zrozumie w pełni tego, co przeszedł.

W głosie Jeffa wyraźnie zabrzmiał żal.

- Wojna nie była tą przygodą, której oczekiwałem. Kiedy wróciłem do domu, ojciec już nie żył, mama postarzała się, a bracia dorośli. Nie wybaczyli mi tego, co zrobiłem, choć nikt nie powiedział tego głośno. Ojciec zapracował się i zamartwił na śmierć, Elliot w ogóle nie miał dzieciństwa, musiał zastąpić ojca, co przecież było moim zadaniem. Nikt mnie tu nie potrzebował. Przypominałem im tylko o tym, że wypadki powinny były potoczyć się zupełnie innym torem. Więc wyjechałem do Teksasu jak wielu dżentelmenów z Południa, którzy nie mieli gdzie się podziać. Kiedy już się tam znalazłem, cały czas byłem w ruchu.

Chyba dalej szukałem przygód, a może po prostu uciekałem? - Zaciągnął się cygarem. - Przygód rzeczywiście mi nie brakło. Widziałem niejedno. Próbo- wałem się nawet ustabilizować, hodowałem konie dla kowbojów. Miałem całkiem dobre stado, silne zwierzęta, a zawsze dobrze radziłem sobie w interesach. Ojciec powtarzał, że mam talent do robienia pieniędzy. Dlatego wojna obeszła się z nami względnie łagodnie - namówiłem go, żeby inwestował za granicą.

Przerwał, strzepnął popiół, a kiedy znów zaczął mówić, jego głos brzmiał beznamiętnie.

- Ab wreszcie zrobiłem głupstwo. Wplątałem się w wojnę hodowców, straciłem wszystko i nie widziałem już powodu, żeby znów się ustabilizować. No, i miałem pecha. Zadałem się z typami spod ciemnej gwiazdy. Wbili sobie do głowy, że obrabują pociąg wiozący kilka miejscowych osobistości i żołd dla wojska. Nie jestem jednak kompletnym idiotą, więc kiedy zaczęła się akcja, uciekłem, ale zdążyłem dostać kulę w plecy. Miałem szczęście. Pozostałą trójkę złapano i zastrzelono. Ja trafiłem do domu miejscowego lekarza, co oczywiście okazało się znacznie przyjemniejsze niż więzienie.

- A więc rzeczywiście ściga cię prawo - wykrztusiła Amelia.

Jeff przytaknął skinieniem głowy.

- Złapią mnie, jak tylko opuszczę wyspę.

- Nie rozumiem - powiedziała z wahaniem - czemu nie przyjadą tu po ciebie. Nie wiedzą, gdzie jesteś?

Jeff uśmiechnął się niewesoło.

- Może wiedzą, może nie. W każdym razie mam szczęście, że Jankesi wcale nie stosują tak rygorystycznie praw, które nam narzucili, no i poszczególne stany nadal są dość niezależne. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby poszukiwano mnie za jakieś przestępstwo popełnione w okolicy - musiałbym wtedy walczyć z miejscowymi chłopakami. Ale nasz okręg jest duży, szeryfa zaś niezbyt interesuje coś, co może zdarzyło się, a może nie, i to tysiące kilometrów stąd. Póki nie ruszam się z wyspy, jestem bezpieczny.

Nadal nie w pełni go rozumiała.

- Przecież jesteś niewinny...

Jeff potrząsnął głową.

- Być niewinnym a udowodnić, że jest się niewinnym, to dwie różne sprawy. Szeryfowie federalni nie mają wiele zrozumienia dla mężczyzn walczących po stronie konfederatów. Uznano nas wszystkich za zdrajców, wiesz?

Amelia nagle poczuła, że luka w czasie wypełniła się. Stała się czymś tak rzeczywistym, że aż zaszumiło jej w głowie. Opowieść Jeffa nie była fascynującym fragmentem wspomnień z bardzo starego pamiętnika - zdarzyła się tu, teraz, i zdarzyła się jemu.

- A kiedy wróciłeś do domu - spytała cicho - nikt na ciebie nie czekał?

Cygaro zgasło. Przyglądał się mu, jakby rozważał, czy warto je znów zapalić.

- Nie możesz ich winić - powiedział. - Przez lata, które spędziłem poza domem, szło im całkiem nieźle. Elliot rządzi teraz wszystkim i dobrze mu idzie. Może boi się, że zechcę zająć jego miejsce? Ma powody, żeby mi nie ufać. Beniamin ledwie mnie pamięta, a Bóg jeden wie, co mu naopowiadano. Mama... mama próbuje udawać, że wszystko jest tak jak powinno, ja jednak wiem, ile musi kosztować ją moja obecność w domu. Plotki zrobiły ze mnie kogoś gorszego niż Jesse James. Mama nie ma pojęcia, w co właściwie wierzyć. Zabawne tylko, że...

Nie dokończył zdania. Zmarszczył brwi, spojrzał na cygaro i wyrzucił je przez okno.

- Co? - spytała cicho Amelia. Tak bardzo chciała dotknąć go, pocieszyć. W jego twarzy widziała odbicie rozpaczliwej samotności, i zapragnęła, by o niej zapomnieli. Niepewność powstrzymała ją jednak.

- Nic - powiedział po chwili, nie podnosząc wzroku. - Tylko... kiedy mnie postrzelili, kiedy tu wracałem, nie brakowało mi czasu na myślenie. Zabawne, że po tych wszystkich straconych na włóczędztwo latach, kiedy właśnie uświadomiłem sobie, że marzę wyłącznie o domu...

- Odkryłeś, że nie masz domu, do którego mógłbyś wrócić - skończyła za niego Amelia. Znała to uczucie. Znała je aż za dobrze.

Jeff spojrział na nią, zaskoczony.

- Tak - powiedział po prostu.

Amelia podniosła wreszcie dłoń i dotknęła jego twarzy. Ta delikatna pieszczota miała potwierdzić, że narodziła się między nimi jakaś więź. Drżącymi palcami musnęła jego gładkie czoło, szorstki podbródek. Spojrzął jej w oczy łagodnie, lecz bez wahania, po czym lekko dotknął dłonią jej szyi.

- Amy - rzekł zmienionym głosem. - Jesteś słodka.

Amy. Pieśczeniwe zdrobnienie tego imienia tak cudownie zabrzmiało w jego ustach.

Zsunął się z poręczy i usiadł przy niej. Poczwała ciepło jego uda. Ujął w dłonie jej twarz. Amelia wplatała mu palce we włosy, a kiedy pochylił się nad nią, rozchyliła usta.

Nie czwała gwałtownej, nie kontrolowanej ekstazy poprzedniego zbliżenia, nie umknęła też w bezpieczną krainę fantazji. To, co się działo, działo się naprawdę. Intensywność przeżyć była nawet większa; niesłychane, rodzące się między nimi napięcie przypominało falę, napierającą na brzeg morza i uciekającą. Jeff przycisnął dłonie do jej twarzy, zdecydowanie, lecz delikatnie. Czwała ich drżenie, rozumiała, że siłą powstrzymuje swe uczucia na wodzy. Musnął tylko usta-

mi jej wargi, lecz wystarczyło to, by obudzić tęsknotę w jej ciele. Ich pieszczoty były symfonią boleśnie kontrolowanych dotknięć warg, palców, wzajemnego przenikania oddechów.

Każdy nerw w ciele Amelii płonął pożądaniem, lecz coś ją powstrzymywało, i coś powstrzymywało jego. Pomiędzy nimi działo się coś zbyt prawdziwego, zbyt głębokiego, i nastąpiło to zbyt wcześnie. Kiedy jego dłoń przesunęła się z jej twarzy na ramię, kiedy opuścił wzrok, pragnęła zaprotestować, pragnęła go przytulić... lecz nie uczyniła nic.

Jeff zacisnął palce na jej ramieniu i powiedział ochryłym głosem:

- Wróć do domu, Amelio.

Objęła go za szyję i drżącym głosem odparła:

- Boisz się o moją opinię?

Patrzył jej w oczy poważnie, wzrokiem pełnym namiętności.

- Boję się o nas oboje. Jakkolwiek na to patrzeć

- opuścił wzrok na jej usta - nic dobrego z tego nie wyniknie.

Wpatrywała się w jego twarz, nie chcąc go opuścić, choć wiedziała, że to on ma rację. Wypadki potoczyły się zbyt szybko, a ona była zanadto wrażliwa. Mimo wszystko nie chciała się z nim rozstać.

- Jesteś pewien?

Po jego twarzy przemknął cień, zbyt szybko, by go

właściwie zinterpretować, niemniej odgadła jego przyczynę. Poczła w sercu bolesny żal.

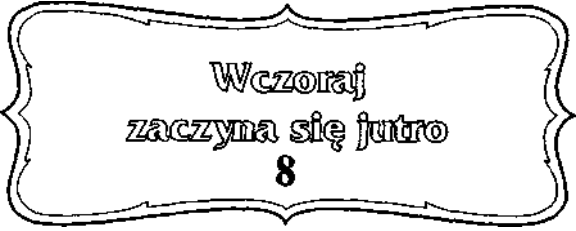
Nagle dłonie Jeffa znów zacisnęły się na jej ramionach. Wstał, podnosząc ją z kanapy.

- Nie powinnaś mieć żadnych wątpliwości, Amelio Langston. Zniszczę cię, jeśli tylko będę miał okazję. I następnym razem nie będę aż tak szlachetny.

Nagle ucałował ją mocno, po czym wypuścił z objęć.

- Idź już - rzucił szorstko.

Amelia nie protestowała. Tej nocy nie mogła zrobić nic innego. W głębi duszy jednak, podobnie jak on, wiedziała, że rozstają się tylko na jakiś czas.



Wczoraj  
zaczyna się jutro  
8

Zastanawiała się później, czy ci, którzy odbywają podróż w czasie, doświadczają niedogodności związanych z przekraczaniem stref czasu, jak w dwudziestym wieku po przelocie samolotem z jednej półkuli na drugą, czy też nie mogła zasnąć dlatego, że była w szoku, bezustannym napięciu, i że nie potrafiła zapomnieć o Jeffie. Wspomnienia boleśnie kłębiły się w jej wyobraźni, a gdy w końcu zasnęła, ożyły w snach. Resztę nocy spędziła czuwając, pełna niepokoju i niepewności.

Wstała na długo przed wrzaskliwym, denerwującym pianiem koguta. Słyszała, jak służba rozpala ogień, jak rozpoczyna się zwykły dzień, lecz domownicy jeszcze spali. Ubrała się uważając, by nie obudzić Abigail, i wyszła na dwór.

Ruszyła szybko główną aleją. Nie zwolniła nawet wtedy, gdy dotarła do otaczającej wyspę gruntowej drogi przeznaczonej dla wozów. Powietrze było chłodne, niezbyt wilgotne, wątpiła jednak, by miało pozostać takie po wschodzie słońca. Idąc śród-



kiem drogi, nie miała powodu obawiać się tego, co mogło czaić się w gęstych zaroślach po jej obu stronach.

Gdy słońce wzeszło wystarczająco wysoko, by jego złociste promienie przedarły się przez liście rosnących po obu stronach drzew, niechętnie zawróciła. Zmęczona dotarła do wiodącego do domu półkolistego podjazdu.

Właśnie wtedy zaskoczył ją dobiegający z tyłu tętent. Kiedy odwróciła się i uskoczyła na bok, przed jej oczami pojawił się wielki, srokaty koń.

Siedzący na nim Jeff ściągnął wodze i zeskoczył z siodła.

- Co się stało? - spytał. - Przed czym uciekasz?

Amelia wyplątała suknię z jeżyn. Czuła się dość głupio, była zarumieniona, zmieszana i zachwycona tym spotkaniem.

- Przed niczym - odparła. - Poszłam na spacer.

Pełnym troski spojrzeniem obrzucił jej wilgotną, zarumienioną twarz i rozwichrzone włosy.

- Bardzo szybki spacer!

Miał na głowie kapelusz - zsuniętego z czoła stesona - ubrany był w spłowiałą brązową kurtkę, ciemną koszulę i wełniane spodnie. Strój uzupełniały buty do konnej jazdy z ostrogami oraz rewolwer w ołstrze zwisającym nisko na biodrze. Amelia poczuła dreszcz radości. Kapelusz ocieniał mu twarz; silna,

smukła dłoń pewnie trzymała wodze. Nie potrafiła zapomnieć, jak pod palcami czuła jego skórę, jak wczoraj wieczorem jego palce gładziły jej dłoń. Poczowała podniecenie.

- To taki sport - stwierdziła. - Ludzie z twojej epoki przywiązują do tego zdecydowanie za małą wagę. No, może nie mężczyźni - przyznała, nie potrafiąc powstrzymać się przed spojrzeniem na wyćwiczone konną jazdą mięśnie jego ramion i nóg - ale kobiety z pewnością.

Jeff ruszył za nią, prowadząc konia. W jego oczach nadal malowała się troska.

- Możesz zrobić sobie krzywdę, jeśli będziesz szła tak szybko.

Amelia zwolniła kroku. Nie dlatego, by chciała go udobruchać, lecz dlatego, że ćwiczenie fizyczne nie było już głównym powodem spaceru. Wśród drzew ćwierkały ptaki, ranek był piękny, zielony i złoty, a obok niej siedł Jeff. Piękna chwila, którą pośpiech mógł tylko zepsuć.

- W tym stroju - przyznała, wskazując pogardliwie suknię i pantofle - rzeczywiście, masz rację. Nie sądzę, żeby w dziewiętnastym wieku istniały dresy i sportowe buty.

Jeff wzruszył ramionami.

- Buty to buty - orzekł.

- Tęsknię za spodniami. - Amelia obrzuciła go za-

zdrosnym spojrzeniem. - Gdybym miała spodnie, biegałabym co rano.

Roześmiał się tak głośno, że z pewnością słysząc go było aż w domu.

- No, chciałbym to zobaczyć - powiedział. Oczy mu błyszczały. - Nie, wycofuję te słowa. - Podniósł dłoń. Widoczne na jej twarzy podniecenie ostrzegło go. Wiedział już, co Amelia tak bardzo pragnie powiedzieć. - Obawiam się, że podobny widok przekroczyłby granice tolerancji nawet mojej rodziny, a nie chciałbym, żeby zamknęli cię na strychu. Właśnie stwierdziłem, że dobrze się bawię w twoim towarzystwie!

Choć powiedział to jakby od niechcienia, komplement ten sprawił jej przyjemność, a kiedy spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich dowód głębszego uczucia. Przez chwilę patrzył na nią miękko, jakby miał zamiar powiedzieć coś więcej, lecz najwyraźniej zmienił zdanie i odwrócił wzrok. Udawała, że nie jest zawiedziona.

- Ćwiczenia fizyczne są dobre dla zdrowia - podjęła przerwany wątek, starając się podtrzymać rozmowę. - W moim stuleciu stały się czymś w rodzaju obsesji, zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet. Prawie wszyscy spacerują, biegają, ćwiczą w salach gimnastycznych. Smukły, zgrabny, sprawny - oto hasło nowego pokolenia!

Przyglądał się jej z wyrazem rozbawienia i niedowierzania w oczach.

- Kobiety też ćwiczą?

Przytaknęła z zapałem.

- Zwłaszcza kobiety. Jest u nas takie porzekadło: „Nigdy nie można być zbyt szczupłym i zbyt bogatym”.

Nadal patrzył na nią sceptycznie.

- No, na twoim miejscu starałbym się nie przesadzić. Dzisiejsi mężczyźni wolą kobiety krągłe i miękkie, nie twarde i żylaste.

Amelia nie wiedziała, czy ma oburzyć się na tę typowo męską uwagę i jak zareagować na te określenia. Była ciekawa, czy wczoraj wieczorem, kiedy ją obejmował, uznał jej ciało za miękkie i zrozumiał odanie, które czuła?

W końcu jednak stwierdziła, że najbezpieczniejszą reakcją będzie śmiech.

- W moich czasach za taką uwagę dostałbyś po twarzy... co najmniej. Ale mogłaby się też zdarzyć, że kobieta, której to powiedziałaś, rzuciłaby cię na łopatki.

Jeff roześmiał się w odpowiedzi.

- No, teraz już wiem, że zmyślasz!

Amelia pomyślała, że lepiej jednak zmienić temat.

- A co ty tu robisz tak wcześniej? - spytała.

- Pojechałem rozejrzeć się po okolicy. Elliot okro-

pnie się denerwuje, kiedy robię to za dnia. Myśli, że tylko poluję na coś, co mógłbym skrytykować. Nie znalazłbym nic takiego, nawet gdybym nie wiem jak szukał. Zrobił wspaniałą robotę.

W jego głosie brzmiał żal, a może nawet odrobina zazdrości, lecz Amelia wstrzymała się od komentarzy. Zbyt dobrze wiedziała, co znaczy stracić wszystko, wrócić do domu i poczuć się wyrzutkiem.

W przyjaznej ciszy szli wiodącą do domu aleją. Amelia była bardzo zaskoczona, kiedy kilka minut później usłyszała zadane obojętnym tonem pytanie:

- Czy w twoich czasach zdarzają się wojny?

- Nie - odparła. - Przynajmniej nie takie, w których bralibyśmy aktywny udział. - Krótko opowiedziała mu o Wietnamie i o dwóch wojnach światowych. - Mamy teraz kilku wrogów - zakończyła - lecz nie wypowiedzieliśmy im wojny. Tak to przynajmniej wyglądało, kiedy opuściłam swoją epokę.

Miała wrażenie, że zainteresował go ten temat.

- Więc co właściwie robią mężczyźni?

- Chodzi ci o męskie przygody? - Uśmiechnęła się. - Cóż, kierują firmami, kupują i sprzedają akcje, budują promy kosmiczne, ścigają się samochodami, latają samolotami... Ale kobiety robią właściwie to samo. - Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Pokusa była zbyt wielka, więc dodała jeszcze: - Męczyzna może także zostać w domu, wychowywać dzieci,

sprzątać i gotować, podczas gdy kobieta pracuje. Jeśli tylko chce.

Jeff potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- A już była taka chwila, kiedy niemal mnie przekonałaś - powiedział.

Amelia spojrzała na niego i stwierdziła, że żartuje. Zapewne uznał, że i ona kpi sobie z niego. Nie miała się o co obrażać. Oczywiście, że jej nie wierzy. Czy jakkolwiek mężczyzna na jego miejscu myślałby inaczej? A jednak nie traciła nadziei. Kiedy mu odpowiadała, starała się ukryć niechęć:

- Tak się składa, że to jednak prawda. Po co w ogóle pytałeś? I tak nie masz zamiaru uwierzyć w cokolwiek, co ci powiem.

Jeff uśmiechnął się szeroko.

- Nie miałem nic lepszego do roboty, więc zdecydowałem, że trochę o tym pomyślę.

- Doprawdy? Miło mi, że przynajmniej skłoniłam cię do myślenia. - Tym razem nie próbowała ukryć sarkazmu.

- Wyszedłem nieco z wprawy - przyznał. - Cóż, musisz mnie jakoś znieść. Kiedy przemyślałem sobie to, co powiedziałaś, odkryłem kilka słabych punktów.

- Naprawdę? - Ale jego odpowiedź wcale jej nie interesowała. Nie ukrywał, że za nic nie da się przekonać, więc nie miała ochoty rozmawiać dalej, skoro jego sceptycyzm tylko ją przygnębiał.

- Pomijając już fakt, że żadna kobieta w teraźniejszości czy w przyszłości nie byłaby w stanie rzucić mnie na łopatki - ciągnął patrząc na nią z rozbawieniem - wydaje mi się, że gdybyś rzeczywiście odbyła podróż w czasie i gdyby rzeczywiście w przyszłości wszystko było takie, jak twierdzisz, zauważyłabyś różnice znacznie wcześniej. Kiedy oprzytomniałaś przy zegarze, nie sądziłaś, że zaszło coś szczególnie dziwnego i dopiero wczoraj wieczorem...

- Przecież ci tłumaczyłam - wyjaśniła niecierpliwie. - Z początku nie wiedziałam, że stało się coś dziwnego, bo myślałam, że to tylko zabawa. Przebrałiśmy się w kostiumy, goście mieli odgrywać role członków rodziny Craigów, żeby w weekend rozwiązać tajemnicę...

Nagle umilkła. Poczowała się tak, jakby powietrze uszło jej z płuc, jakby ktoś je z niej wydusił z taką siłą, że aż rozbolała ją pierś.

- Tajemnica - szepnęła. - To zdarzyło się naprawdę...

Jak mogła zapomnieć? Jak mogła pozwolić, by jej własne kłopoty zaprzętnęły ją do tego stopnia, że przeoczyła najważniejszy, jedyny problem - prawdziwy powód swego przyjazdu na wyspę? Czyżby był to wynik szoku? A może świadomie odsuwała od siebie tę myśl? Przecież miało tu nastąpić morderstwo, a ona znalazła się wśród ludzi, którzy będą w nie wplątani!

Sięgnęła dłonią do gardła, w którym tak jej zaschło, że zdolna była wykrztusić zaledwie kilka słów:

- To się rzeczywiście zdarzyło - powtórzyła bezmyślnie. - To się zdarzy...

Jeff uczynił krok w jej stronę.

- Amelio?

Skupiła wzrok na jego postaci.

- Którego dziś mamy? - spytała ochrypłym głosem.

W jego twarzy odbiły się niepokój i zmieszanie.

- Amy, nie...

- Czerwiec - szepnęła. - Połowa czerwca...

- Amy, na litość boską, przestań! - krzyknął chwytając ją za przegub ręki, lecz była zbyt podniecona, by usłyszeć w jego głosie niepokój.

- Nie! - Wyrwała rękę z jego uścisku. Spróbowała poukładać sobie wszystko w głowie. Przyłożyła dłonie do skroni, jakby w ten sposób mogła opanować rozpaczliwą gonitwę myśli. - Jeszcze trzy tygodnie. Był trzeci lipca, teraz jest połowa czerwca, a morderstwo miało miejsce czwartego lipca...

- Amy...

- Jeff, posłuchaj mnie. - Znow próbował chwycić ją za ręce, ale wyrwała mu się i rzuciła mu w twarz:

- Sam Calvert zostanie postrzelony... zamordowany... ktoś ukradnie naszyjnik jego mocochy, ten z brylantami i rubinami, który miała przy kolacji... Nastąpi



to czwartego lipca w nocy, za niespełna trzy tygodnie i... - milkła powoli. Słowa, które wypowiadała, wydobywały się jakby z jakichś innych ust, docierały do niej jakby z daleka. - To ty go zabijesz...

Dostrzegła, jak widoczny w jego twarzy niepokój zmienia się w niedowierzanie, a później - jakie to straszne! - w pogardę. Patrzył na nią chłodno, rysy znieruchomiały mu jak wykute w kamieniu. Bez słowa szarpnął wodze konia i ruszył przed siebie długim, gniewnym krokiem. Pobiegła za nim, dogoniła i chwyciła za ramię.

- Jeff, proszę...

Wyrwał się jej tak gwałtownie, że omal nie upadła. Na jego twarzy widziała gniew.

- Nie! Mam już tego dość, rozumiesz? Wysłuchałem tych wszystkich bredni, dałem się wciągnąć w twoją grę... Bóg mi świadkiem, były chwile, w których chciałem ci uwierzyć, lecz tego już za wiele. Dość! Zabawa się skończyła, Amelio. Nie zniosę tego dłużej!

- Jeff, przestań! Wysłuchaj mnie. Słyszysz?

Zastąpiła mu drogę. Musiał się albo zatrzymać, albo pozwolić, by koń ją stratował. Przez chwilę nie była pewna, jaką podejmie decyzję.

Zatrzymał się jednak. Amelia rozpoznała ten wyraz jego oczu, nie tyle gniewny - choć była w nich i złość - co pełen poczucia krzywdy. Jeff czuł się zdradzony.

- Myślałem, że lepiej mnie znasz - powiedział. - Myślałem, że między nami... - urwał i opuścił wzrok.  
- Ale najwyraźniej powinienem bardziej uważać, komu powierzam swoje tajemnice.

Próbował ją ominąć. Oparła mu dłoń na piersi i cofnęła ją natychmiast, dostrzegając pogardę w jego oczach.

- Jeff - powiedziała błagalnie. - Nie miałam zamiaru... Czemu jesteś taki zły? Mówię ci tylko to, co wiem!

- Oczywiście! Wiesz, że należę do mężczyzn, którzy bez wahania zamordują gościa pod swoim własnym dachem dla krzykliwej błyskotki. Czemu nie? Skoro raz oskarżą cię o zabójstwo, będą to robić zawsze. Tego rodzaju logika już omal nie zaprowadziła mnie na stryczek w Nowym Meksyku.

Szarpnął wodze tak mocno, że koń zaprotestował parsknięciem. Tym razem Amelia usunęła się z drogi, choć tylko na chwilę. Nie mogła pozwolić mu odejść. Nie pozwoli mu odejść, skoro on myśli... Ale co on właściwie myśli? Nie wiedziała nawet, co sama ma o tym wszystkim sądzić.

Dogoniła go kilkoma szybkimi krokami. Zaciskała pięści, oddychała ciężko, zdobyła się jednak na rozpaczliwy wysiłek.

- Nie wiem, co właściwie tu się stało - wyznała.  
- Wiem tylko, że za sto dwadzieścia dwa lata, kiedy

dom ten będzie hotelem, przyjedzie tu grupa ludzi, żeby podczas uroczystego otwarcia wziąć udział w pewnej grze, a w turystycznych prospektach będzie napisane, że czwartego lipca tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku Sam Calvert został zastrzelony, że skradziono naszyjnik jego macochy i że o zbrodni te oskarżono Jeffa Craiga. - Musiała przerwać, by zaczerpnąć tchu. - Jeśli ze mną pójdziesz, udowodnię ci...

Nie sprawdzała, czy idzie za nią. Dzielący ją od domu dystans pokonała niemal biegiem, wywołując tym zdumione spojrzenia służby. Kątem oka dostrzegła, jak Jeff rzuca wodze chłopcu stajennemu, który wybiegł, by je od niego przejąć. Dogonił ją w kilku krokach. Twarz miał nieodgadnioną, lecz trochę mniej zagniewaną.

Przebiegła koło pustego ogrodu różanego, minęła zegar słoneczny nawet na niego nie patrząc, a kiedy otoczenie wydało się jej znajome, przystanąła.

- Zachodni ogród - wykrztusiła oddychając ciężko. - To zdarzyło się właśnie tu.

Rozpoznała fontannę ze skromną figurką Kupidy-na, delikatne, kute ławeczki, kamienny domek z dachem krytym czerwoną dachówką... oraz szeroki, wznoszący się przy ścianie komin. Podeszła do niego szukając pamiętnej, obłupanej cegły, lecz cegła była nienaruszona. Widać było na niej tylko ślady deszczu oraz resztki uschłego, usuniętego już bluszczu.

Postąpiła krok do tyłu, czując się straszliwie głupio.

- Oczywiście, jeszcze nie ma śladu. - Nareszcie zaczynała rozumieć. - Przecież nic się jeszcze nie stało!

Jeff stał przy niej w milczeniu. Odwróciła się ku niemu.

- Mówię ci, kilka dni temu, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, na tym kominie był ślad. Kula, która zabiła Sama Calverta, odłupała kawałek cegły.

W nieruchomej twarzy Jeffa nie drgnął ani jeden mięsień.

Amelia westchnęła głęboko, próbując zachować spokój. Niech przynajmniej jej głos brzmi spokojnie!

- Daję ci słowo, Jeff, że to się naprawdę zdarzyło! Niewielu rzeczy jestem pewna - wczoraj nie byłam nawet przekonana, czy nie oszalałam - ale to jedno wiem. Pamiętam. To się naprawdę zdarzyło!

Zobaczyła, jak jego twarz traci swą kamienną surowość.

- Opowiedz mi wszystko od samego początku - poprosił.

Amelia poczuła coś w rodzaju ulgi. W oczach Jeffa nie było już wściekłości. Przynajmniej skłonny jest jej wysłuchać. Metodycznie ułożyła sobie wszystko w głowie, po czym powiedziała:

- Weekend tajemnic to dość popularna zabawa. Ludzie przebijają się, grają z góry wyznaczone role i próbują rozwiązać jakąś zagadkę, najczęściej zagadkę morderstwa, do poniedziałku. Na ogół tajemnica ta jest wymyślona, ale w ten weekend, podczas uroczystego otwarcia hotelu na Plantacji Wyspy Aury, mieliśmy odtworzyć prawdziwą historię morderstwa, które zdarzyło się tu sto dwadzieścia dwa lata wcześniej.

- Moja przyjaciółka, Peggy, miała zagrać rolę Abigail, a ja... -Amelia zadrżała zdając sobie sprawę, jak słusznie ochrzczono jej postać - ...mnie nazwano po prostu „tajemniczą nieznajomą”. Nie spotkałam nikogo z pozostałych gości i wiem tylko tyle, ile napisano we wręczonej nam broszurce.

Rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie więcej szczegółów, wyrzucając sobie, że nie poświęciła im więcej uwagi, kiedy miała na to szansę.

- W prospekcie napisano, że czwartego lipca tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku Sam Calvert został zastrzelony w zachodnim ogrodzie. Motywem zbrodni był prawdopodobnie rubinowo-brylantowy naszyjnik należący do jego macochy. Świadcowie... - przełknęła nerwowo - świadkowie obciążyli winą... Jeffreya Craiga.

- Rozumiem. - Głos Jeffa brzmiał beznamiętnie. Zaciśnięte usta wyraźnie świadczyły o tym, że nie

czuje się rozbawiony. - Zakładam, że zostałem osądzony i skazany za morderstwo?

Amelia potrząsnęła głową.

- Nie, nie... Uciekłeś. Nigdy nie znaleziono ani ciebie, ani naszyjnika. Ani... - Wbrew woli zwróciła wzrok na ciężki rewolwer wiszący mu u biodra. - Ani narzędzia zbrodni.

Zauważył jej spojrzenie i oczy pociemniały mu ze zniecierpliwienia. Mimo to, kiedy zaczął mówić, jego dłoń powędrowała w kierunku broni.

- Na miłość boską, Amelio, każdy mężczyzna na tej wyspie ma przynajmniej jeden rewolwer. Tylko głupiec opuszczałby dom bezbronny. W zaroślach pełno jest węży i aligatorów, czasami trafia się puma. Nawet ty powinnaś wiedzieć, że mężczyzna udający się na przejażdżkę zawsze ma przy sobie broń.

Amelia potrząsnęła głową ze smutkiem.

- Nie wiem nic... Oprócz tego, co mi powiesz.

Jeff obrzucił ją długim, przenikliwym spojrzeniem. Chciała się przed nim ukryć, czuła, jak przeszywa ją ono na wylot, a jednak wytrzymała jego wzrok.

- Powiedz mi tylko jedno - poprosił spokojnie. - Czy naprawdę uważasz, że byłbym zdolny zabić człowieka z zimną krwią? Żeby go obrabować?

Jeszcze niedawno odpowiedź na to pytanie byłaby najprostszą rzeczą pod słońcem. Oczywiście, że winen był Jeff Craig. Było to tak niewątpliwe, żeomal

nie popsuło zabawy. Lecz wtedy go jeszcze nie znała. Wtedy nie spojrzała mu jeszcze w oczy, nie znała zakamarków jego duszy.

Wiedziała, że kilka następnych słów może należeć do najważniejszych w jej życiu. Nie mogła jednak kłamać.

- Sądzę... że mógłbyś zabić, gdybyś musiał. Gdyby zmusiły cię do tego okoliczności. Ale - dodała szczerze - nie sądę, żebyś popełnił to morderstwo.

Twarz Jeffa nie zmieniła się. Jedynie w jego oczach dostrzegła błysk satysfakcji.

- No, cóż. Chyba jednak twoja opowieść jest najzupełniej fantastyczna.

Kiedy odwrócił się, by odejść, Amelia szybko zrobiła krok w jego stronę.

- Problem w tym - powiedziała z naciskiem - że to się dopiero stanie. Oskarżą cię niezależnie od tego, czy jesteś winien, czy nie. Zmuszą cię do ucieczki. Nie chcę, żeby to się stało, Jeff.

Rozpacz w jej głosie, szczerłość błagania zwróciły wreszcie jego uwagę. Spojrzał na nią zwięzionymi oczami i po chwili jego twarz wygładziła się.

- Amelio - powiedział łagodnie - nie wiem, kto nakładł ci do głowy takich bzdur, ale jeśli ma cię to pocieszyć, pamiętaj, że nie jestem tak głupi, jak to czasami wynika z mojego zachowania. Mam zbyt wiele do stracenia, żeby w ogóle postawić się

w sytuacji, w której można by mnie o cokolwiek oskarżyć. Nawet gdyby coś takiego miało nastąpić, z pewnością nie opuściłbym wyspy, żeby wpaść prosto w łapy prawa. Czy nie rozumiesz - mówił dalej z coraz większym naciskiem, widząc, jak Amelia potrząsa głową - że zbyt wiele jest rzeczy, które nie mają sensu? Dlaczego ktoś spośród tu obecnych chciałby ukraść naszyjnik pani Calvert, nie wspominając już o popełnieniu morderstwa? Znam ich wszystkich. To dżentelmeni, którzy nie wiedzieli by, co począć z takim klejnotem. Poza tym nikomu nie udało by się uciec z naszyjnikiem z wyspy. To wszystko nonsens!

Lecz Amelia nie mogła nie zauważyć malującej się na jego twarzy obawy. Jeszcze raz spojrzął na komin, a potem zerknął w górę, na piętro. Był tam balkonik, z którego - co ona sama dostrzegła dopiero teraz - wiodły w dół schody, kończące się na ziemi za rogiem budynku.

- O co chodzi? - spytała natychmiast. - O czym myślisz?

Twarz Jeffa pozostała kamienna.

- Chodzi o to, że skoro Calvertowie mieszkają w tym skrzydle, to jeśli ktoś chciałby skraść naszyjnik, najpewniej uciekałby zewnętrznymi schodami do ogrodu. Ale ty zapewne i tak o tym wiedziałaś?

Powoli potrząsnęła głową.



- Nie - stwierdziła i spojrzała na niego z rozpaczą.  
- Och, Jeff, proszę, czyżbyś nie rozumiał? Zginie człowiek, a ty będziesz musiał wyjechać. - Nie zastanawiała się nawet, które z tych nieszczęść wydawało się jej większe, nie próbowała nawet ukryć swych uczuć. - Jeff, jesteś jedynym człowiekiem, który... Nie możesz wyjechać! Co ja pocznę, jeśli ty wyjedziesz?

Podszedł do niej, dotknął palcem jej podbródka i podniósł jej głowę. Na twarzy Amelii z łatwością wyczytał smutek, rozpacz oraz wszystkie inne uczucia. Jego łagodne spojrzenie natchnęło ją otuchą.

- Nie odjadę - powiedział cicho. - Nie w ten sposób.

- Odjedziesz - powtórzyła z rozpaczą - jeśli będziesz musiał... Żeby ocalić życie, żeby kogoś osłonić, żeby... Och, Jeff, co ja bez ciebie zrobię!

Miała wrażenie, że przysunął się do niej nieznacznie, jakby chciał wziąć ją w objęcia i ucałować. Na chwilę przestała oddychać.

Lecz on tylko uśmiechnął się i musnął palcami jej szyję.

- Wiesz co? - stwierdził lekko. - Jeśli znowu będę musiał ruszyć na szlak uciekając przed prawem, wezmę cię ze sobą.

Poczuła szaloną radość i choć niemal natychmiast

ogarnęło ją przygnębienie, zdołała jednak słabo się uśmiechnąć.

- Jasne. Tego ci tylko brakowało. Zwariowana dwudziestowieczna kobieta czepiająca się ciebie, kiedy uciekasz ratując swoje życie.

- Jeśli ta zwariowana kobieta naprawdę umie przewidywać przyszłość - odpowiedział spokojnym głosem - to może rzeczywiście warto byłoby ją ze sobą zabrać. A teraz - lekko położył dłoń na jej ramieniu - nie wiem, jak twoja, ale moja wyobraźnia wysilała się już wystarczająco długo, jak na tak wczesną godzinę. Chodźmy na śniadanie.

Amelii nie pozostało nic innego, jak się z nim zgodzić. Opuściła bezradnie ręce i poszła w kierunku domu. Jeff uważnie się jej przyglądał. Po raz kolejny przekonała się, jak szuka sposobu, by pocieszyć ją w sytuacji, którą uważa za absolutnie nieprawdopodobną. Po raz kolejny spojrzała na niego ciepło, z podziwem, dziękując mu za te wysiłki.

Jeff tłumaczył jej cierpliwie:

- Posłuchaj, Amy. Nawet jeśli wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą, nawet jeśli widzisz przyszłość lub... - zająknął się, lecz zaraz dodał - ... rzeczywiście przybyłaś z przyszłości, po co się nad tym wszystkim zastanawiać? Czy potrafisz coś zmienić?

W głębi serca Amelia podejrzewała, że kapitan Kirk się myli - nie sposób zmienić biegu historii. Nic nie zmieni czegoś, co już się zdarzyło. Lecz jeśli to prawda, za niespełna trzy tygodnie Sam Calvert będzie martwy, a Jeffrey Craig zniknie. Co gorsza, nikt nigdzie nie wspomniał, co przydarzy się tajemniczej nieznajomej...

- Nie wiem - odparła. - Lecz po co wiedzieć, jeśli nic nie można poradzić?

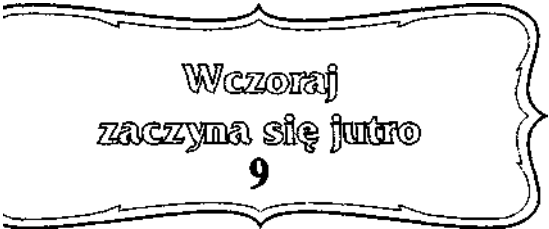
- Nie wiesz niczego na pewno - zauważył Jeff. W jego tonie wyczuła niecierpliwość. - Skradziony naszyjnik, zastrzelony człowiek... nie wiesz kto, dlaczego, nie wiesz nawet dokładnie kiedy. Jak myślisz, co możesz uczynić?

- Masz rację - odparła powoli. - Nie wiem nic. Na tym przecież polega cała tajemnica. Gdybym wiedziała, gdybym potrafiła jakoś ograniczyć liczbę podejrzanych, może mogłabym coś zrobić! Mam przed sobą trzy tygodnie. - Widząc jego sceptycyzm, dodała: - To możliwe, Jeff. Wiem, że może się to wydawać całkowitym szaleństwem, ale to jest możliwe! - Gwałtownym ruchem chwyciła go za ramię. - Nie rozumiesz? Muszę przynajmniej spróbować!

Będzie musiała spróbować. Bo jeśli tego nie uczyni, utraci Jeffa na zawsze. Tego może być pewna. I tego by nie zniosła.

Po chwili Jeff potrząsnął głową. Na jego twarzy malował się wyraz zmęczenia, żalu i niedowierzania.

- Tak - przytaknął. - Znam cię już na tyle, żeby wiedzieć, że naprawdę spróbujesz.



Wczoraj  
zaczyna się jutro  
9

Kiedy Amelia po raz pierwszy zorientowała się, że rzeczywiście odbyła podróż w przeszłość, dokładna data nie wydawała się jej najważniejsza. Co znaczy tydzień w porównaniu ze straconymi stu dwudziestoma dwoma laty? Lecz teraz dodatkowe trzy tygodnie stały się jej obsesją - chodziło tu bowiem dosłownie o sprawę życia i śmierci.

Przez następne osiem dni każdą chwilę spędzała wkradając się w łaski mieszkańców, słuchając, patrząc, szukając jakiejś wskazówki, która mogłaby odpowiedzieć jej, kto naprawdę mógł zabić Sama Calverta. Jednak choć wydawało się, że każdy ma powód, by go nie lubić, ciągle brakowało jej motywu. I -jeśli dowody, jakie zebrała, były zgodne z prawdą - nikt nie miał też powodu, by ukraść naszyjnik.

Wszystko komplikował dodatkowo fakt, z którego nie od razu zdała sobie sprawę, a mianowicie że ludzie spotkani pierwszego wieczoru nie byli wcale jedynymi mieszkańcami wyspy. Niemal co dnia prom wyrzucał na brzeg nowych gości, a zabierał kilkoro z po-

przednich, nie miała więc żadnej pewności, kto będzie tu czwartego lipca. Być może morderca Sama Calverta jeszcze nawet nie przybył.

A jednak nie zniechęcało jej to - nie mogła sobie na to pozwolić. Wyjaśnienie wydarzeń ze zbliżającego się czwartego lipca musiało być gdzieś blisko i tylko ona mogła je odnaleźć. Zbyt wiele od niej zależało, by mogła pozwolić sobie na słabość.

W tych dniach wybranka Elliota, Laura, przyjechała z Roanoke w odwiedziny wraz z rodzicami, trzema młodszymi braćmi i siostrami. Martha Craig proponowała piknik nad rzeką. Dwukrotnie trzeba było z niego zrezygnować z powodu popołudniowych deszczy. Wreszcie zdecydowano, że piknik odbędzie się ostatniego dnia ich pobytu na wyspie. Amelia podejrzewała, iż pani Craig ma nadzieję, że w ciszy zagajnika nad brzegiem rzeki jej młodszy syn łatwiej zdobędzie się na odwagę, by zadać Laurze najważniejsze pytanie.

Na razie pogoda wydawała się sprzyjać jej zamierzeniom, choć wiszące nad horyzontem kłęby białych chmur niosły groźbę burzy, mogącej nadejść późnym popołudniem. Elliot spacerował z Laurą nad brzegiem. Pozostali mężczyźni siedzieli przy przywiezionych specjalnie na tę okazję stołach na krzyżakach, kobiety zaś rozpakowywały ogromne ilości jedzenia.

Martha Craig jak zwykle martwiła się, czy dla

wszystkich wystarczy. Amelia nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

- Gdyby zaszła taka potrzeba - stwierdziła - moglibyśmy rozbić tu obóz na przynajmniej trzy dni.

- Nie wiem. Dzieci tyle jedzą, a po ciężkiej pracy mężczyźni też będą głodni... Sól! Czy nie zapomniałam soli?

Martha zaczęła nerwowo grzebać w wypełnionych zapasami koszach. Abigail podała jej solniczkę przykrytą wieczkiem.

- Proszę, mamó - powiedziała. - Niczego nam nie zabraknie. Pamiętałaś nawet o tym, czego z pewnością nie będziemy potrzebować. Amelia i ja wszystkim się zajmiemy. Może lepiej pójdziesz dowiedzieć się, na co tym razem narzeka pani Calvert.

- O mój Boże! - Martha Craig spojrzała zaniepokojona na panią Calvert, pogrążoną w najwyraźniej nieprzyjaznej dyskusji z matką Laury. Obie kobiety miały zaciśnięte usta, jednej i drugiej trzęsły się wstążki u czepków. - Mój Boże! Dlaczego choć raz nie możemy usiąść do posiłku w spokoju? - I oddaliła się szybko.

Amelia pomogła Abigail rozłożyć na stole duży, biały obrus i wygładzić zmarszczki. Choć dziewczyna była prawdziwą córą swych czasów, co uniemożliwiało im nawiązanie serdecznej przyjaźni, ich wzajemne stosunki niezwykle się poprawiły w ciągu ostatnich

dni. Dzięki temu Amelia bez obawy, choć delikatnie, mogła ją spytać:

- Dlaczego twoja matka zaprosiła Calvertów na lato, jeśli wszyscy tak źle czują się w ich towarzystwie?

- Przyjeżdżają do nas co roku - wyjaśniła Abigail. - Moim zdaniem dlatego, że nie mają dokąd pojechać. Pewnie zauważyłaś, że pani Calvert jest nieco... szorstka. - Uśmiechem przeprosiła za to łagodne określenie. - Nie dostają wielu zaproszeń. A poza tym...

- Co? - przynagliła Amelia, kiedy Abigail urwała, najwyraźniej nie mając zamiaru dokończyć zdania.

- Przepraszam, panno Abigail, proszę pozwolić sobie pomóc... - Sam Calvert wyjął koszyk z jej rąk i z uśmiechem postawił go na stole. W odpowiedzi dziewczyna uśmiechnęła się nerwowo i Amelia dopiero teraz zrozumiała jej rezerwę. Lecz czy rumieniec był tylko oznaką zmieszania spowodowanego tym, że omal nie przyłapano jej na obgadywaniu Calvertów za plecami Sama, czy też może chodziło o coś innego?

Podjęcie to można byłoby uznać za nieuzasadnione, gdyby Amelia na własne oczy nie widziała, jak Sam patrzy na Abigail i gdyby Abigail po jego odejściu nie powiedziała cichym, podnieconym głosem:

- Wiesz, ja uważam, że to po prostu głupota. Kogo



w ogóle obchodzi, co działo się w czasie wojny, tak dawno temu? Sam wyjechał do Europy...

Amelia bardzo zdziwiła się, gdy zauważyła, że wypowiadając imię Sama Abigail rumieni się coraz bardziej, lecz z niewinną miną zapytała tylko:

- To dlatego wszyscy są dla niego tacy niemili? Bo nie walczył podczas wojny?

Abigail obdarzyła ją pełnym wdzięczności uśmiechem i przysunęła się bliżej. Być może ośmieliło ją słowo „niemili”?

- To był pomysł jego macochy - wyjaśniła cichutko. - Wiesz, to Jankeska, nie można jej winić za to, że jest taka nierozumna. Zabrała Sama do Anglii tuż przed wybuchem wojny i cały czas go tam trzymała, choć chciał wrócić i walczyć za Południe, gdzie się urodził.

Amelia powstrzymała się od wypowiedzenia opinii, że gdyby dorosły mężczyzna chciał opuścić Anglię, na pewno znalazłby jakiś statek, nawet podczas wojny.

- Ale to jeszcze nie wszystko - stwierdziła smutno Abigail. Patrzyła na rozpakowywane dania, lecz jej dłonie poruszały się powoli. - Ludzie mówią, że Calvertowie zrobili w czasie wojny majątek wyprzedając Konfederację. To oczywiście śmieszne, skoro Sam był w Anglii, a jego ojciec mieszkał u nas, do końca opiekując się naszym chorym ojcem. Chyba właśnie dlatego mama poczuwa się do obowiązku, żeby być miłą

dla jego żony... Uważa, że ma wobec niego dług wdzięczności, Tylko że w dzisiejszych czasach bogacze nie cieszą się popularnością, a w dodatku pani Calvert tak się obnosi z tą swoją biżuterią... Nic dziwnego, że ludzie gadają.

Amelia miała ochotę powiedzieć, że Craigowie też są bogaci - przynajmniej w porównaniu ze swymi sąsiadami ze stałego lądu - ale postanowiła milczeć. I tak miała już o czym myśleć, a bardzo pragnęła dowiedzieć się jeszcze jednego.

- Pan Calvert... to znaczy Sam... wydaje się bardzo miłym człowiekiem - stwierdziła rozwijając płótno, w które owinięty był połącz szynki.

Oczy Abigail rozbłysły, jakby nie spodziewała się takiego komplementu i gotowa była bronić Sama w każdej sytuacji.

- Prawda? Prawda? - spytała z naciskiem. - Człowiek nie wybiera sobie rodziców i nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy...

Przerwała. Amelia, zaskoczona tym dowodem niezależności, przez chwilę nie wiedziała, co ma powiedzieć.

- Czy ty i on... - Szukała w pamięci odpowiedniego, staroświeckiego określenia. - Czy on cię adoruje?

- Boże, nie! - Twarz Abigail spąsowiała i dziewczyna pilnie zabrała się do rozpakowywania pieczywa. - On nigdy... Moi bracia zdarliby z niego skórę,

gdyby spróbował... i ja na pewno... tylko że przyjeżdżał tu każdego lata, ludzie poznają się bliżej...

Znowu urwała i spojrzała na Amelię. W jej oczach było wyzwanie.

- Wiesz... - powiedziała odważnie. - Gdyby do mnie przyszedł, nie odrzuciłabym go. Jeśli uważasz, że jestem zła, bo mówię takie rzeczy, to nic mnie to nie obchodzi!

- Nie, moim zdaniem nie jesteś zła - upewniła ją łagodnie Amelia. - Sądzę, że kobieta ma prawo lubić, kogo się jej podoba, i nie zwracać uwagi na zdanie innych.

Na ustach Abigail rozkwitł uśmiech wdzięczności.

- Tak - powiedziała cicho. - Wiedziałam, że zrozumiesz. - Obejrzała się przez ramię. Amelia nie musiała zgadywać, na kogo patrzy. Wraz z resztą mężczyzn Jeff pracowicie zdejmował z wozu krzesła i taborety; Abigail patrzyła na brata.

Teraz z kolei ona sama poczuła się niepewnie. Zaczęła szukać ukrytych gdzieś w koszykach serwetek. Zastanawiała się, co by powiedział Jeff, gdyby wiedział, kogo Abigail darzy względami. Nie chciała zostać oskarżona o sprzyjanie romansowi, który w gruncie rzeczy w niczym jej nie dotyczył - zwłaszcza biorąc pod uwagę, że znała pewne fakty z przyszłości. Kiedy sobie to uświadomiła, przeszył ją dreszcz. Dręczona poczuciem winy, powiedziała:

- Oczywiście, nie ma niczego poważnego między tobą a...

Abigail rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie, ponieważ nadchodził pułkownik Talbot. Skłonił się im obu, ale patrzył tylko na Abigail.

- Wygląda to bardzo zachęcająco - powiedział z naciskiem. - Bardzo. Zastanawiałem się właśnie, czy wyświadczyłaby mi pani ten zaszczyt i zjadła wraz ze mną? Znalazłem dla nas miłe miejsce pod tantym orzechem...

Uśmiech Abigail był wyraźnie wymuszony.

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie Talbot, ale obiecałam braciom, że dotrzymam im towarzystwa. I Amelii - dodała szybko.

Pułkownik spojrzał na Amelię ze skrytą nadzieją. Przez chwilę czekał, najwidoczniej na zaproszenie, lecz Amelia milczała. Krępująca cisza przedłużała się. Wreszcie pułkownik raz jeszcze zwrócił się do Abigail.

- To może po jedzeniu przespacerujemy się brzegiem rzeki? - zapytał.

Nie wypadało jej odmówić.

- Będzie mi bardzo miło - odparła bez przekonania.

Pułkownik ukłonił się i oddalił, Amelia zaś z uśmiechem zwróciła się do Abigail:

- Masz niemało wielbicieli - zauważyła.

Z wściekłą miną Abigail znów zaczęła wyjmować prowianty z koszyków.

- Nigdy za niego nie wyjdę - stwierdziła cicho.  
- Nawet gdybym miała zostać starą panną. Być może w dzisiejszych czasach dziewczyny muszą korzystać z każdej okazji, ale nie dam się związać ze starcem. Opowiada wyłącznie o wojnie, a mnie to męczy! Mama powtarza, że nie powinnam go zniechęcać, ale ja ciągle mam nadzieję...

Przerwała. Amelia rozumiała ją doskonale. Gdyby sama miała wybierać między między pułkownikiem Talbotem a Samem Calvertem, z pewnością wolałby młodszego, niezależnie od wszystkich jego wad.

Lecz Samowi Cabertowi pisana była śmierć. Wiedząc o tym, nie mogła świadomie zachęcać Abigail do podtrzymywania tej znajomości. Nie chciała, by dziewczyna cierpiała, choć było już z pewnością za późno, by temu zapobiec. Powiedziała więc z wahaniem:

- Wiesz, czasami kobieta musi być praktyczna. Jestem pewna, że pułkownik jest miłym człowiekiem i...

- Pieniądze to nie wszystko -przerwała jej Abigail zdławionym głosem. - Dziś wielu ludzi nie ma pieniędzy. I powiem ci coś jeszcze. Moim zdaniem on wcale nie jest taki zamożny, jak udaje. Słyszałam, że bank nie chce już udzielać mu pożyczek, plotki głoszą, że

może być zmuszony do sprzedania tego swojego wielkiego domu, żeby zapłacić zaległe podatki, więc pod tym względem niezbyt różni się od Sama, prawda?

Amelii coś zaświtało w głowie, lecz nie potrafiła jasno sprecyzować tej myśli. W tej chwili niewiele przejmowała się losem Abigail, by móc się poważniej zastanowić nad swymi podejrzeniami. Spytała z niepokojem:

- Ale... z Samem nie łączy cię nic bliższego, prawda?

Abigail nie odrywała wzroku od koszyka.

- Mogłoby - powiedziała przez zaciśnięte usta - tylko musiałby oderwać się od spódnicy tej kobiety. Kiedyś powiedział mi, że gdyby tylko miał odrobinę własnych pieniędzy, kupiłby coś na zachodzie Ameryki, jakieś małe ranczo, mógłby założyć rodzinę. Ale na razie nie może zrobić nic.

W tej właśnie chwili pojawiła się zaaferowana Martha Craig i Amelia była rada, że porzuciły temat Sama. Kiedy rozważała możliwe scenariusze przyszłości, czuła, jak coś ją ściska w gardle. Młody mężczyzna walczący z dominującą macochą i mrocznymi cieniami przeszłości... Pamiętała, jak zachował się Sam Calvert podczas pierwszego wieczoru. „Jestem równie dobrym konfederatem jak każdy z was!”. Powiedzieć to mógł tylko chłopak pewien, że wiele pozostało mu do udowodnienia, a tego rodzaju motywa-

cja łatwo mogła doprowadzić do demonstracji źle pojętego bohaterstwa, zwłaszcza że w grę wchodziła jeszcze miłość do pięknej dziewczyny. Sam Calvert był powszechnie nie lubiany i gdyby ludzie dowiedzieli się, że w tajemnicy zaleca się do córki jednej z pierwszych rodzin... Cóż, zdarzały się i dziwniejsze rzeczy. Ale w tym chyba coś jest - cała sprawa musi mieć coś wspólnego z Samem Calvertem i Abigail...

Oczywiście, trzeba było jeszcze niemało wyjaśnić: na przykład kwestia naszyjnika i to, kto rzeczywiście strzelał, lecz tymczasem Amelia była całkowicie pewna, że odkryła jedną z najważniejszych tajemnic domu Craigów. Być może mimo wszystko uda się jej zmienić przyszłość. I może, choć nie jest to takie pewne, uczyniła właśnie pierwszy krok w tym kierunku.

Pod drzewami nad rzeką rozłożono koce i poduszki dla młodzieży, matrony zasiadły na wygodnych krzesłach, wystarczająco daleko od rzeki, by móc swobodnie plotkować, lecz na tyle blisko, by mieć na wszystko oko. Amelia wraz z Abigail i Beniaminem siedziała pod wielkim dębem nad rzeką, z dala od innych.

Patrzyła, jak Jeff nakłada jedzenie sobie i matce, czując się przy tym jak nastolatka, niepewna, czy jej wybranek przysiadzie się do niej. Zawstydziała się, kiedy Abigail dostrzegła jej tęskne spojrzenie i gestem przywołała brata.

Jeff wahał się przez chwilę. Niemal miała nadzieję, że odrzuci to zaproszenie, lecz on skłonił się matce i ruszył w ich kierunku. Nie udawał, że cieszy go przede wszystkim towarzystwo brata i siostry, lecz usiadł na kocu obok Amelii, a jej przepełnione wdzięcznością serce natychmiast zaczęło bić szybciej.

Miała na sobie muślinową suknię w kolorze ja-skrów w czarne wzorki. Szeroki, czarny pas podkreślał jej wąską talię, dekolot w kształcie serca przystrojony był kremową koronką. Koronka zdobiła również rąbek sukni, zaś fałdy tiurniury były romantycznym uzupełnieniem krótkich, bufiastych rękawów. Wielki słomkowy kapelusz zsunęła z czoła, szeroką, czarną wstążkę zawiązała pod brodą. Zdołała nawet ułożyć włosy w trzy grube, skręcone pasma, spięte nad uchem i przerzucone przez ramię. Samo strojenie się na piknik zabrało jej ponad trzy godziny - niegdyś uznałaby to z pewnością za okropność, lecz dla kobiet z tej epoki nie było w tym nic nadzwyczajnego. Kiedy pochwyciła spojrzenia Jeffa, stwierdziła, że warto było pocierpieć. Czuła się jak prawdziwa piękność.

Choć z podziwem lustrował jej twarz, łagodnie linie ramion i obnażoną szyję, w jego głosie zabrzmiała kpina:

- Matka powiedziała mi, że przygotowałaś to wszystko sama. Prawie cały piknik.



Jedną z nieoczekiwanych korzyści z tej wycieczki w przeszłość była szansa poznania z pierwszej ręki oryginalnych przepisów, z których wykształciła się jej ulubiona kuchnia z Południa, z rejonu Chesapeake Bay. Spędzała długie godziny w kuchni Craigów i stała się ulubienicą kucharza, który nawet pozwolił jej przygotować ciasto na pieczywo lub ozdobić tort, lecz pod żadnym pozorem nie godził się na jakiegokolwiek ingerencje w tradycyjne przepisy „Pani Marthy”.

- Tłumaczyłam ci przecież - zwróciła się teraz do Jeffa - że jedzenie to moja specjalność. Ale kucharz pozwala mi tylko patrzeć.

- Sama przygotowałam przecież ciasteczka do herbaty - stwierdziła Abigail, chcąc podkreślić umiejętności przyjaciółki.

- Są wspaniałe - wtrącił z uśmiechem Benjamin.  
- Podkradłem kilka z koszyka.

Amelia chciała powiedzieć, że z pół kilograma masła i niemal dokładnie takiej samej ilości cukru musiało wyjść coś wspaniałego, a w dodatku kucharz przyglądał się jej jastrzębim wzrokiem i dodawał składników, kiedy próbowała je ograniczać, aż wreszcie zmuszona była się poddać. Z wdzięcznością jednak przyjęła komplement Jeffa i powiedziała:

- Przepisy waszej matki są doskonałe.  
- Mama twierdzi, że trudno jest dziś znaleźć dziewczynę, która naprawdę lubi gotować - stwierdzi-

ła Abigail, powtórnie kierując tę uwagę do swego starszego brata.

Amelię rozbawiła zarówno ta niezwykła próba swatania, jak i sama uwaga, jakby rodem z dwudziestego wieku.

- Moja matka powtarzała, że dobrą kucharką może być tylko kobieta, która lubi jeść. Kiedyś byłam gruba - wyznała.

Oczy Abigail rozszerzyły się ze zdumienia, Benjamin zaś sprawiał wrażenie zażenowanego - widać o figurze kobiety nie rozmawiano jeszcze w mieszanym towarzystwie. Ciekawość dziewczyny okazała się jednak silniejsza od taktu.

- Co się stało? - spytała z wyraźną sympatią.  
- Czyżbyś chorowała?

Amelia uśmiechnęła się. Wielką, acz głęboko ukrywaną satysfakcję sprawiał jej fakt, że chociaż Abigail nie była bynajmniej gruba, ona sama mieściła się w jej suknie bez gorsetu, z którym tamta musiała walczyć każdego ranka.

- Nie - odparła. - Po prostu przestałam tyle jeść.

Na tym rozmowa się urwała, Abigail zaś patrzyła na swój pełny talerz z mniejszym niż dotychczas entuzjazmem. Amelia wyczuwała rozbawienie Jeffa, który jednak nie odezwał się ani słowem.

Reszta posiłku upłynęła w miłej atmosferze. Ciężar konwersacji wzięli na swe barki Abigail i Benjamin.

Przekomarzali się, docinali sobie żartobliwie, jak to brat z siostrą. W końcu w ich rozmowę dał się wciągnąć również Jeff. Wszystko - chłód nad brzegiem rzeki, krąg przyjaznych ludzi, niewymuszona, swobodna rozmowa - stwarzało atmosferę takiego spokoju, że nawet Jeff, po raz pierwszy od chwili ich spotkania, odprężył się nieco w gronie bliskich. Dopiero teraz Amelia w pełni zrozumiała, skąd brał się w jego oczach ten wyraz smutku, kiedy wspominał dawne czasy. W ciągu ostatniego tygodnia nawet ją zaurczyły ciepło i gościnność jego rodziny.

Gdy już skończyli jeść, Abigail zaproponowała Beniaminowi:

- Chodź, zobaczymy, co jest na deser.
- Ja przyniosę - oznajmił rycersko chłopiec. - Moje drogie panie, czym można wam służyć?
- Deser Amelii przyniesie Jeff - przerwała mu siostra.

Beniamin zaprotestował, Abigail zaś ucięła jego sprzeciw kuksańcem w żebra, łagodnie uśmiechając się przy tym do przyjaciółki. Chłopak, acz z oporami, poszedł wreszcie za nią ku ustawionym nieco dalej stołom.

Amelia spojrzała na Jeffa spod rzęs i roześmiała się.

- Nie odnosisz przypadkiem wrażenia, że ktoś wyraźnie nas ku sobie popycha?

Jeff odstawił talerz. Usiadł wygodnie, opierając się plecami o pień wielkiego dębu. Na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech.

- Nie sądzę, żeby ci, którzy nas ku sobie popychają, musieli się szczególnie napracować, a ty? Trudniej byłoby raczej nas od siebie oderwać!

Zdziwiły ją te słowa i nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- Myślałam, że przysięgłeś sobie trzymać się ode mnie z daleka - rzekła w końcu.

- Pamiętaj, proszę, że intencje zawsze miałem szlachetne. - Spojrzał na nią przekornie. - Choć nie byłaby to pierwsza złamana obietnica w mojej karierze. Czy to naprawdę ty upiekłaś te ciasteczka?

Roześmiała się, zaskoczona i zadowolona ze zmiany tematu.

- Tak. I odkryłam coś jeszcze, a mianowicie, jak mogłabym zarabiać na życie w tym stuleciu.

- Gotować? - spytał z lekką kpina.

- Nie... to znaczy tak. Do pewnego stopnia - odparła. - Myślę, że mogłabym prowadzić coś w rodzaju hotelu. Wy nazwalibyście to chyba gospodą. Przyjmowałabym gości tak, jak przyjęła mnie twoja matka, i podawałabym równie doskonałe jedzenie. Ludzie dobrze by się u mnie czuli. Z pewnością polubiłabym to zajęcie.

- Czy mówi to ta sama kobieta, która jeszcze kilka

dni temu przysięgała, że nie wie, co by beze mnie zrobiła? - spytał kpiąco. - Wystarczył niespełna tydzień, żebyś stała się jedną z tych okropnych, niezależnych bab.

Spojrzała na niego zmieszana, nie dlatego, by się zawstydziła, lecz dlatego, że w jego słowach było wiele prawdy.

- Muszę jakoś zarabiać na życie - powiedziała.

- Ale dlaczego hotel? Czemu nie dom?

- Bo...

- Wiem, wiem. Musisz zarabiać na życie. Ta twoja niezależność może okazać się przekleństwem, wiesz? A skąd właściwie masz zamiar wziąć pieniądze na ten hotel?

Westchnęła z rezygnacją.

- Nie wiem. Znikąd. To był tylko taki pomysł. Chciałam... to trudno powiedzieć... przekonać samą siebie, że jest w tej epoce coś, co mogę robić, coś, co uczyni mnie szczęśliwą.

- Nie jesteś tu szczęśliwa, Amy? - spytał i jego głos zabrzmiał nagle poważnie.

Spojrzała na niego. Smutek, jeszcze przed chwilą ciężący nad jej duszą, uleciał niczym uniesiony wiatrem. Czy w swoich czasach miałyby szansę poznać mężczyznę takiego jak Jeff? Czy w jej czasach taki mężczyzna mógłby w ogóle istnieć? Czy rzeczywiście była tu tak nieszczęśliwa, jak się jej wydawało?

- Dziś, w tej chwili, jestem szczęśliwa - przyznała. - Ale jutro... - zawahała się, próbując znaleźć odpowiednie słowa. - Tylu rzeczy mi brakuje. Takich drobiazgów, jak pasta do zębów czy telewizja. I ważniejszych. - Uśmiechnęła się. - Rodziny, przyjaciół. Niektórzy ludzie marzą, żeby przenieść się w czasy mniej skomplikowane. Ja nigdy do nich nie należałam. I nigdy nie poczułabym się tu rzeczywiście dobrze. Jestem odmieńcem, nie pasuję do tego stulecia.

Jeff potrząsnął z rozbawieniem głową.

- Odmieńcem? Ależ skąd. Jest w tobie coś zaskakującego, ale z pewnością nie zasługujesz na określenie „odmieniec”. Naprawdę doskonale pasowałabyś do kobiet z zachodu.

O tym Amelia w ogóle dotąd nie pomyślała. Zachód Ameryki był zawsze bardziej postępowy od wschodu, zwłaszcza południowego wschodu. To właśnie mogło wyjaśnić, dlaczego Jeffa nie zaskoczyły ani jej maniry, ani opinie. Przynajmniej nie był nimi tak zbulwersowany jak inni.

- W takim razie może powinnam wyjechać na zachód - powiedziała pół żartem, pół serio.

- Mam nadzieję, że tego nie zrobisz. Będę czuł się w obowiązku pojechać z tobą, a to z pewnością nie wyszłoby mi na zdrowie.

Czuła, jak brakuje jej tchu w piersiach i obrzuciła

go szybkim spojrzeniem. Nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy żartuje.

- Pojechałbyś ze mną? Naprawdę, Jeff?

- Ależ oczywiście - odparł szczerze. - Nie pozwoliłbym ci odbyć tej podróży samotnie, a komu jeszcze mogłabyś się zwierzyć ze swojego sekretu?

Poczuła ogarniające ją ciepło, jakby nagle znalazła się w jego ramionach. Być może nigdy nie będzie tu całkowicie szczęśliwa, może nigdy nie znajdzie tu właściwego miejsca, lecz nie jest już sama. W tej świadomości kryła się obietnica, która nadawała jakiś sens jej dotychczasowym przeżyciom.

Nagle usiadła, a potem poderwała się na równe nogi.

- Wydaje mi się, że ktoś powinien zająć się sprzątaniami!

Jeff delikatnie przykrył jej dłoń swoją.

- Damy nie przywiązują wagi do takich drobiazków - przypomniał jej. - Za chwilę wszystkim zajmą się służący.

- Och, rzeczywiście. Ciągłe zapominam. - Mimo że znów usiadła, Jeff nie cofnął dłoni, przytrzymując jej rękę na miękkim dywanie trawy. Poczuła promieniujące od mego ciepło. - Nie przywykłam do życia bogatych próżniaków.

Zachichotał.

- Tak nas widzisz? - Puścił jej dłoń, zerwał rosna-

cy w trawie mleczy i machinalnie obracał go w palcach. Kwiat był koloru niemal dokładnie takiego jak jej suknia. Na chwilę przyłożył go do niej, jakby chciał się o tym upewnić. - Moim zdaniem lenistwo nie zawsze jest złe. Po prostu trzeba do niego przywyknąć.

Obrócił mleczy i jego płatkami delikatnie przesunął po jej spoczywającej na trawie ręce. Jaka delikatna pieśczoła, i jakże przyjemna! Ten ujmujący gest był tak do niego niepodobny, że musiała się uśmiechnąć.

- Miło jest widzieć, jak się mimo wszystko odprężasz - stwierdziła.

- Dla mnie to też coś zupełnie nowego - powiedział odrzucając kwiat. Patrzył na nią leniwie spod opuszczonych powiek. - Nieczęsto zdarzało mi się być odprężonym... od chwili, gdy się tu pojawiłaś.

Lecz Amelia nie zamierzała rozważać pełnej zagadek rzeczywistości w tak bajkowo piękny dzień. Rozejrzała się wokół, zobaczyła dzieci bawiące się szmacianą piłką wśród gęstej trawy nad brzegiem rzeki, Elliota siedzącego u stóp ubranej w różową suknię Laury i uśmiechającego się tak, jak Jeff uśmiechał się do niej.

- Czy oni naprawdę myślą o małżeństwie? - spytała.

- Ależ oczywiście. To tylko kwestia czasu.

Nie potrafiła ukryć nostalgii, która cieniem położyła się na jej uśmiechu.



- Jestem pewna, że wszystko było znacznie prostsze. ... teraz jest prostsze. - W ostatniej chwili zmieniła czas przeszły na terażniejszy. - Mężczyzna i kobieta spotykają się, czują coś do siebie i jeśli rodziny nie wyrażają sprzeciwu, nie ma żadnego problemu. Biorą ślub, stają się małżeństwem. To wszystko.

- Czy tam, skąd przybyłaś, jest inaczej?

Roześmiała się cicho.

- Zupełnie inaczej.

- Jak to?

Nie wiedziała, czy brzmiąca w jego pytaniu ciekawość jest szczerą, czy też Jeff kpi.

- Och, w dwudziestym wieku wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane. Bez przerwy mówi się o jego czy jej uczuciach, o miejscu dla osobowości, o potrzebach psychicznych, o zdolności do poświęceń. Nim skończy się gadanie, z miłości pozostaje bardzo niewiele.

- Opowiedz mi o tym twoim mężczyźnie. - W jego głosie brzmiało szczerze zainteresowanie. - Dlaczego go rzuciłaś?

- O Bobie? - Udało mu się ją zaskoczyć. Już zapomniała, że kiedyś wspomniała o Bobie. Niemal równie zaskakująca była konstatacja, że jedynym elementem dwudziestego wieku, którego braku nie odczuwała, był właśnie Bob. Nie myślała o nim od tak dawna, że teraz jak przez mgłę widziała jego twarz. - To nie ja

go rzuciłam - wyjaśniła - ale on mnie. Wydawałam mu się nudna.

Na czole Jeffa pojawiła się pionowa zmarszczka znamionująca zaskoczenie i niedowierzenie.

- Nudna? Nigdy w to nie uwierzę. Ależ musiał być z niego dureń!

Choć mile połechtaly ją te słowa, Amelia musiała się roześmiać. Potrząsnęła głową.

- Ale ja byłam... i jestem nudna, przynajmniej w porównaniu z innym dwudziestowiecznymi kobietami. Tylko ty uważasz mnie za interesującą, bo jestem inna. A poza tym... - Opuściła wzrok na swą żółtą suknię kontrastującą z zieloną trawą i machinalnie zdjęła z muslinu psujący efekt liść. - Mam tendencję do przywiązywania się do rzeczy i ludzi tylko dlatego, że ich dobrze znam. Ten związek nie był dobry dla żadnego z nas, ale ja po prostu nie umiałam go zerwać. - Wzruszyła ramionami, mając nadzieję, że jest to lekki, nie zdradzający rozczarowania gest. - Mężczyźni nie lubią kobiet, które się od nich uzależniają.

Zmarszczka między brwiami Jeffa pogłębiła się.

- Dziwni są ci mężczyźni z czasów, z których pochodzisz.

Uśmiechnęła się ironicznie, przypominając sobie, że kiedyś powiedziała mu coś bardzo podobnego.

- Niektórzy z pewnością tak - przyznała. - Inni po

prostu radzą sobie jak mogą, w naszym bardzo skomplikowanym świecie.

Jeff zerwał źdźbło trawy. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem odrzucił je nagłym gestem.

- Cóż, każdy z nas dźwiga swój krzyż. - Wstał i wyciągnął ku niej rękę. - Niedługo zacznie padać. Moglibyśmy przespacerować się przed deszczem.

Była to zarówno propozycja, jak i rozkaz. Amelia nie potrafiła mu odmówić. Pozwoliła podnieść się z ziemi. Szybsze bicie serca było jedyną oznaką radości, jaką poczuła na myśl o tym, że wkrótce zostanie z nim sam na sam.

Spacerowali nad brzegiem rzeki, niemal przez cały czas doskonale widoczni. Jeff nie podał jej ramienia, prawdopodobnie ze względu na śledzące ich oczy, przez dłuższą chwilę także prawie wcale się nie odzywał. Trwał w jakimś ponurym milczeniu, odpowiadającym zmieniającej się aurze dnia. Z daleka dobiegały pierwsze pomruki burzy, rzeka była ciemna, wzburzona. Przez chmury od czasu do czasu przedzierały się ostre promienie słońca, dodając wyrazistości rozrzuconym przez wiatr liściom, rozkołysanym trawom.

Zauważyła oczywiście, że nie oni jedni skorzystali z okazji by pobyć z sobą sam na sam. Na przechadzkę wybrali się Elliot i Laura, a także Abigail, zmuszona do spełnienia przyrzeczenia złożonego pułkownikowi Talbotowi. Oboje spacerowali wśród rosnących nad

brzegiem drzew. Pułkownik mocno przyciskał do boku jej ramię, choć nawet z tej odległości Amelia widziała, że Abigail kroczy sztywno i sprawia wrażenie nieszczęśliwej. Nagle zniknęła cała przyjemność, jaką czerpała z samotnego spaceru z Jeffem. Na pierwszy plan znów wybiły się nieprzyjemne aspekty rzeczywistości.

W końcu, nie mogąc dłużej zatrzymać podejrzeń dla siebie, spytała:

- Jeff, jak byś się czuł, gdybyś wiedział, że Abigail interesuje się Samem Calvertem?

Jeff obrzucił ją ostrym spojrzeniem.

- Powiedziała ci to?

Amelia zawahała się, wiedząc już, że popełniła błąd.

- No... tak jakby. To nic poważnego...

Jego oczy były mroczne, usta zacisnęły się gniewnie.

- A on? Czy ośmielił się...

Nie oczekiwała tak gwałtownej reakcji. Szybko zaprzeczyła, potrząsając głową.

- Nie, nic podobnego. Przykro mi, że zaczęłam rozmowę na ten temat. Głupio zrobiłam. Zapomnijmy o wszystkim.

Jeff obejrzał się przez ramię. Po chwili dostrzegł siostrę spacerującą w towarzystwie pułkownika. Na nieszczęście Abigail zerknęła akurat na samotnego, opartego o pień drzewa Sama, który odpowiedział jej

smutnym spojrzeniem. Oczy Jeffa zwięzły się i o krok odsunął się od swej towarzyszki.

- Lepiej z nią porozmawiam!

- Nie! - Amelia mocno chwyciła go za ramię. - Jeśli to zrobisz, domyśli się, że wszystko ci powiedziałam. A nie powinnam. Zrobiłam to tylko dlatego...

- Nie dokończyła zdania.

Obserwował ją z napięciem. Bijąca z jego oczu niecierpliwość sprawiła, że Amelia zapragnęła zapaść się pod ziemię.

- Dlaczego? - spytał. A potem wzrok mu złagodniał. Pojawiło się w nim zrozumienie, znacznie gorsze od gniewu.

- Chciałaś sprawdzić, czy potrafię rozżłościć się aż tak, żeby zastrzelić Sama Calverta za to, że zaleca się do mojej siostry - powiedział sucho.

Amelia ze smutkiem wbiła wzrok w ziemię.

- Na litość boską, Amelio, mamy tysiąc osiemset siedemdziesiąty rok. - W głosie Jeffa brzmiało obrzydzenie. - Prawo od dawna zakazuje pojedynków. I niezależnie od tego, co słyszałaś o szalonych rebeliantach, dżentelmeni nie rozwiązują problemów za pomocą pistoletów. Kiedy wreszcie zrezygnujesz z tej swojej śmiesznej teorii?

- Wcale nie jest śmieszna! - Jej głos pobrzmiwał niecierpliwością i gniewem. - To się naprawdę zdarzyło.

Jeff spojrział na nią z niechęcią i ruszył przed siebie.

Nagle dzień nie wydawał się już tak piękny, wszelka radość zniknęła jak słońce, zakryte burzowymi chmurami. Amelia wiedziała, że musiało się tak skończyć - wszak przyszłość prześladowała ich niczym złowrogi upiór. Ale może mogłaby udawać choćby jeszcze przez kilka minut... A tymczasem zamiast cieszyć się chwilą, zniszczyła nić porozumienia, jaka się między nimi zrodziła. Była na siebie wściekła, ale cóż innego mogła zrobić - dla siebie i dla Jeffa?

Szedł obok niej sztywno, ręce założył za plecy. Wiatr targał mu włosy, ale nie przyglądał ich, lecz spuściwszy głowę wpatrywał się w ziemię.

Po długiej chwili, cicho i spokojnie, powiedział:

- Nie masz się czym martwić. Nie zamierzam zastrzelić Sama Calverta. Nie do mnie już należy opieka nad siostrą.

Nagle strasznie się zawstydziła. Jeff miał prawo sądzić, że w niego zwątpiła. Cichym, żalonym głosem powiedziała:

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, żebyś mógł kogoś skrzywdzić świadomie albo... zastrzelić z zimną krwią. Chodzi tylko o to, że czasami okoliczności...

- Żadne okoliczności - stwierdził gwałtownie - nie zmuszą mnie nigdy, żebym strzelił do człowieka. Rozumiesz, Amelio?

Jego oczy pełne były przejmującego bólu. Żal i rozpacz ścisnęły jej gardło. Jak to się dzieje, że gdy tylko chce mu pomóc, natychmiast go rani? Przecież jest niewinny. Czuła to całym sercem. A jednak było coś, czego nie potrafiła pojąć. Wiedziała, że jest blisko odkrycia jakiegoś tropu. Nie wolno jej się poddać. Rozsądek i znajomość przyszłości, którymi dysponowała, były jego jedyną szansą. Nawet jeśli obudzi w nim nienawiść, musi znaleźć sposób, który uratuje mu życie.

Szli pod wiatr, który szarpał połami jego surduta, owijał jej suknię wokół kostek, cichł na chwilę, by znowu poderwać się i zawirować liśćmi na ścieżce. Amelia słyszała odległe głosy, pośpieszny tupot stóp - to ładowano wozy, przygotowując się do powrotu do domu. Wiedziała, że powinni wracać, lecz ani ona, ani on nie wspomnieli o tym ani słowem.

W końcu powiedziała cicho:

- Bardzo mi przykro, Jeff. Od czasu, kiedy się tu pojawiłam, sprawiam ci same kłopoty i zmartwienia. Wciągnęłam cię w moje sprawy, opowiadałam ci głupstwa u ludziach, których kochasz, kazałam ci martwić się o rzeczy, o których nie powinienesz wiedzieć i... przepraszam.

Jeff zawahał się, a potem powiedział miękko:

- Och, przyniosłaś mi coś więcej niż tylko zmartwienia. - Nadal szedł z opuszczoną głową, lecz na

jego ustach pojawił się cień smutnego uśmiechu. - Otrzymałem od ciebie także pożywkę dla wyobraźni, dałaś mi poczucie nieograniczonych możliwości i - tak - nawet smak przygody. Za twoją sprawą zacząłem myśleć o rzeczach, które przecież nie mogą istnieć, i zastanawiać się, czy jednak kiedyś się pojawiają. Sprawiałaś, że przypomniałem sobie na chwilę, jak to jest być chłopcem, dla którego nic nie jest niemożliwe, któremu wszystko wydaje się wielkie i podniecające, który wierzy, że jutro pełne jest cudów. - Odwrócił się i spojrzał na nią poważnie. - Za to, jeśli nie za coś więcej, zawsze będę ci wdzięczny, Amy.

Poczuła ciepło jego dłoni na swych rękach. Serce zabiło jej gwałtowniej. Łagodność jego głosu wywołała w niej nagłą tęsknotę. Jeff nigdy nie dowie się, jak głęboko zapadł w jej serce, jakie samotne i puste będzie życie bez niego. Pragnęła mu to powiedzieć. Pragnęła objąć go, złożyć głowę na jego piersi i powiedzieć mu tak wiele. Lecz nie mogła.

Musiał się czegoś domyślić z wyrazu jej oczu, bo jego twarz złagodniała. Wiatr wyrwał spod spinki kosmyk jej włosów i otoczył nim szyję. Jeff delikatnie przesunął go na miejsce i niskim głosem powiedział:

- Tak, przez ciebie jestem nieszczęśliwy. Lecz nie w ten sposób, o jakim myślisz.

Patrzył jej w twarz, jakby chciał zapamiętać ją na



całe życie. Amelia oddychała szybko. Pragnęła czegoś, oczekiwała, bała się... Nie była pewna, co czuje. Zaciśnęła mu palce na dłoni.

Nie podniósł głosu, lecz kiedy zaczął mówić, wszystko ucichło: szum wody w rzece, plusk uderzających o brzeg fal, szelest szarpanych wiatrem drzew, odgłos dalekiego grzmotu. Istniał tylko Jeff, a to, co mówił, rozdzierało jej serce.

- Przez całe życie uciekałem. Najpierw z wyspy, potem przed wojną, wreszcie przed zmarnowanym życiem. Wróciłem, bo tu mogę się czuć bezpiecznie, bo byłem zmęczony i nie miałem gdzie się podziać. Potem pojawiłaś się ty, i ten bezpieczny zakątek świata stał się nagle większy niż cały wszechświat. A ja chciałem... gwiazdki z nieba.

Dotknął jej ramienia, jakby miał zamiar ją przytulić... albo odepchnąć.

- Patrzysz na człowieka, który zmarnował życie, Amy - mówił dalej - który nie wykorzystał żadnej, nawet najmniejszej szansy i tylko parł przed siebie, Bóg jeden wie po co. Nigdy tego nie żałowałem, nigdy nie chciałem być inny... aż do dziś. Zaprzepąściłem wszystkie szanse, które dał mi los. Nie mam już gdzie uciekać. Teraz chciałbym wyłącznie zawrócić bieg czasu, wymazać przeszłość, zacząć wszystko od nowa, dostać jeszcze jedną szansę... dla ciebie.

Nie zakochaj się w tym mężczyźnie, zawołał jakiś

rozpaczliwy głos w jej głowie. Nie wolno ci tego zrobić. Lecz wbrew woli rozchyliła usta, z których wyrwało się tylko jedno słowo:

- Jeff! - To wypowiedziane zdławionym szeptem słowo zawierało całą tęsknotę, tłumione pragnienia, poczucie beznadziei - wszystko, co tak usilnie próbowała od siebie odsunąć.

Spojrzał na nią z rozpaczą i zacisnął palce na jej ramieniu.

- Nie mogę ci niczego ofiarować - szepnął. - Chciałbym się tobą zaopiekować, dać ci to, czego pragniesz, a czego ten człowiek, którego znałaś wcześniej, nie dał ci przez głupotę lub samolubstwo. Sądziłem, że nic mnie już w życiu nie czeka, póki ty nie tchnęłaś w nie swojej magii. Chcę, żebyś dostrzegła, jaka jesteś piękna, jaka niezwykła. Chciałbym cię strzec i bronić, stworzyć miejsce dla ciebie, dla nas... ale nie mogę.

W jego cichych słowach był gniew i żal, który w tym momencie rozdzierał jej serce. Zacisnął palce na jej ramionach i powtórzył powoli, jakby każde słowo było gwoździem wbijanym w trumnę nadziei, której nie wolno znów rozniecić.

- Czy mnie rozumiesz? Nie mogę!

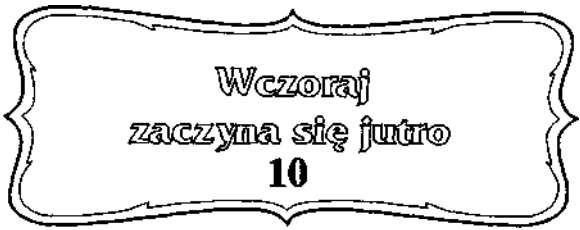
Przez dłuższą chwilę Amelia stała bez ruchu, jakby przykuta do miejsca tą gniewną, bijącą mu z oczu pewnością. Ból, który wyrzeźbił zmarszczki na ka-

miennej twarzy Jeffa, nie był tylko jego bólem. Jeśli kiedykolwiek miała mu paść w ramiona, to właśnie wtedy. Jeśli kiedykolwiek musiała go pocieszyć i doznać pociechy, choćby na chwilę uwierzyć, że wspólnymi siłami obronią się jakoś przed tym, co ich osaczyło, to właśnie teraz. Przytul mnie, słowa te rozbrzmiewały echem w jej myślach, ciche, rozpaczliwe i tak wyraźne, że musiał je usłyszeć. Po prostu mnie przytul...

Lecz pozwoliła sobie tylko na to, by łamiącym się głosem wyszeptać:

- Wiem, Jeff.

Wiatr szarpał jej suknię, na twarzy poczuła coś wilgotnego. To łza, stwierdziła odrętwiała. Zaciśnięta na jej ramionach ręce rozluźniły się powoli i opadły. Amelia podniosła dłoń, wytarła policzki i powoli ruszyła z powrotem.



Wczoraj  
zaczyna się jutro  
**10**

Gdy tylko dotarła na miejsce, gdzie zaledwie przed kilkoma chwilami odbywał się sielski piknik, natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że coś się wydarzyło. Załadowane wozy wydawały się gotowe do odjazdu, lecz Elliot szybko wyprzęgał jednego konia. Kobiety, zbite w ciasną grupkę, stały nad brzegiem rzeki i płakały. Amelia przyspieszyła kroku. Jeff dotknął jej ramienia, wyprzedził ją i pobiegł. Uniosła suknię i pospieszyła za nim.

Znalazła się na miejscu, gdy matka Laury, przykrywając twarz dłońmi, osunęła się w objęcia Marthy Craig.

- To wszystko przeze mnie. Powinnam ich lepiej pilnować, powinienam...

- Mała Pearle - wyjaśniła Abigail, nie wdając się w szczegóły. - Odeszła gdzieś dalej i...

- Łąka! - krzyknęła Laura. - Opowiadała o kwiatkach na łące... - Zgarnęła suknię, odwróciła się i pobiegła przed siebie.

- Idę z tobą - zawołała Abigail.

Jeff podszedł do wozu i po chwili wrócił z przypasanym do boku rewolwerem. Elliot, siedzący na oklep na pociagowym koniu, trzymał w dłoni strzelbę.

- Pojadę w górę rzeki - oznajmił.

Twarz Jeffa była ponura.

- Ja w dół. Dwa strzały, jeśli ją znajdziesz.

Elliot odjechał kłusem. Jeff podniósł głos, przekrzykując wycie wiatru:

- Panowie, proszę odprowadzić panie do domu, nim zacznie się burza. Tam się spotkamy. Pearle nie mogła odejść daleko.

Matka dziewczynki rozszlochała się znowu, ojciec zaś powtarzał w kółko:

- Konia. Dajcie mi konia!

- Wróć do domu ścieżką przez las - oznajmiła Amelia. - Może poszła tamtędy?

- Nie bądź niemądra! - Jeff złapał ją za ramię.

- Wystarczy już tych kręcących się tu wszędzie kobiet. Wracaj ze wszystkimi do domu.

Amelia wyrwała rękę z jego uścisku.

- Abigail i Laura nie przejdą nawet stu metrów w tych swoich gorsetach i pantofelkach. Jestem dwa razy silniejsza od nich, wiesz o tym doskonale. A poza tym, jeśli jest ranna albo... - urwała, po czym rzekła stanowczo: - W tych lasach można ją znaleźć tylko na piechotę, a potrzebujesz do poszukiwań więcej ludzi.

Nie dała mu szansy na odpowiedź. Minęła go i znalazła się wśród drzew.

Jeff miał prawdopodobnie rację - dziewczynki szukało wystarczająco wielu ludzi, a mężczyźni, gdy tylko dotrą do domu, natychmiast wrócą konno i przeszukają teren znacznie dokładniej, niż ona była w stanie zrobić to na piechotę. Jej natura nie pozwalała jednak stać bezczynnie, gdy inni działali. Musiała pomóc. W tej chwili jedyną szansą, by zapomnieć o szarpającym jej duszę bólu, było działanie. Musiała skupić się na czymś innym niż rozpacz, która ogarniała ją, ilekroć spojrzała w oczy Jeffa.

Szarpnęła suknią, zaczepioną o kolce jakiegoś krzewu. Co kilka kroków zatrzymywała się i wołała zbląkane dziecko. Pokonała zaledwie kilkanaście metrów, gdy zrobiło się tak ciemno, że z pewnością nie dostrzegłaby małej Pearle, lecz brnęła dalej przed siebie, wołając jeszcze głośniejszym głosem, że dziecko ją usłyszy i odpowie.

Wśród drzew zawodził wiatr, gałęzie łamały się i spadały na ziemię. Nagły poryw zerwał jej z głowy kapelusz; widziała, jak toczy się i znika w gąszczu, lecz nawet nie próbowała go odzyskać. Drgnęła słysząc bliski grzmot pioruna. O ileż bardziej przestraszona musi być mała dziewczynka! Amelia przedierała się naprzód, rozgarniała nisko zwisające gałęzie,

palcami odsuwała włosy z twarzy i nieustannie wołała Pearle.

Nagle nad głową usłyszała huk przypominający rozbijającą się o brzeg wielką falę. Stanęła i przerażona spojrzała w górę. Było już tak ciemno, że nie widziała nawet gnących się pod naporem wiatru wierzchołków drzew, lecz docierające przez wichurę trzaski i szum pozwoliły jej domyślić się, że spadł deszcz. Przyłożyła zwinięte dłonie do ust i z całej siły wykrzyczała imię dziewczynki, lecz sama z trudem usłyszała swój głos.

Ryk wiatru i szum deszczu przycichły nagle, jakby burza postanowiła złapać drugi oddech. Amelia otworzyła usta do krzyku, gdy nagle usłyszała trzask, a zaraz potem drugi. Te odgłosy były zbyt ostre, by uznać je za grom, zbyt wyraźne, by wydała je spadająca gałąź. To strzały. Mężczyźni znaleźli zaginione dziecko.

Ulga spowodowana odnalezieniem Pearle nie trwała jednak długo. Amelia ruszyła ścieżką w kierunku, z którego przyszła, gdy nagle powietrze rozdarł przeraźliwy trzask. Z przerażeniem patrzyła, jak czubek nagiego, dawno uschłego drzewa wygina się i spada łamiąc gałęzie, jak z hukiem, od którego zadrżała ziemia, pada niespełna sześć metrów od niej, wrywając sadzonki i młode sosenki. Zdławiła okrzyk przerażenia i ruszyła ścieżką w kierunku, w którym spodziewała się znaleźć dom.

Wkrótce zabłądziła. Zaraz potem deszcz przedarł się przez zasłone gałęzi i spadł na nią srebrzystą kaskadą. W jednej chwili przemokła do suchej nitki. Wiatr szarpał jej ubraniem, na każde dwa kroki do przodu cofał ją o jeden, zakrywał włosami oczy, ciskał w twarz kłujące igły sosen i lepkie, mokre liście. Hałas był tak ogłuszający, że nie słyszała już trzasku łamanych gałęzi. Widziała jedynie, jak spadają przed nią lub wprost na nią. Grom narastał z niskim pomrukiem, by w końcu wybuchnąć z ogłuszającym trzaskiem. A błyskawice... Ich zygzaki łączyły niebo z ziemią w oślepiających, następujących raz za razem wybuchach. Po każdej serii takich jaskrawych błysków gorące powietrze aż pachniało wyładowaniami elektrycznymi. Potem przerwa i - najzupełniej nieoczekiwanie - kolejna seria.

Biegła, potykała się, przewracała i wstawiała, szlochała, dławiła się deszczem wypełniającym jej usta. Niczego nie była już w stanie usłyszeć, niczego zobaczyć, lecz nie ustawała, próbując uciec przed burzą.

Głośno wzywała Jeffa, tak silnego, że przy nim czułaby się bezpieczna, tak pewnego siebie, że pod jego opieką przestałaby się bać, Jeffa, który nigdy nie będzie należał do niej, bowiem historia wydała wyrok, historia zmusi do odejścia tego mężczyznę, którego potrzebowała bardziej niż wszystkiego w życiu.

Oddychając płytko i nierówno, wytarła mokre



oczy, po czym rozejrzała się, rozpaczliwie próbując ustalić, gdzie właściwie jest. Zacinający deszcz oślepił ją jednak, widziała tylko zielone i brązowe, poruszające się chaotycznie cienie. Zrobiła jeszcze parę kroków, lecz potknęła się o obalony pień, padając wyciągnęła rękę i znalazła oparcie... To Jeff!

Krzyczał coś do niej, huk burzy zagłuszał jednak jego słowa. Woda spływała mu z kapelusza, zalewała twarz - najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widziała. Złapała go za mokre klapy kurtki i przytuliła twarz do jego piersi. Mogłaby stać tak wiecznie, bezpieczna w jego ramionach, lecz Jeff odwrócił ją i pochylił się, krzyżąc w jej ucho coś, czego nie usłyszała. Objął ją mocno i poprowadził przed siebie.

Nie wiedziała, jak długo tak szli. Brakowało jej tchu, nogi uginały się pod ciężarem ciała i przemoczonej sukni, krople deszczu niczym ostre kamyki uderzały ją po głowie i ramionach. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Miała przy sobie Jeff a. Razem znajdą drogę wśród burzy.

Ledwie zauważyła, że wyszli z lasu - wiedziała tylko, że może teraz iść szybciej, nie potyka się już tak często i że otaczające jej kibić ramię tuli ją mocniej. Deszcz był tak gęsty, że nie widziała, gdzie stawia nogę przy kolejnym kroku; nie protestowała, gdy Jeff wziął ją na ręce i przeniósł ostatnie kilka kroków.

Postawił ją na twardej, kamiennej podłodze, od-

wrócił się i zamknął podwójne drzwi. Nadal z trudem łapiąc oddech Amelia przetarła oczy, rozejrzała się, lecz dopiero po chwili, mimo panujących tu ciemności, rozpoznała letni domek.

Jeff najpierw zdjął z głowy i odrzucił przemoczony kapelusz, który stracił zupełnie kształt. Potem ściągnął z siebie kurtkę; upadła na ziemię z głośnym plaśnięciem. Dopiero teraz odwrócił się ku Amelii. Oczy mu płonęły.

- Oszalałaś? - Głos miał ochrypły. Od krzyku, pomyślała zmęczona. Szukając mnie, starał się przekrzywić burzę. - Nie zdajesz sobie sprawy, co się mogło stać? Dlaczego mnie nie posłuchałaś? Dlaczego nie zostałaś z kobietami, tam gdzie twoje miejsce?

Nie przejęła się jego gniewem. Stała i przyglądała się Jeffowi, chłonąc samą jego obecność. Koszulę miał przemoczoną, materiał przylegał do piersi, podkreślał silne mięśnie ramion. Ciemne włosy oblepiały mu czaszkę i czoło, woda spływała z nich po policzkach. Był wyraźnie zaniepokojony.

Potrafiła powiedzieć tylko:

- Wiedziałam, że mnie odnajdziesz.

Zrobiła jeden chwiejny krok i natychmiast znalazła się w jego ramionach. Słyszała ogłuszające bicie jego serca. Mocne dłonie przesunęły się po jej ramionach, zatrzymały na szyi, gładziły ją po głowie.

- Mały głuptasku - szepnął. Oddech miał nadal

urywany, ze strachu i z wysiłku, i czuła, jak napinają mu się mięśnie, gdy tulił ją do siebie coraz mocniej.

- Omal przez ciebie nie oszalałem! Czy wiesz, jak się bałem, jak wszyscy się baliśmy?

Wyczuła, że drży i próbuje się od niej odsunąć. Objęła go i przytrzymała ze wszystkich sił.

- Nie! Nie odpychaj mnie, Jeff. Tak strasznie się boję.

Opuścił głowę i delikatnie ją pocałował.

- Wszystko w porządku - powiedział cicho. - Nic ci nie grozi. Przykro mi, że krzyczałem.

Nadal tuliła się do niego i drżała. Oczy miała zamknięte.

- Nie ma się czego bać - powtórzył łagodnie. - Jesteśmy tu całkiem bezpieczni. Inni spokojnie dotarli do domu - nasz stary dom przetrwał gorsze burze. Teraz już nic ci się nie stanie.

- To nie burza - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło, próbując powstrzymać dreszcze. Nie mogła jednak wypuścić go z objęć, nie mogła też otworzyć oczu.

- A więc co? - Wziął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Czego się tak boisz?

- Boję się, że mnie opuścisz, że nie zdołam zrobić nic, żeby cię zatrzymać. Och, Jeff, tak trudno cię nie kochać!

W następnej chwili poczuła na wargach jego usta i świat przestał istnieć. Dźwięki burzy oddaliły się

i umilkły. W kojącym uścisku jego ramion zapomniała o niepewności i strachu. Jeff. Tylko on się liczy. Jest tu, kocha go, więc nie ma się czego bać.

Odgarnął przylepione do jej policzków mokre włosy, wargami musnął skronie, czoło, zamknięte powieki.

- Och, Amy - szepnął. - Kiedy jesteś blisko, nie potrafię się opanować.

Palcem dotknęła warg Jeffa, tłumiąc jego słowa. Zamknął oczy, a ona delikatnie gładziła go po twarzy. Kiedy była razem z nim, niczego nie potrzebowała.

- Jeff... Chcę się z tobą kochać.

Otworzył oczy. Ujrzała w nich pragnienie, ból, niechętną odmowę. A jednak, gdy się cofała, wyciągnął ku niej ramiona.

Rozwiązała sznurówki spódnicy, halki i tiurniury. Mokre ubranie upadło na podłogę wokół jej stóp. Nadspodziewanie pewnymi palcami rozpinęła guziczki mokrego stanika, w końcu zsunęła go z ramion. Stała przed nim w pożyczonej od Abigail bieliźnie, mokry batyst przylegał do jej ciała niczym druga skóra.

Nigdy jeszcze nie zachowała się tak śmiało, tak bezwstydnie, lecz nigdy też nie była tak pewna tego, czego pragnie. I nigdy jeszcze, patrząc w oczy mężczyzny, nie widziała w nich takiego światła, jakie rozjaśniało oczy Jeffa. Dostrzegła w nich coś więcej niż uczucie, więcej niż pożądanie; to światło przenikało jej duszę.

Wziął ją w ramiona i opadli na miękką kanapę, zagubieni w pożądaniu, w radości.

Gdy wreszcie zrzucili z siebie resztki mokrego ubrania, ich ciała zaczęły się rozgrzewać. Pożądanie rośło, poruszali się coraz gwałtowniej... Napięte mięśnie, zaciśnięte palce, zapamiętanie. W jego pieszczotach Amelia wyczuła odrobinę desperacji, tej samej, jaka i ją ogarniała. Nie mogli się sobą nasycić, wciąż nie dość im było gorących pocałunków, absolutnego zespolenia. A kiedy nadeszła rozkosz, na trwającą wieki chwilę połączyła ich w jedno ciało i w jedną duszę. Nie rozluźnili uścisku, chcieli więcej, pragnęli, by ta chwila nigdy nie minęła.

Burza przeszła, tylko deszcz monotonnie bębnił w kryty dachówką dach. Leżeli przytuleni na wąskiej kanapie. Jeff łagodnie muskał opuszkami palców twarz Amelii.

- Nie chcę, żebyś tego żałowała - powiedział.

Żałowała? Och tak, powinna czuć żal, strach, wątpliwości. Był rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty, a nie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi. Być może zmarnowała sobie życie na zawsze, stała się wyrzutkiem, z którym nie zwiąże się żaden przyzwoity mężczyzna. Może zająć w ciążę. Ona, która w tym czasie nawet nie istniała, może urodzić dziecko mężczyzny nie mającego żadnej przyszłości. Tak, zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że popełniła straszny błąd,

że powinna go teraz żałować. Dawna Amelia zapewne przejmowałaby się tym wszystkim, lecz Amelia, która znalazła szczęście w miejscu poza czasem, nie martwiła się wcale.

Chwyciła palce błędzące wokół jej ust i spojrzała na Jeffa z radością, której nie zdołałyby wyrazić żadne słowa.

- Och, Jeff - szepnęła. - Jak mogłabym żałować? Czyżbyś nie wiedział, że niezależnie od tego, co jeszcze ma się zdarzyć -jej palce konwulsyjnie zacisnęły się na jego ręce - zawsze będę wspominać tę chwilę?

Jeff, leżący z głową na poręczu kanapy, przytulił ją mocniej, podnosząc ich złączone dłonie do ust.

- Byłem pewien, że w każdej sytuacji potrafię znaleźć właściwe słowa - stwierdził - lecz wszystko, co mógłbym teraz powiedzieć, wydawałoby się takie banalne. Chciałbym... och, Amy, tak bardzo chciałbym, żeby wszystko wyglądało inaczej.

Lekko zdławionym głosem odpowiedziała:

- Ja też.

Odwrócił się tak, że znalazł się nad nią. Ujął w dłonie jej twarz i wpatrywał się w nią z napięciem.

- Nie opuszczę cię - powiedział. - Obiecuję.

Zamknęła oczy i przytuliła się do niego, lecz nie powiedziała ani słowa. Wiedziała, że Jeff składa przyrzeczenie, którego nie będzie w stanie dotrzymać.

Kochali się znowu, pieścili, pragnęli zapamiętać

każdą chwilę. Deszcz ustał, przez szczeliny okiennic do domku sączył się zmierzch, a oni obejmowali się w milczeniu, pozwalając, by świat, tak jak deszcz, zapomniiał o nich.

W końcu Jeff przypomniał:

- Będą się o nas martwić.

Po długiej chwili Amelia skinęła głową. Wiedziała, że to tylko krótka przerwa, że biegu wydarzeń nikt nie potrafi powstrzymać. Zakończenie zbliżało się nieuchronnie. Pragnęła tylko, by nadeszło jak najpóźniej.

Wstała i zaczęła się ubierać, wzdrygając się, gdy zimny, mokry materiał dotknął jej skóry, pozbawiając ciało resztek rozkosznego ciepła, które czerpała od Jeffa. Kiedy kończyła wiązać ostatnie sznurówki, Jeff był już ubrany. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Powiedz im, że przeczekałaś burzę w letnim domku - powiedział Jeff. - Ja zjawię się po kilku minutach i wyjaśnię, że schroniłem się w jednej z chat na wsi.

Amelia skinęła głową. Tak właśnie wygląda rzeczywistość. Oszustwa, kłamstwa, wstyd... W dziewiętnastym wieku wszystko komplikowało się równie łatwo jak w dwudziestym, tylko granice zakreślone były znacznie wyraźniej. Dziś przekroczyła jedną z nich, przynosząc obojgu jedynie niepewność i ból.

Gdy wychodziła, Jeff chwycił ją za ramię.

- To nie koniec, Amy - powiedział cicho. - Muszę tylko pomyśleć. Potrzebuję czasu.

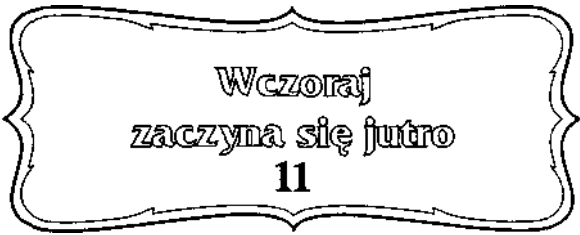
- Nie żałuję - szepnęła.

Przytulił ją, pocałował czule i mocno, tak słodko, że coś ścisnęło ją w gardle i w oczach zabłyśły łzy.

- To nie koniec - powtórzyła.

Wyszła z letniego domku czując smak jego pocałunku na wargach, ciepło jego miłości w sercu. W tej chwili była gotowa wierzyć mu bez zastrzeżeń.





Wczoraj  
zaczyna się jutro  
11

Ranek następnego dnia był pogodny i słoneczny. Po śniadaniu Amelia wzięła rękawiczki, sekator oraz duży kosz i dołączyła do Marthy Craig, czekającej na nią w zachodnim ogrodzie.

- Najważniejsze - pouczyła ją pani Craig z pewnością siebie osoby bezgranicznie zafascynowanej tematem - to nie pozwolić kwiatom zwiędnąć na łodydze. Obcinaj kwiat, zostawiaj liście, niech rosną. Co za szkoda - powiedziała, ścinając cynię, której płatki oberwał wiatr. - Biedactwa, kwitłyby jeszcze przez tydzień. To prawda, mamy wczesne lato. Może zakwitną po raz drugi?

Amelia przyklękała, by przyciąć bladożółte mieczyki o przygiętych do ziemi łodygach i delikatnych płatkach zachlapanych błotem.

- Nic dziwnego, że ogród jest piękny. Tak pani o niego dba - powiedziała.

Twarz Marthy Craig rozjaśniła się z radości.

- Oczywiście, o rośliny trzeba się troszczyć. Ale zawsze mówiłam, że jedyną różnicą między cywi-

lizacją a barbarzyństwem są ogrody, więc warto się starać.

Amelia wpatrywała się w nią wstrząśnięta. Usłyszała słabe echo przeszłości - głos kobiety imieniem Karen, zatrzymującej się u szczytu schodów tego domu w następnym stuleciu i cytującej te właśnie słowa. Słabo uśmiechnęła się do Marthy, po czym włożyła mieczyki do koszyka, w którym były już inne, ścięte wcześniej kwiaty.

Pani Craig z satysfakcją skinęła głową.

- Będą ślicznie wyglądały w salonie. Och, Jeffrey, jesteś tu. Brakowało nam cię przy śniadaniu.

Serce Amelii zabiło nagle szybciej, a kiedy podniosła wzrok, ciało jej zalała fala rozkoszy. Jeff podszedł do nich, trzymając kapelusz w dłoni, z włosami rozwianymi przez wiatr, w rozpiętym surducie. Na nogach miał buty do konnej jazdy. Patrzyła na niego z radością, jaką dać może tylko uczucie posiadania, zmieszaną z boleśnie słodkimi wspomnieniami wrażeń ciągle tak żywych, że niemal czuła ich smak.

Pocałował matkę w policzek, lecz jego uśmiech przeznaczony był dla niej. Amelia rozpromieniła się, a potem szybko odwróciła wzrok i machinalnie ścięła kolejny kwiat.

- Wcześniej wstałem - oznajmił Jeff. - Rzeka podniosła się, ale powódź chyba nam nie grozi, a jeśli

pogoda się utrzyma, woda na polach powinna opaść do jutra. Nie ponieśliśmy chyba żadnych poważniejszych strat.

- Jak to miło, że oszczędziłeś Elliotowi kłopotu! Odprowadza Laurę na prom, ale wiem, że martwił się, że nie może sprawdzić wszystkiego sam. Jesteś taki dobry, Jeffrey.

- To także moja ziemia, mamó - przypomniał jej łagodnie.

- No, tak. Ależ oczywiście! Kochanie, nie, nie ten! Nie zdążył jeszcze nawet rozkwitnąć!

Amelia oprzytomniała w ostatniej chwili - sekator omal nie zamknął się na łodydze nie rozwiniętego kwiatu. Zawstydzona swą nieuwagą, szepnęła:

- Przepraszam. - Wyprostowała się. - Może lepiej będzie, jeśli...

- Mamó - rzekł Jeff patrząc na Amelię - przyszedłem powiedzieć, że szuka cię profesor Kane. Chodzi o tę maszynę do prania, nad którą pracuje.

Martha Craig zachichotała.

- Potrafisz to sobie wyobrazić? Kochany z niego człowiek, tyle ma zawsze pomysłów na ułatwienie ludziom życia, choć szczerze mówiąc, one je tylko komplikują. Tradycyjne sposoby są zawsze najlepsze, inaczej nie byłyby tradycyjne, prawda? Oczywiście, za żadne skarby świata nie uraziłabym jego uczuć, przecież tak bardzo się stara. No cóż, przepraszam

was, kochani. Lepiej pójdę sprawdzić, jak mogę mu pomóc - oznajmiła i szybko odeszła.

- Maszyna do prania? Pralka? Przecież wiem, że jeszcze jej nie wynaleziono. Twoja matka powinna się cieszyć, że będzie miała coś takiego!

- Mnie wydaje się całkiem niepraktyczna - odparł z roztargnieniem Jeff. - Zdaje się, że trzeba będzie dwóch silnych mężczyzn i muła, żeby w ogóle ruszyła.

Amelia roześmiała się cicho.

- Powinnam się była domyślić. Bez prądu... Professor Kane wyprzedza trochę swe czasy.

Jeff ukłęknał obok niej.

- Amy - powiedział. - Chcę, żebyś wyszła za mnie.

Przez chwilę Amelia miała wrażenie, że musiała się przesłyszeć. Sekator wypadł jej z bezwładnej dłoni. Wpatrywała się w Jeffa; twarz miał napiętą i poważną. Podniósł sekator i podał go jej, a kiedy nie wyciągnęła po niego ręki, włożył go do koszyka i ujął jej dłoń, jakby chciał pomóc jej wstać.

- Wiem, co zamierzasz mi odpowiedzieć - oznajmił. Nareszcie odzyskała głos.

- To doskonale. Bo ja nie mam pojęcia!

Wyjść za niego? Czyżby rzeczywiście tak powiedział? Wyjść za Jeffa, jedynego mężczyznę, którego kiedykolwiek kochała, mężczyznę, który ją rozumiał, który swą siłą wspierał jej słabości, który spośród

wszystkich żyjących na ziemi teraz i w przyszłości jako jedyny był jej pisany. A ona jemu.

Wyjść za męża? Za Jeffa, który żył i umarł sto lat przed jej urodzeniem, którego los został już przesądzony, w którego życiu nie było miejsca dla niej...

Poczuła zawrót głowy, w ciągu sekundy dusza jej z wyżyn nierozsądnej radości spadła w otchłanie rozpaczy. Spojrzała na niego bezradnie.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że to właśnie powiesz. Czy rzeczywiście musisz pytać?

Wyrwała dłoń z jego uścisku.

- Och, Jeff, nie - szepnęła. Zaskoczona, rozpaczliwie szukała właściwych słów. - Nie rozumiesz. Tylko dlatego, że my... że ja... - Gestem wskazała letni domek; wspomnienia zaćmiły jej rozsądek i utrudniały odmowę, która, o czym doskonale wiedziała, była nieunikniona. - Oczywiście wiem, że w twoich czasach było to jedyne honorowe wyjście, ale...

Niecierpiliwie potrząsnął głową.

- Nie chodzi o moje czasy, jak je nazywasz, o honor i obowiązek, bo przecież to masz na myśli. Na miłość boską, Amy, nie sądzisz chyba, że jesteś pierwszą kobietą, z którą...

Przerwał. Słowa te nie zraniły jej, choć zapewne

tego się właśnie obawiał. Nie widząc oskarżenia w jej oczach złagodniał, co łatwo było odczytać z jego twarzy. Wziął ją pod rękę i zaprowadził do stojącej na słońcu ławeczki. Usiedli obok siebie.

Ujął jej dłoń i mówił spokojnie, lecz z przekonaniem:

- Żyłem z dnia na dzień, nie troszcząc się o przyszłość, bo nikt mi jej nigdy nie obiecywał. Porzuciłem rodzinę, odwróciłem się od kraju, o którego istnienie walczyłem. Na niczym mi nigdy nie zależało, bo nigdy nie miałem nic do stracenia. Nie wiedziałem, że pewnego dnia... pojawisz się ty.

Na moment opuścił wzrok, zaciskając dłoń na jej ręce.

- Nie rozumiesz? - spytał ochrypłym głosem. - Dzięki tobie po raz pierwszy pojąłem, że żyję. Zwróciłaś mi to, co, jak sądziłem, utraciłem na zawsze. Znów mi na czymś zależy. Wrosłaś w moje ciało, moją duszę, nie mogę się ciebie pozbyć. Jesteś jedyną kobietą - skończył cicho - z którą mógłbym spędzić resztę życia. Wiem o tym od dawna, nie od wczoraj.

Każdą cząstką ciała i duszy Amelia pragnęła rzucić mu się na szyję i powiedzieć „tak”. Ale czy mogła? Czy mogła?

Patrzyła na niego oszołomiona i zrozpaczona.

- Jak mogę za ciebie wyjść? Przecież to nie moja

epoka. Ja się jeszcze nawet nie urodziłam. Czy ty tego nie rozumiesz? Nie ma tu dla mnie miejsca, żyję...

- Jesteś właśnie tu - przerwał jej spokojnie. - Temu nie możesz zaprzeczyć. Możesz mówić, co chcesz, tylko nie to. Twoje życie jest tutaj, w tym czasie, w tym miejscu i nic tego nie zmieni. Proszę cię teraz, żebyś spędziła to życie ze mną.

Jak zdecydowanie zabrzmiały jego słowa, kiedy któregoś dnia jej powiedziały: „Nie uda ci się wrócić do domu”. Wspomnienia życia, które prowadziła kiedyś, zaczynały się zacierać, pozostawało tylko życie, które urządziła sobie tutaj. Z Jeffem. Oczywiście, tylko z Jeffem! Ale... jak to możliwe?

Westchnęła.

- Tego właśnie pragnę, Jeff. Bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Uściskał jej dłoń.

- Wczoraj powiedziałem, że nie mogę ci niczego dać. Mówiłem prawdę i męczyło mnie to bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Mając ciebie, Amy, mogę jednak coś dla nas zrobić. Ta wyspa... plantacja... należy do mnie. Może nie powinna, może na nią nie zasługuję, ale ojciec nie zmienił testamentu i to ja po nim dziedziczę. Oddałem ją z dobrej woli; teraz mogę odebrać. Tu będzie nasz dom, jeśli tylko tego chcesz.

- Zrobiłbyś coś takiego Elliotowi?

Jeff potrząsnął głową.

- Zawsze chciałem podzielić ziemię między nas trzech. Benjamin chciałby zostać prawnikiem w wielkim mieście i ziemia go nie interesuje. Wcześniej nie chciało mi się po prostu domagać mojej części. Nie było po co. Teraz jest inaczej.

Czy to jest przyczyna ledwie maskowanej wrogości między Elliotem i Jeffem? Czy Elliot obawiał się, że któregoś dnia Jeff może zapragnąć więcej, niż wynosi jego część? Czy zdoła żyć wiedząc, że spowodowała rozłam między braćmi?

Jeff mówił dalej cicho:

- Wiem, że nie jest szczytem marzeń kobiety życie z człowiekiem ściganym, który nie może opuścić tej wyspy, lecz pewnego dnia...

- Kocham tę wyspę - przerwała mu. - Kocham ten dom, ogród i twoją rodzinę. Mogłabym żyć tu szczęśliwie, ale... Och, Jeff!

Nie potrafiła dłużej ukrywać rozpacz. Wyrwała mu rękę i wstała.

- Czy nie rozumiesz, że to niemożliwe? - zawołała. - Wszystko już się zdarzyło, nie potrafię nic zmienić. Próbowałam... Jeden Bóg wie, jak bardzo próbowałam... Ale za dziesięć dni będziesz musiał stąd uciekać jak ścigany kryminalista i nikt już więcej nic o tobie nie usłyszy.

Zobaczyła, jak tężeje mu twarz. Nie mogła znieść



tego widoku. Odwróciła się, złożyła ręce na piersiach, uniosła głowę, lecz serce jej krwawiło.

Jeff wstał i chwycił ją za ramiona. Po raz pierwszy nie spierał się z nią, tylko zapytał cicho:

- Czy historia nie mówi, że pojechałaś ze mną?

Poczuła nagły przypływ nadziei i odwróciła się ku niemu. Oczami wyobraźni dostrzegła wszystkie rysujące się możliwości... lecz zdrowy rozsądek zwyciężył.

Człowiek ścigany przez prawo, uciekający, by ocalić życie. Powiedziała już kiedyś, pół żartem, pół serio, że w tej sytuacji brakowałoby mu jeszcze niezdarnej, opóźniającej ucieczkę kobiety z dwudziestego wieku. Historia nie odnotowała, co się z nim stało. Czy przeżył życie gdzieś z dala od wyspy, w Kanadzie lub w Meksyku? Czy zginął na szlaku od kul lub trawiony śmiertelną gorączką, samotny, przez nikogo nie opłakiwany, czy też może został złapany i powieszony w jakimś zagubionym małym miasteczku, ponieważ pewna kobieta popełniła głupi błąd?

Głęboko zaczerpnęła powietrza. Nigdy w życiu nie wypowiedziała słów równie trudnych i okrutnych.

- Historia nie odnotowała, czy przeżyłeś, czy też zginąłeś. Nie mogę być odpowiedzialna za twoją śmierć, Jeff.

Widziała, jak napinają mu się mięśnie policzków. Zacisnął zęby, opuścił wzrok. Milczał.

Chwyliła go za ramię.

- Jeff, nie potrafię nawet jeździć konno, nie mówiąc już o powożeniu zaprzęgiem, rozpalaniu ogniska, znajdowaniu wody i o tym wszystkim, co umieją robić kobiety z pogranicza. Zachoruję, zranię się lub popełnię jakieś głupstwo, które ściągnie na ciebie uwagę. Będziesz się o mnie martwić, gdy powinienś myśleć wyłącznie o sobie. Będziesz się o mnie troszczył zamiast starać się uciec jak najdalej. Nie wiem, jak uda mi się przeżyć bez ciebie... - Głos załamał się jej po raz pierwszy. - Ale nie mogę uciec z tobą.

Spojrzał jej w oczy. Spodziewała się gniewu, protestu, rozczarowania, a nawet pogardy, zaskoczyła ją więc spokojna determinacja, jaką wyczytała w jego wzroku.

- Może ty nie jesteś w stanie zmienić historii, ale ja tak. O mnie tu chodzi i obiecuję ci, Amy, że cię nie opuszczę.

Pragnęła rzucić mu się w ramiona, zamknąć oczy i uwierzyć w tę obietnicę, uchwycić się jej z całej siły. Zmusiła się jednak, by rozluźnić palce, które wpijały się w jego ramiona, i skrzyżowała ręce na piersiach, jakby miało jej to pomóc okiełznać szarpiące nią uczucia.

- Kocham cię, Jeff - powiedziała po prostu.

Uśmiechnął się lekko i dotknął jej policzka.

- Czwarty lipca - powiedział. - Tylko w ten sposób zdołam cię przekonać, prawda? Poczekaj, a zobaczysz. Ja czekałem na ciebie przez całe życie. Kilka dodatkowych dni mi nie zaszkodzi. Otrzymam odpowiedź.

Z całej duszy modliła się, by była to odpowiedź, której pragnie.

Czas mijał nieubłaganie. Do czwartego lipca pozostały już tylko dwa dni.

Amelia snuła plany, a potem odrzucała je jako bezsensowne. Wymyśliła kilkanaście teorii, lecz skąd miała wiedzieć, która z nich jest prawdziwa, jeśli w ogóle którakolwiek mogła być prawdziwa? Doprowadziła do perfekcji umiejętność przygotowania się na każdą ewentualność, a teraz, kiedy nadszedł najważniejszy w jej życiu kryzys, nie była nań w ogóle przygotowana.

Tyle istniało możliwości. Czy strzelanina będzie przypadkowa, czy ukartowana? Czy zabójstwo będzie skutkiem samoobrony, czy też morderstwem z zimną krwią? Oskarżenie Jeff a... pomyłka świadków czy też kłamstwo, wymyślone na przykład przez Elliota, który nie tracił nic, a mógł zyskać wiele, gdyby jego brata zmuszono do ucieczki z wyspy.

Amelia bez przerwy zadawała sobie pytanie: „Co

mogę zrobić?" Czy powinna ostrzec Sama Calverta, skłonić go do opuszczenia wyspy? Rozebrać każdą sztukę broni w domu? Nikt nie uwierzy w jej ostrzeżenia. Najpewniej uznają ją za szaloną, wyślą gdzieś, skąd w niczym już nie będzie mogła pomóc. A cóż da zniszczenie broni? Przecież morderca wcale nie musiał mieszkać na plantacji, mógł być kimś obcym, uzbrojonym rabusiem, który zakradł się do domu pod osłoną nocy.

Choć rozpaczliwie próbowała, nie potrafiła znaleźć sposobu, by zapobiec temu, co miało przytrafić się Samowi Calvertowi. A Jeff... Czy możliwość, że go straci, nie była bardziej rzeczywista, bardziej przerażająca niż śmierć jakiegoś człowieka?

Uciekaj z nim. Cichy, natarczywy głos powracał cierpliwie, nie przestając jej dręczyć. Nikt nigdy nie powiedział, że Jeff wyjechał sam. Żaden historyczny fakt nie przeszkadzał im wyjechać razem. Miała prawo wątpić, czy samą swą obecnością doprowadzi do nieszczęścia, czy przeszkodzi mu w ucieczce - a tak bardzo pragnęła wierzyć, że nie będzie musiała go utracić, iż czasami niemal już przekonywała sama siebie, że to możliwe.

Później miejsce euforii i marzeń zajmowało przygnębienie. Rzeczywiście, nie wiedziała, co się zdarzy, jeśli uciekną razem, lecz gdyby zginął, gdyby go złapano, czy kiedykolwiek zdołałaby przekonać sama

siebie, że to nie przez nią? Czy może przekreślić szansę jego ucieczki za cenę kilku spędzonych z nim dni? Potrzebowała go rozpaczliwie, lecz czy jest to usprawiedliwieniem dla egoizmu?

Amelia nigdy nie uważała się za osobę szczególnie odważną, a Jeff był jej jedyną ostoją w tym dziwnym świecie. Bez niego będzie zgubiona. Gdzie znajdzie odwagę, by pozwolić mu odejść?

Wśród wszystkich tych pytań, które gnębiły ją przez ostatnie kilka dni, powracała natrętna myśl, że małżeństwo jest jedyną okazją, by zostać z Jeffem sam na sam. Leżała przewracając się z boku na bok i myśląc, że potrafiłaby znieść kolejne noce, gdyby tylko był przy niej Jeff... Lecz wołała nie ryzykować, że obudzi Abigail, wyslizgując się nocą do jego pokoju. W każdej minucie każdego dnia ktoś był przy niej... i przy nim. Kiedy spacerowali po ogrodzie, ktoś zawsze ich obserwował. Kiedy wyjeżdżali na przejażdżkę nad rzekę, ktoś zawsze zgłaszał się na ochotnika, by im towarzyszyć. Starannie zaplanowany piknik we dwoje zmieniał się w skomplikowane przyjęcie dla co najmniej sześciu osób. W innych okolicznościach byłoby to może zabawne; czasami Amelia zastanawiała się nawet, czy to nie sprawka Jeffa, okazującego jej w ten sposób, że małżeństwo jest jedyną metodą zyskania odrobiny prywatności. W każdym razie Jeff znosił tę sytuację cierpliwie, z rozbawie-

niem, lecz chyba nie wierzył, że czas, który mieli dla siebie, błyskawicznie dobiega końca.

Jednocześnie Amelia gdzieś w głębi swego jestestwa rozumiała, że tak jest lepiej, że rozstanie będzie znacznie mniej bolesne, jeśli do jego chwili będą się trzymać na odległość. Ta doskonała teoria mogłaby nawet sprawdzić się w praktyce, gdyby nie to, że była w nim beznadziejnie zakochana.

Czas mijał, a rozwiązanie tajemnicy - oraz umiejętność poradzenia sobie z jej konsekwencjami - wydawały się jej równie dalekie jak wtedy, gdy po raz pierwszy wstąpiła w progi tego domu. Amelia żyła z dnia na dzień, zwyczajnie i normalnie, próbując nie myśleć, jak szybko wszystko zmierza ku końcowi.

- No - powiedziała odchodząc od okna. W rękę trzymała młotek i podziwiała efekty właśnie zakończonej pracy. - Mój wkład w cywilizację, która pewnego dnia dotrze i tu.

Ubłagała Marthę Craig, by pozwoliła jej ściągnąć ze strychu belę siatki przeciw moskitom i spędziła całe popołudnie osłaniając nią okna na parterze. Naciągnięta ciasno między framugami, przybita mnóstwem małych gwoździków, siatka stworzyła swego rodzaju osłonę. Wypadło znacznie lepiej, niż się spodziewała.

- Patrzcie, nawet całkiem ładnie to wygląda - stwierdziła zaskoczona Abigail. - Pokój wydaje się

znacznie przytulniejszy i z pewnością nie będzie się tak nagrzewał od słońca.

- Siatka nie wpuści do środka owadów. To najważniejsze.

- Masz mnóstwo świetnych pomysłów. - W głosie Abigail brzmiał wyraźny podziw. Patrzyła, jak Amelia odkłada młotek do skrzynki, którą znalazła w stodole.

Amelia zdobyła się na uśmiech.

- Nie tyle, ile bym chciała. - Nie wiedziała, jak ocalić ukochanego mężczyznę przez pisanym mu losem. Jakie znaczenie ma wszystko inne, gdy nie można poradzić sobie z tym, co w życiu najważniejsze?

Abigail podała jej płócienną torebkę pełną gwoździ, którą Amelia odłożyła do skrzynki.

- No, koniec. Lepiej odniosę narzędzia na miejsce, nim ktoś zacznie ich szukać.

Abigail zawahała się. Jej twarz miała dziwny, trochę przestraszony, a trochę niepewny wyraz.

- Słuchaj... - powiedziała. - Czy mogłabym z tobą porozmawiać?

- Oczywiście. - Skrzynka wróciła na podłogę. Cichy głos przyjaciółki oraz jej przygryzione wargi świadczyły, że chce się zwierzyć z jakiegoś sekretu. Przeraziła ją myśl, że sekret ten może dotyczyć Jeffa.

Dalsze, zaskakujące słowa przyniosły jej jednak ulgę.

- Nie powinnam cię tym niepokoić, ale doprawdy nie wiem, komu mogłabym się zwierzyć. No, chodzi o to, że... Dziś rano spacerowaliśmy z Samem po ogrodzie. Nie umówiliśmy się na spacer - wyjaśniła szybko - tylko tak jakoś na siebie trafiliśmy. Sam opowiadał, nie po raz pierwszy, że wymyślił, jak zarobić trochę pieniędzy i... - Abigail zarumieniła się mocno.

- No, obawiam się, że część jego planów dotyczy mnie. To oczywiście doskonale - dodała natychmiast - przynajmniej jeśli o mnie chodzi... Tylko że w tej właśnie chwili pojawił się pułkownik Talbot, zobaczył, jak się do siebie uśmiechamy i... i chyba źle to rozumiał. Był strasznie zły, niemal pobił się z Samem. .. Och, Amelio, obawiam się, że pójdzie wprost do mamy, a to ściągnie kłopoty na wszystkich. Może mama będzie nawet musiała poprosić Calvertów, żeby wyjechali! Nie wiem, co robić.

- Kto wie, czy tak nie byłoby najlepiej - powiedziała Amelia na wpół do siebie. Tylko w ten sposób zyskałaby pewność, że Sam Calvert będzie całkowicie bezpieczny. Jeśli odjedzie, nikt go nie postrzeli, a więc Jeff nie zostanie o nic oskarżony. Być może sama powinna donieść pani Calvert o sympatiach jej córki. Może...

I nagle zrozumiała.



- Pułkownik Talbot - powiedziała cicho. Powoli podniosła wzrok na Abigail, niemal nie ośmielając się uwierzyć, że oto odkryła tak oczywistą prawdę. - Oczywiście. Nienawidzi Sama. Nawet gdyby nie chciał się z tobą ożenić, honor południowca kazałby mu bronić cię przed mężczyznami pokroju Calverta. I w dodatku był żołnierzem. Nadal walczy - tylko inaczej. Nie zawahałby się...

Abigail wyglądała na zmieszaną.

- O czym ty właściwie mówisz? Przecież powiedziałam tylko...

- Wszystko zgadza się doskonale. - Było to tak oczywiste, tak wspaniale logiczne, że Amelia nie czuła nawet podniecenia spowodowanego tym odkryciem, a tylko oszałamiającą ulgę. - Powinnam była domyślić się wcześniej. - Więc jednak się jej udało! Przyjechała, by wyświecić tajemnicę, nie mając najmniejszej wprawy w rozwiązywaniu jakichkolwiek zagadek, i właśnie znalazła klucz do wyjaśnienia sprawy morderstwa. Nie potrafiła ocenić jeszcze konsekwencji tego faktu.

Abigail przerwała tok jej myśli. Zniecierpliwiona, powiedziała:

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Chcę się tylko dowiedzieć, czy powinnam pójść do mamy i wszystko jej wyjaśnić, zanim zrobi to ktoś inny, czy może...

Nagle Amelia usłyszała coś, od czego serce jej zamarło, co zagłuszyło słowa dziewczyny, co wymiotło jej z głowy wszystkie myśli o pułkowniku Talbocie i Samie Calvercie.

Dźwięk ten rozlegał się właściwie od dłuższego czasu - słaby, niewyraźny, nieco niesamowity. Tak była zajęta rozwiązywaniem zagadki morderstwa, że nie zwróciła nań uwagi. Nawet kiedy stał się nieco wyraźniejszy, nadal był tu tak obcy, tak całkowicie nieoczekiwany, że nie od razu go rozpoznała. Podniosła rękę, gestem nakazując Abigail milczenie i szepnęła:

- Cśś...

Ktoś szedł pod oknem gwizdząc, i tym razem nie sposób już było pomylić melodii. Amelia słuchała jej stojąc bez ruchu. Nawet serce zamarło w niej na chwilę.

- Piosenka! Słyszysz ją?

- Tak ,oczywiście, ale...

Podbiegła do okna. Za siatką widać było tylko obsadzoną drzewami aleję dojazdową; melodia tymczasem dobiegała coraz słabiej - gwizdzący ją człowiek skręcił za róg domu. Tym razem nie myliła się jednak. I nie wprowadziła jej w błąd bujna wyobraźnia. Słyszała „Hey, Jude”. Niewiele myśląc, nie patrząc nawet na oszołomioną Abigail, wybiegła z pokoju.

Jedną ręką unosząc spódnicę, drugą mocno trzymając się poręczy, zbiegła szybko po schodach i skierowała się w stronę, z której dobiegały tony piosenki. Nie słyszała już niczego poza biciem swego serca, lecz nie miała wątpliwości: ktoś z dziewiętnastowiecznej Południowej Karoliny gwizdał dwudziestowieczną piosenkę! To nie było urojenie! Nie tym razem. I za pierwszym razem też miała rację, a istniało tylko jedno wyjaśnienie: był tu ktoś pochodzący, jak ona, z dwudziestego wieku... A może oni wszyscy pochodzą z dwudziestego wieku, może od samego początku nic tu nie było prawdziwe, może ktoś spletał jej paskudnego figla, ktoś tu grał komedię, krył się za tą jakże skomplikowaną maskaradą... I od tego kogoś dzieliło ją teraz zaledwie kilka kroków.

Zdyszana, zatrzymała się przy wejściu do zachodniego ogrodu. Nerwowo rozejrzała się wokół, lecz nie widziała i nie słyszała nikogo. Gwizdanie umilkło.

Chciała czymś rzucić, kogoś tym trafić albo po prostu stanąć i z całej siły krzyknąć, by autor tego okropnego żartu wyszedł wreszcie z ukrycia. Jak to możliwe, przecież już się prawie udało, a teraz...

Nagle znów usłyszała dźwięk, daleki, słaby, lecz niewątpliwie ten sam. Ktoś gwizdał. Początkowo dźwięk był ledwie słyszalny, lecz im bliżej podchodzi-

ła, tym wyraźniejsza stawała się melodia. Doskonale jej znana.

W końcu ile sił w nogach pobiegła w kierunku stodoły i przystanęła z dłonią na skrzydle otwartych wrót. Stanęła jak wryta. Teraz słyszała już wyraźnie słodką, smutną piosenkę. Po drugiej stronie otwartych wrót stał człowiek, który pamiętał „Hey Jude”, człowiek związany jakoś z życiem, które - jak się jej wydawało - straciła na zawsze. Przypadkowy podróżnik w czasie, jak ona? A może miała przed sobą ostateczny, niepodważalny dowód, że wszystko, co znosiła przez te kilka ostatnich tygodni, było jedynie oszustwem, okrutnym żartem jakiegoś maniaka?

Kiedy wejdzie do środka, wszystko się zmieni. Na lepsze lub na gorsze, lecz jej świat znów się zawali. Właśnie zaczęła przyzwyczajać się do nowej rzeczywistości, w której znalazła się przypadkiem, właśnie zaakceptowała przypadający jej w udziale los... a teraz kolejna dramatyczna zmiana. Była bliska myśli, że może lepiej byłoby odejść, udawać, że nic się nie stało.

Lecz tego nie potrafiła zrobić. Powoli, walcząc z zeszywniałymi mięśniami, weszła do środka.

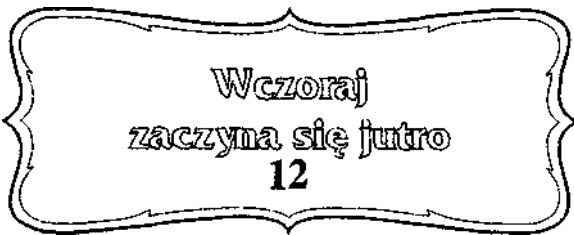
Przez chwilę jej oczy przyzwyczajały się do mroku. Dostrzegła cień mężczyzny. Stał tyłem do niej i sięgał

w górę, by zamknąć przegrodę na skobel. Mężczyzna cichutko gwizdał, pogrążony w myślach.

Nagle odwrócił się i uśmiechnął.

Amelia wydała okrzyk zdziwienia.

- Jeff!



Wczoraj  
zaczyna się jutro  
12

- Ty łotrze! - krzyknęła ochryple. Rzuciła się na niego z pięściami, oszalała z gniewu zrodzonego z poczucia zdrady. - Wiedziałeś! Oszukiwałeś mnie! Przez cały czas kłamałeś, przez cały czas to byłeś ty! Wiedziałeś, co się ze mną dzieje i nie pomogłeś! Nawet mi nie wierzyłeś... a przecież wiedziałeś! Wiedziałeś od początku, bo to byłeś ty!

Nie przestawała okładać go pięściami. Kiedy próbował złapać ją za rękę, wyrwała mu je i wpiła palce w jego ramiona.

- Kłamałeś! - krzyczała na całe gardło. - A ja wychodziłam z siebie... Myślałam, że zaczynam wariować... Pozwoliłeś mi się zakochać! O Boże, Jeff, to byłeś ty!

- Przestań! - Zdołał w końcu złapać ją za rękę, mocno przytrzymał je przy jej piersi i potrząsnął nią gwałtownie. - Przestań w tej chwili, słyszysz?

Amelia przestała się szarpać nie dlatego, że jej rozkazał, lecz dlatego, że nie mogła już dłużej znieść napięcia.

Wyrwała się z jego uścisku, postąpiła krok do tyłu i patrzyła na niego chłodno przez zakrywające jej oczy włosy. Czuła się zdruzgotana. A kiedy spojrzała na niego, tego swojego Jeffa, który był jej tak przyjazny, tak silny, tak pewny w otaczającym ją oceanie niepewności, mogła tylko pomyśleć: „To niemożliwe. Niech coś się stanie. Tylko nie Jeff. Proszę, tylko nie Jeff.

- Pewnie myślałeś, że jesteś taki sprytny - rzekła w końcu urywanym głosem. - Wszystko skończone. Popełniłeś jeden błąd i to wystarczy.

W jego twarzy nie dostrzegła jednak nic oprócz zmieszania i odrobiny złości.

- Jaki błąd? Amy, o czym ty mówisz?

- Na miłość boską, Jeff, nie igraj ze mną! Nie teraz! - Nie miała ochoty na kłótnię, ale po tym wszystkim, co przeszła z jego winy, jak może zmuszać ją, by stała przed nim i coś mu udowadniała. - Piosenka! - rzuciła mu w twarz.

- Jaka piosenka? - Nie był już zły, lecz wyraźnie zaniepokojony. Zbliżył się do niej. - Amy, dobrze się czujesz? Co się stało, że jesteś w takim stanie?

Odsunęła się od niego, gwałtownym ruchem głowy odrzuciła włosy z twarzy.

- Jaka piosenka? - powtórzyła szorstko. - Piosenka, którą gwizdałeś! Czyżbyś nawet nie zdawał sobie z tego sprawy? Ta piosenka powstała dopiero pod ko-

niec dwudziestego wieku. Może miałbyś ochotę mi to wyjaśnić? Co, Jeff?

Zawahał się, a potem spytał niewinnym tonem:

- Masz na myśli „Hey, Jude”?

Jeśli przed chwilą żywiła najsłabszą choćby nadzieję, że się myli, że czegoś nie zrozumiała, coś źle sobie wytłumaczyła, że istnieje jakieś bezpieczne, rozsądne i całkowicie niewinne wyjaśnienie, jego pytanie rozwiązało jej wątpliwości. Wszystko skończone.

- Tak - powiedziała beznamiętnym tonem. - „Hey, Jude”. Piosenka Beatlesów. Powstała gdzieś około tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, może odrobinę wcześniej. Ale ty to oczywiście wiesz.

Zmusiła się, by spojrzeć mu prosto w oczy, i odniosła wrażenie, że widzi go po raz pierwszy. Taki przystojny, taki silny, tak doskonale pasujący do swej roli w tej znoszonej brązowej kurtce. I na dodatek te drobiny słomy w ciemnych włosach, bijący od niego zapach skóry i cygar. Wygląda jak Jeff - mężczyzna, któremu oddała serce. Nagle odkryła coś niepokojącego: raz oddane serce nie chciało do niej powrócić. Gdzieś w głębi duszy kochała go nadal - wbrew wszystkiemu, co się zdarzyło. I nigdy nie przestanie go kochać.

Wykrzesła z siebie resztki sił i spytała beznamiętnym głosem:

- Więc o co tu właściwie chodzi? Najwyraźniej



pochodzisz z dwudziestego wieku. Prawdopodobnie słyszałeś tę piosenkę w radiu, jak ja. Kiedy? Miesiąc temu? Rok? A może zaledwie wczoraj? Może ty też przeniosłeś się w czasie, co, Jeff? Czy też może to tylko gra, żart, w którym udział biorą wszyscy oprócz mnie?

Przez długą chwilę Jeff milczał. Przypatrywał się jej z napięciem, które znała tak dobrze. Widziała je na jego twarzy wielokrotnie, zawsze wtedy, kiedy próbował jej uwierzyć, a jeśli mu się nie udawało, to przynajmniej starał się zrozumieć. Za to go kochała.

Potem powiedział spokojnie:

- Amelio, nie wiem, o czym mówisz. To stara, ludowa piosenka. Znam ją od dziecka.

Omam nie uśmiechnęła się.

- Więc teraz próbujesz mi wmówić, że Beatlesi popełnili plagiat wykorzystując ludową dziewiętnastowieczną piosenkę z jednej z wysepek u wybrzeży Południowej Karoliny? Daj spokój, Jeff. Proszę cię, daj spokój.

- Nie - odparł z namysłem. - Mówię ci, że po raz pierwszy usłyszałem tę piosenkę jako dziecko. Nie widziałem w niej nic dziwnego. Lecz jeśli mówisz, że napisano ją dopiero za jakieś sto lat...

Przerwała mu.

- Gdzie? Gdzie usłyszałeś tę piosenkę?

- Nucił ją profesor Kane - odparł po prostu.

Zebrała w garść suknię, odwróciła się i wybiegła, niepewna, dokąd właściwie iść. Jeff dogonił ją, wziął pod rękę i przeprowadził przez podwórko. Minęli stajnie, zagajnik sosnowy posadzony dla ochrony przed wiatrem i dotarli do pracowni profesora Kane'a.

Przede wszystkim rzucił się jej w oczy bałagan. Poczowała zapach kurzu i oleju, na stołach leżały jakieś kawałki metalu, skrawki drewna, stały szklane słoje wypełnione dziwnie pachnącymi substancjami. I te książki. Przeróżne, leżące w sięgających kolan stosach na podłodze, wypełniające półki niemal pod sam sufit. Profesor siedział na wysokim stołku stole pod oknem i wpatrywał się w kawałek drutu, który próbował przewlec przez coś przypominającego małe koło.

- No, proszę - powiedział nie podnosząc głowy - właśnie się zastanawiałem, kiedy odwiedzi mnie para młodych ludzi.

Nie, to niemożliwe, pomyślała Amelia. Lecz kiedy rozejrzała się wokół, serce z niewiadomych powodów zaczęło jej bić szybciej. Może...

- Amelię interesuje ta piosenka, której pan nas nauczył, kiedy byliśmy dziećmi. „Hey, Jude”.

Profesor chrząknął.

- Narzędzia - powiedział, przepychając drut przez otwór w małym kółku. - Najprostsza rzecz pod słoń-

cem. Jeśli masz narzędzia, sprawa załatwiona. Jeśli ich nie masz, nic nie zdziałasz.

Amelia zrobiła krok w jego stronę. Głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Co pan wie o Beatlesach? - spytała.

Profesor nie podniósł wzroku.

- Dokuczliwe małe stworki.

Nie, pomyślała. To niemożliwe. To szaleństwo, głupota. Lecz jeśli Jeff nie mógł jej tego wszystkiego wyjaśnić, to kto? Jeff przyprowadził ją właśnie tu. Jediną jej nadzieją był profesor Kane. Tak bardzo chciała uwierzyć Jeffowi.

Zrobiła kolejny krok w stronę stołu.

- General Motors? - spytała ostrożnie.

- Robią niezłe maszyny - odparł.

Serce zabiło jej w piersi tak silnie, że na chwilę umysł odmówił jej posłuszeństwa. A potem zaczęła się prawdziwa gonitwa myśli. Może się pomylił? Strzelił w dziesiątkę. „Motors”. „Maszyny”. Popełniła straszną, bolesną pomyłkę w wypadku Jeffa - tego była już całkowicie pewna. Nie wolno jej ryzykować po raz drugi. Pragnęła, by to, co się działo, było prawdą, potrzebowała tego, lecz musiała także mieć całkowitą pewność.

- Czy pamięta pan... - zająknęła się - ... długopisy, zegarki kwarcowe... pampersy?

Profesor zachichotał, lecz nie przerwał pracy.

- Panienko, a na co mi te paskudztwa? Wystarczy mi to, co mam.

Boże, błagam...

- Telefony? - Czuła, że zaczyna brakować jej tchu.

- Udręka. Ktoś powinien był uświadomić to panu Bellowi.

Tak... tak!

Czuła obecność stojącego za nią Jeffa, przypatrującego się im z wielkim zainteresowaniem, lecz nie przeszkodziło jej to skoncentrować się. Żadnych zbiegów okoliczności, żadnych pomyłek. Musi być ostrożna...

- Kto był czterdziestym prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Pochylony nad warsztatem profesor zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien. Czy rządził przed Nixonem?

Jeszcze jeden chwiejny, niepewny krok w jego kierunku. W końcu ochrypłym szeptem spytała:

- Czy zna pan kapitana Jamesa T. Kirka?

Profesor odłożył kółko, nad którym pracował, i podniósł na nią wzrok. Spojrzenie miał przyjazne... i nie było w nim śladu zaskoczenia.

- Niestety, nigdy się nie spotkaliśmy. Ale oczywiście wiele o nim słyszałem.

Wstał, wytarł dłonie o pogniecione spodnie, i dodał:

- Dowódca statku kosmicznego „USS Enterprise”.
- Uśmiechnął się. - Witamy na pokładzie.

Amelia zamknęła oczy. Po policzkach pociekły jej łzy oszałamiającej radości. Dom. Tylko o tym potrafiła myśleć. Jestem w domu.

Cudem udało się jej powstrzymać wybuch śmiechu. Jakoś nagle, nieoczekiwanie znalazła się w ramionach Jeffa, tuląc się do niego, przyciskając twarz do jego piersi. Potem z radością objęła profesora Kane'a, a wreszcie otoczyła ramionami obu mężczyzn, uśmiechając się przez łzy.

Profesor uprzątnął dwa krzesła. Usiedli naprzeciw siebie. Jeff przycupnął na krawędzi stołu za plecami Amelii, dłoń lekko oparł na jej ramieniu. Chciała zadać tyle pytań, że przez chwilę nie wiedziała, od czego zacząć.

- Czy pan... Czy pan domyślił się, kim jestem?

Profesor nie próbował unikać jej wzroku.

- Podejrzewałem coś już tego pierwszego wieczoru, ale wolałem nie wiedzieć. Żadnemu z nas nie wyszłoby to na dobre.

Pragnęła zaprotestować, podyskutować z nim. Gdyby tylko w tych pierwszych, strasznych dniach wiedziała, że nie jest sama... Gdyby tylko potrafiła udowodnić sobie i wszystkim innym, że nie oszalała... Nagle zrozumiała, że wie, co Kane ma na myśli. Gdyby wiedziała, że ma sojusznika, kogoś z jej epoki,

czy równie usilnie starałaby się dostosować do sytuacji? Czy nie byłoby jej jeszcze ciężiej żyć z ciągłą świadomością tego, co straciła?

Dłoń Jeffa zacisnęła się na moment na jej ramieniu.

- Chyba rozumiem, dlaczego tak się zdenerwowałaś na myśl, że cię oszukałem. Powinienem domyślić się wszystkiego wcześniej.

Czując wyrzuty sumienia, Amelia odwróciła głowę i policzkiem musnęła jego palce.

- Nie. To ja powinnam wcześniej się zorientować.

Przepraszam cię.

Profesor spojrział na Jeffa.

- Więc on wie?

Amelia przytaknęła. Na usta cisnęły się coraz to nowe pytania.

- To przez ten zegar w ogrodzie, prawda?

- Nie przez sam zegar, lecz raczej teren wokół niego. Coś w rodzaju naturalnego tunelu czasu. Moim zdaniem na świecie jest ich wiele. Po prostu nie odkryliśmy jeszcze, czym są.

- Kiedy pan... zniknął?

Kane uśmiechnął się.

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Byłem młodym inżynierem interesującym się historią. Pracowałem przy budowie tych hoteli, tam, przy plaży, i postanowiłem dokładnie obejrzeć stary dom. Kiedy zegar się uaktywnił... Cóż, miałem się za

eksperta w dziedzinie fizyki, więc postanowiłem sprawdzić, o co tu właściwie chodzi. Wlazłem w sam środek tych dziwów i wylądowałem w tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim roku.

- Więc wie pan - mówiła głosem pełnym napięcia - o Samie Calvercie i o tym, co stanie się czwartego lipca?

Twarz mu spoważniała. Nie patrzył na Jeffa.

- Wiem - przytaknął.

Amelia poczuła, jak za jej plecami Jeff sztywnieje.

- Przecież można odwrócić bieg wypadków - stwierdziła stanowczo. - Jestem tego całkowicie pewna. Wiem...

- Kiedy zacząłem pracować na wyspie - przerwał jej profesor - przeczytałem wszystko, co na jej temat napisano. Wiedziałem, że zbliża się wojna domowa... i nie spodziewałem się, żebym był w stanie jej zapobiec. Wiedziałem, że młody Jeff, którego praktycznie wychowałem od szczeniaka, ucieknie i zaciągnie się do wojska. Nie zdołałem mu przeszkodzić. Wiedziałem, że jego ojciec będzie zamartwiać się na śmierć - a był moim przyjacielem, dobrym przyjacielem. Wiedziałem, że na zachodzie Stanów Jeff wpędzi się w poważne kłopoty, a mogłem tylko stać z boku i patrzeć. W końcu doszło do tego, że tylko próbowałem zapomnieć o tym, co wiem. Bo choćbym nie wiem jak się starał, nie byłem w stanie zmienić niczego.

Jeff wstał i podszedł do okna. O szybę tłukła się hałaśliwa mucha. Stał tam i spokojnie wyglądał na dwór, Amelia zaś tylko zacisnęła pięści, nie chcąc przyjąć do wiadomości ponurego twierdzenia profesora, że bieg historii jest nieodwracalny. Dotarła za daleko, zbyt wiele zrozumiała, by po prostu pogodzić się z porażką.

- Nie mogłabym tak żyć - szepnęła.

- Ależ mogłabyś. Nie masz wyjścia - odparł profesor.

Miesiąc temu myślałaby zapewne podobnie, teraz jednak miała zbyt wiele do stracenia.

Powiedziałaby mu to, lecz właśnie wtedy profesor - a właściwie nie profesor, tylko zwykły inżynier z dwudziestego wieku - spytał:

- Kiedy zostałeś... przeniesiona?

Wiedziała, że próbuje odwrócić jej uwagę od smutnego losu Jeffa, który uważał za nieunikniony.

- Był trzeci lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

- Zgadza się. - Skinał głową. - Cykl liczy sobie sto dwadzieścia dwa lata. - Nagle zmarszczył brwi.

- Ale powinnaś pojawić się tutaj tego samego dnia, a przybyłaś trzy tygodnie za wcześniej. Co się stało?

Wyjaśniła mu - starając się przypomnieć sobie jak najwięcej - jak to się właściwie odbyło. Kiedy skończyła, znów skinał głową.



- A więc tak. Starłaś się walczyć, uciekałaś, i to zakłóciło bieg czasu. Gdybyś dała się ponieść jak ja, dotarłabyś tu trzeciego lipca, z dokładnością co do minuty. Minus sto dwadzieścia dwa lata, oczywiście.

Potem wypytywał ją jeszcze, co zmieniło się od chwili, kiedy opuścił dwudziesty wiek i jaki jest świat tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Jeśli w ten subtelny sposób próbował odwrócić jej uwagę od wszystkich problemów, w pełni mu się to udało. Opowiedziała mu o promach kosmicznych, o komputerach osobistych, o telewizji kablowej i choć wydawał się rozczarowany tym, że ludzie nie zbudowali jeszcze miast na Księżycu, fascynowała go rewolucja techniczna.

Nie przestawał zadawać pytań. Chciał wiedzieć wszystko, interesowała go historia, polityka, giełda, filmy, telewizja i samochody. Im więcej pytał, tym więcej Amelia miała mu do powiedzenia. Jeff słuchał, od czasu do czasu obrzucając ich zdumionym lub zaciekawionym spojrzeniem, nie przerywał jednak. Stał przy oknie, ręce założył do tyłu i częściej niż na nich popatrywał na dwór.

W końcu profesor Kane uspokoił się, wśród papierów i książek znalazł fajkę, nabił ją, zapalił i rzekł potrząsając głową:

- Cuda, cuda i jeszcze raz cuda. Nawet zaczy-

nam trochę żałować, że nie zostałem i nie widziałem tego wszystkiego. Nie w tym rzecz, żebym koniecznie miał się zachwycić; przynajmniej sądząc po tym, co opowiadałaś. Wygląda mi to na świat, który chętnie by się odwiedziło... Ale kto chciałby tam żyć?

- Ja - odparła Amelia i w jej głosie zabrzmiała skrywana nutka smutku.

Profesor palił fajkę i przyglądał się jej poważnie.

- Muszę powiedzieć, że wiem, jak się czujesz, panienko. Spędziłem piętnaście lat, próbując opracować jakiś sposób powrotu, ale...

To niemożliwe! Amelia poczuła, jak coś z wielką siłą ściska jej pierś.

- Czy to znaczy... że można wrócić?

Lekkie wzruszenie ramion, którym profesor skwitował jej pytanie, tak nie pasowało do sytuacji, że wydało się komiczne.

- Oczywiście. Jedno z głównych praw fizyki: każdej akcji towarzyszy równa, lecz przeciwnie skierowana reakcja.

Przez moment Amelia nie wierzyła własnym uszom - brzmiało to zbyt logicznie, by mogło być prawdą. Najważniejsze odkrycie w historii, a ten człowiek tylko wzrusza ramionami! Jedyne rzecz, którą uważała za całkiem niemożliwą, rozwiązanie, o którym nie ośmieliła się marzyć... a on zbywa je lekceważącym

„oczywiście”. Nie. On nie mówi poważnie. Po prostu nie mówi poważnie!

- Ale... Ale zegar słoneczny! - rzekła gorączkowo. - Próbowałam zegara. Myślałam, że... Ale nie zadziałał! Nic się nie stało.

- Ależ oczywiście. Mówiłem ci przecież, że pracuje w cyklach. Okresy aktywności następują co sto dwadzieścia dwa lata, tunel otwiera się tylko na krótko, najwyraźniej przypadkowo - choć wcale nie rządzi tym wszystkim przypadek, lecz określone formuły matematyczne. Wystarczy tylko dokonać odpowiednich obliczeń. To właśnie próbowałem robić. .. przez piętnaście lat. - Uśmiechnął się. - Oczywiście w przerwach między jednym a drugim wynalazkiem.

Ubił fajkę kawałkiem drewnianka.

- Cóż, jak mówiłem, znalezienie rozwiązania zabrało mi wiele czasu. Z komputerem byłoby znacznie łatwiej - stwierdził z namysłem. - W każdym razie, kiedy opracowałem wzory, stwierdziłem, że jedna zmienna pozostaje nieznaną: czas.

Amelia spojrzała na niego nie rozumiejącym wzrokiem. Profesor pochylił się i zaczął tłumaczyć.

- Żeby wrócić do chwili, w której opuściłem dwudziesty wiek, musiałbym bardzo dokładnie wiedzieć, kiedy go opuściłem. W tunelu czasu sekundy zmieniają się w miesiące, minuty w lata, a godziny... Bóg

jeden wie, do czego bym doszedł. Chodzi o to, że nie sposób określić, jaką różnicę sprawić może kilka minut. Może i można to obliczyć, ale mnie się to jeszcze nie udało. Mogłem odnaleźć się we własnej przyszłości, lub jako chłopiec w przeszłości, a nie sądzę, żeby nawet autorzy science fiction wiedzieli, jaki wpływ coś takiego może wyrzucić na człowieka. Co gorsza, mogłem zamiast do przodu ruszyć wstecz, w epokę lodowcową lub średniowiecze, wybrałem więc coś, co wydaje mi się mniejszym złem. Rozumiesz mnie? - Rozsiadł się wygodnie, pykając fajeczkę. - Po prostu wydawało mi się to zbyt niebezpieczne. Nie wiedziałem, nawet w przybliżeniu, o której godzinie opuściłem tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci rok. Jeśli nie wie się tego z dokładnością co do sekundy, nie można dokonać prawidłowych obliczeń.

- Wiem, która była godzina, kiedy ja zostałam przeniesiona - oznajmiła Amelia słabym, głuchym głosem i wyjęła z kieszeni uszkodzony zegarek.

Jeff gwałtownie zwrócił się w jej stronę. Profesor spojrział na nią nagle zwężonymi oczami, pochylił się i wyjął zegarek z jej dłoni. Amelia nadal nie pozwalała sobie na odrobinę nadziei. Bała się nawet pomyśleć...

Profesor nagle chrząknął.

- Wyładowania elektryczne mogły zatrzymać ze-

garek podczas transferu. Jeśli tak, mamy dokładny czas. Zakładając - dodał z powątpiewaniem - że zegarek wskazywał dokładny czas.

- To rolex - stwierdziła lekko urażona. Na twarzy Kane'a pojawił się uśmiech.

- Cóż - rzekł półgłosem. - Zdaje się, że znalazłaś drogę do domu.

Zaczął gorączkowo zapisywać rządki cyfr i mamrocząc pod nosem dokonywał jakichś obliczeń. Promienie słońca, padające na zamknięte okno, rozgrzewały pracownię. Amelia w milczeniu rozważała rysujące się przed nią możliwości. Dom. Matka i siostry, Peggy, „Star Trek”, prażona kukurydza z kuchenek mikrofalowych, korki na ulicach, parasole plażowe...

Profesor uśmiechnął się triumfalnie.

- No, skończone. Tunel otworzy się za dwa dni, między dziesiątą a dziesiątą trzydzieści siedem wieczorem. Musisz przekroczyć go punktualnie o dziesiątej dwadzieścia siedem i piętnaście sekund, ani sekundy wcześniej, ani sekundy później. Wrócisz dokładnie w chwili, w której zniknęłaś, jakby nic się nigdy nie stało.

Amelia wzięła kawałek papieru, choć nie miała pojęcia, co oznaczają nabazgrane na nim liczby. Nadal trudno jej było ogarnąć rysujące się przed nią możliwości. „Jakby nic się nigdy nie stało”.

Spojrzała niepewnie na profesora. Przepełniająca ją radość była tak wielka, że nie potrafiła wykrztusić słowa. Jak można podziękować człowiekowi, który uratował ci życie? Co może dla niego zrobić, co może mu dać, by choć w części odwzajemnić się za to, co on dał jej?

Tak!

- Może pan wrócić ze mną! - zawołała. - Teraz, kiedy wie pan, dokąd pan dotrze, kiedy mamy dokładny czas... nie musi pan tu zostawać! Może pan wrócić ze mną, znalazł pan drogę ucieczki!

Uśmiechnął się raczej smutno i potrząsnął głową.

- Dziękuję ci najuprzejmiej, panienko, ale tego nie zrobię.

- Dlaczego? Nie rozumiem. Jeśli ja mogę, dlaczego pan...

Łagodnym gestem podniósł w górę dłoń.

- Po pierwsze, nie mogę przenieść się we własną przyszłość. Jak nadrobię te wszystkie stracone lata? Nie mam pieniędzy, nie mam pracy, nie miałbym nawet gdzie mieszkać. Nie pasuję do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Po prostu nie pasuję.

- Mógłby pan zamieszkać u mnie. Mógłby pan...

Nie przestając się uśmiechać, potrząsnął głową.

- Po drugie - powiedział - nie chcę wracać. Wiedziałem o tym na długo przed ukończeniem pracy nad

tymi wzorami. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku miałem czterdzieści pięć lat, byłem rozwiedziony, mieszkałem w wynajętym, umeblowanym mieszkaniu i jadłem kupowane na wynos hamburgery. Jeśli nie liczyć paru przyjaciół, byłem zupełnie samotny. W soboty wieczorem siedziałem w domu, piłem piwo i litowałem się nad sobą. O ósmej do pracy, o piątej do domu, jeden pusty dzień gonił drugi... - Uśmiechnął się lekko, jakby z nostalgią. - A tutaj... Tutaj nazywają mnie „profesorem”. Oczywiście myślą, że jestem trochę zwariowany, ale mnie to się nawet podoba. Wykładałem na uniwersytetach, piszę książki, które ludzie czytają. Mam czas, mnóstwo czasu, żeby robić to, co lubię. Dłubię sobie, bawię się maszynami, sprawdzam swoje nieważne teorie, wynajduję rzeczy, na które ta epoka nie całkiem jest jeszcze gotowa. Każdy dzień to nowe wyzwanie. Jest jeszcze pani Martha i dzieciaki... To moja rodzina. Tu mnie lubią. Mam wreszcie dom. Nie chcę innego.

Słowa te zapadały w jej duszę, przekazując uczucia tak oczywiste... Na długo, nim skończył mówić, Amelia zrozumiała, co nim powoduje.

Powoli wyciągnęła rękę, oddając mu zabazgrany karteluszek.

- Nie mogę wrócić - powiedziała.

Na twarzy profesora pojawił się wyraz osłupienia.

- Co takiego?

- Nie mogę wrócić - powtórzyła. - Za bardzo zależy mi na tym... co jest tu. Właśnie tu.

- Przecież musisz! Ja jestem stary, to co innego... Ale ty! Wrócisz w swoje czasy. Tunel otworzy się za dwa dni... Na następną okazję musiałabyś czekać całymi latami, albo nawet całe stulecie. Będiesz pierwszą osobą w historii, która przebyła tę drogę w obie strony. Masz szansę o wszystkim im opowiedzieć. Musisz wrócić!

Amelia potrząsnęła głową.

Profesor otrząsnął się z szoku, lecz nadal był zdumiony. Po chwili zdumienie ustąpiło miejsca łagodnemu zdziwieniu.

- Widzę, że mnie nie rozumiesz. Nigdy się nad czymś takim nie zastanawiałaś. Jeśli nie wykorzystasz szansy czwartego lipca, następnym razem tunel otworzy się dopiero za sto dwadzieścia dwa lata. To twoja ostatnia szansa.

- A więc ją stracę - powiedziała spokojnie, wstała i odwróciła się w stronę okna.

Dopiero teraz zorientowała się, że Jeff wyszedł.

Wybiegła z warsztatu, przebiegła podwórko. Profesor krzyczał coś do niej, ale nie miała zamiaru go słuchać. Biegła unosząc spódnicę.

W ciągu kilku krótkich godzin poznała sekret przeszłości, oskarżyła ukochanego o zdradę, odkryła, że



ktos oprócz niej także odbył podróż w czasie i dowiedziała się, że może powrócić w dwudziesty wiek. Żadne z tych cudownych wydarzeń nie wzbudziło w niej ani ułamka tych emocji, których doświadczyła uświadamiając sobie, co musiał pomyśleć o niej Jeff. Po tym, jak błagała go, by jej nie porzucił, po tym, jak ryzykując życie obiecał, że nie odejdzie, Jeff był świadkiem tego, jak łatwo zapomniała o nim, gdy tylko dowiedziała się, że może wrócić do swojej epoki. Była to zdrada znacznie poważniejsza, znacznie bardziej bolesna niż ta, o którą ona go wcześniej oskarżała.

Tak oszołomiło ją spotkanie z człowiekiem z jej czasów, tak zawróciły jej w głowie otwierające się nagle możliwości, że uczucia, jakie w tej sprawie mógł żywić Jeff, zeszły na drugi plan. Przez chwilę chciała wrócić do swoich czasów, niemal uwierzyła, że może tego dokonać i chyba trudno się jej było dziwić. Może potrzebowała tej otwierającej się przed nią nagle szansy, by zobaczyć wszystko we właściwej perspektywie. Gdyby los nie dał jej szansy, nigdy pewnie nie dowiedziałyby się, czego właściwie chce. Lecz teraz wszystko było już jasne, teraz zrozumiała, że nie ma wyboru.

Jeff jednak nic o tym nie wiedział.

Zajrzała do letniego domku, lecz tam go nie zastała. Kapelusz zsunął się jej z głowy i zawisł na plecach,

przytrzymywany zawiązaną pod brodą wstążką. Odychając ciężko osłoniła oczy przed słońcem i rozejrzała się wokół. Miała wrażenie, że dojrzała sylwetkę mężczyzny skręcającego w ścieżkę prowadzącą nad brzeg rzeki. Zawołała, lecz mężczyzna nie obejrzał się. Pobiegnęła za nim.

Dogoniła Jeffa na oświetlonej promieniami słońca łączce, blisko miejsca, w którym odbył się pamiętny piknik. Stał przy pniu wielkiej wierzby płaczącej, machinalnie zrywającego liście z długiej gałązki. Podniósł na nią z uśmiechem oczy.

- Jak widzę, dalej biegasz po słońcu z gołą głową?

Amelia rozluźniła pogniecioną wstążkę. Kapełusz zsunął się jej z ramion na ziemię. Szła w stronę Jeffa powoli; tyle miała mu do powiedzenia, że nie wiedziała, od czego zacząć. Pewna była tylko tego, że na widok jego nieruchomej twarzy ma ochotę zapłakać.

- Jeff...

- Nasz czcigodny profesor - przerwał jej spokojnie. - To wszystko ma sens, prawda? Nic dodać, nic ująć. Wielka szkoda, że nie odkryliśmy tego wcześniej. Oszczędziłabyś sobie wielu zmartwień.

Coś zmieniło się w jego tonie, w jego zachowaniu... Nie, zmieniło się wszystko! Nawet patrzył na nią inaczej - z rezerwą, jakby była kimś obcym, wo-

bec kogo należy zachować uprzejmą obojętność. Zrozumiała i wybaczyła mu.

- Teraz mi wierzysz, prawda? - spytała cicho. - Wierzysz, że wiem, co się zdarzy?

Wpuścił z dłoni pogniecioną gałązkę i patrzył, jak spada na ziemię.

- W głębi duszy zawsze ci wierzyłem. Kochałem cię, więc jak mogłem nie wierzyć? Po prostu niektóre przepowiednie łatwiej jest odrzucić niż przyjąć. Jak mi się zdaje, nie mam wyboru.

- Nie wracam, Jeff.

- Ależ oczywiście, że wracasz. Czy profesor nie wyliczył już wszystkiego? Co do sekundy?

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Czwarty lipca, wieczorem, o dziesiątej dwadzieścia siedem. Powiedział, że wrócę dokładnie w chwili, w której zniknęłam.

- Zdumiewające - powiedział cicho. - Co też dzieje się na tym świecie... - Spojrzał na nią z cynicznym uśmiechem. - Czwarty lipca. Jest w tym pewna ironia, prawda? Jakby coś uparło się nas rozdzielić.

- Zostaję z tobą, Jeff.

- Nie mów głupstw. Masz szansę wrócić do domu. Musisz ją wykorzystać.

Powiedział to tak spokojnie i rzeczowo, że zadrżała z gniewu. Podeszła bliżej i spojrzała mu prosto w oczy.

- Kocham cię, Jeffrey - stwierdziła stanowczo. - Nie zostawię cię. Nic mnie nie zmusi, żebym cię zostawiła. Czy ty to rozumiesz?

- Nie mów głupstw - powiedział nieoczekiwanie szorstkim tonem. Oczy miał zwięzione. Widoczny w nich ból mieszał się z goryczą, łatwiejszą do zniesienia niż smutek, który widziała w nich wcześniej. - Nikogo nie zostawisz - tłumaczył. - Mnie tu nawet nie będzie. Czy nie to starałaś się wytłumaczyć mi przez ostatnie dwa tygodnie? A może zmieniałaś zdanie? Nic nie jest w stanie zmienić historii, prawda? Po co masz zostawać tu, w czasach, do których nie pasujesz?

- Och, Jeff, czyżbyś rzeczywiście nie rozumiał? - zawołała. - Teraz ważny jesteś tylko ty. Przebyłam sto dwadzieścia dwa lata, żeby cię odnaleźć, i nie mam zamiaru cię stracić. Nie mogę wrócić.

- To szaleństwo - stwierdził brutalnie, lecz twarz mu złagodniała. Podniósł dłoń, jakby miał zamiar dotknąć jej twarzy, lecz zaraz ją opuścił. Zacisnął zęby i powiedział szorstko:

- O co ci chodzi? Co właściwie chcesz zyskać zostając?

Niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Nie słuchałeś mnie nawet przez chwilę, a przecież to właśnie chciałam ci wytłumaczyć. Jeff - po-

wiedziała z naciskiem - wiem, kto jest winien zbrodni. Wiem, kto zastrzelił Sama Calverta.

Szybko opowiedziała mu o pułkowniku Talbocie i dziwnym trójkącie miłosnym, którego pozostałymi wierzchołkami byli Abigail i Sam.

- Abigail powiedziała mi - kończyła pośpiesznie - że dziś omal nie doszło do bójki. Tragedia wisi już w powietrzu. Tylko pułkownik wie o niej i o Samie, tylko on ma motyw...

- A co z naszyjnikiem? - przerwał jej Jeff.

- Być może sam go ukradł. Abigail twierdzi, że nie jest tak bogaty, jak udaje... A może zaplanował sobie taką zemstę? Przecież niemal już uwierzył, że naszyjnik kupiono za pieniądze zrabowane Konfederacji. Całkiem to do niego podobne - sądzić, że ma do niego prawo.

Jeff potrząsał głową, lecz Amelia mówiła dalej:

- A może naszyjnik to tylko zasłona dymna? Zastanowiłeś się nad tym kiedyś? Być może wcale nie został ukradziony? Może pułkownik wymyślił kradzież, żeby się bronić... Winny niech będzie złodziej, nie uczucie.

Przyglądał się jej z namysłem.

- To nieco bardziej prawdopodobne, ale...

- Jeff, czyżbyś nie rozumiał? To musi być on. Tylko on tu pasuje. A teraz, kiedy już wszystko wiemy, możemy go powstrzymać!

Jeff patrzył w dal ze zmarszczonym czołem.

- Przyznaję - powiedział w końcu - że to całkiem możliwe. Pułkownik jest wystarczająco porywczy, żeby pociągnąć za spust, zwłaszcza gdyby uważał, że w ten sposób broni honoru. W tym, co powiedziałaś o naszymniku, też coś jest. Jednego tylko nie rozumiem: co, twoim zdaniem, możemy począć?

- Usuń go z wyspy przed czwartym lipca. W ten sposób...

Potrząsnął głową, nim miała okazję skończyć.

- Wiesz, że tego nie mogę zrobić. Chyba że chcesz, żebym to ja się z nim pojedynekował! Jaki powód mam mu podać? Dlaczego myślisz, że mnie w ogóle posłucha? - Na jego wargach pojawił się nikły uśmiech. - Oczywiście, obaj walczyliśmy po stronie Południa, ale on przecież jest pułkownikiem, a ja skończyłem karierę w stopniu porucznika.

Amelia zdała sobie sprawę, że Jeff ma rację. Gdyby tylko była sprytniejsza, gdyby tylko mieli więcej czasu, może udałoby się im coś wymyślić.

- A więc zabierz mu broń - zaproponowała. - I pilnuj, żeby tego wieczora trzymał się z dala od Sama Calverta. Jest nas dwoje, to nie powinno być takie trudne.

- Amy - powiedział łagodnie Jeff. - W tym domu jest kilkanaście sztuk broni palnej. Nie możemy pozbyć się wszystkiego. Jeśli Talbot zechce do kogoś

strzelać, znajdzie broń. - Nagle lekko zmarszczył brwi.-Ale...

Złapała go za rękę.

- Ale co?

- Tego dnia będzie przyjęcie - powiedział powoli.

- Mnóstwo ludzi przyjedzie tu z dziećmi. Mama zawsze zamyka na klucz pokój z bronią, gdy pojawiają się dzieci. Goście, oczywiście, nie oddają broni.

- Tego dnia będą musieli - stwierdziła stanowczo.

- A ty zabierz broń pułkownikowi i zamknij ją w pokoju. Zamknij każdą broń, jaką znajdziesz.

- Zdaje się - mruknął Jeff - że tylko Talbot chodzi uzbrojony. Doktor nic ze sobą nie przywiózł, a profesor nawet nie poluje.

- Doskonale. - Amelia odetchnęła z ulgą. - Uda się nam.

Jeff odwrócił się, ujmując obie jej dłonie. Jego zasmucona twarz miała łagodny wyraz.

- A jeśli nie? - spytał. - Jeśli twoje założenie jest niesłuszne? Jeśli to nie Talbot ma strzelać? Co będzie, jeśli mimo wszystkich tych zabiegów nie uda się zmienić historii?

Amelia gwałtownie potrząsnęła głową.

- Niemożliwe. Możemy tego dokonać. Musimy!

- A jeśli profesor ma rację? - nalegał. - Jeśli rzeczywiście nie można zmienić przeszłości, wobec tego wszystko zdarzy się tak, jak było zapisane. Ja będę

musiał wyjechać, a ty zostaniesz sama. Nie możesz ponosić takiego ryzyka, Amy. - Zaciśnął palce na jej dłoniach. - Musisz wrócić tam, skąd przybyłaś.

Amelia głęboko zaczerpnęła powietrza. Zdumiewająca, jak łatwo przyszły jej te słowa, choć aż do tej chwili nigdy się nad czymś takim nie zastanawiała. Odniosła wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku dni, wręcz kilku godzin, poznała odpowiedź na swoje pytania. Jediną możliwą odpowiedź. Takie to oczywiste, pomyślała. Dlaczego nie rozumiała tego wcześniej?

- Przez całe życie bałam się zmian, ryzyka... - powiedziała. - Chyba po prostu bałam się nieznanego. Ale teraz jest inaczej, Jeff. Dalej się boję, ale odkryłam, że są rzeczy, dla których warto ryzykować. Jeśli wrócę... - ciągnęła powoli, jakby z każdym słowem odkrywała prawdę - będę bezpieczna. Znajdę się w świecie, który znam, w którym wszystko jest znajome, zawsze takie samo, gdzie wiem, czego mogę się spodziewać. Lecz część mojej duszy - ta część, która zawsze była najważniejsza - zostanie tu, z tobą, na zawsze zagubiona w czasie. A jeśli zostanę... - Znów zaczerpnęła powietrza i odważnie spojrzała mu w oczy. - Może masz rację. Może nigdy się już nie zobaczymy. Może wyjedziesz z wyspy i wszystko się skończy. A może nie? Tego nikt nie wie. Nie przeczytałam wszystkich książek historycznych, nie grzebałam w archiwach. Wiem tylko to, co znalazłam w pro-



spekcie dla turystów, a profesor Kane wcale nie jest mądrzejszy. Jeff, mogę przynajmniej tu zostać i oczyścić twoje imię. To będę w stanie zrobić. A kiedy wszystko się już skończy, może zdołasz pośtać po mnie, albo sam tu wrócisz? To szansa, jedyna, jaką mamy. I nie mów mi, że na moim miejscu nie zrobiłbyś tego samego!

Patrzył na nią przez długą chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Potem powiedział ochrypłym głosem:

- Na pewno nie byłbym tak cholernie głupi. - Chwycił ją w ramiona i przytulił mocno.

Czuła ciepło jego ciała, napięcie mięśni, kiedy przesuwał dłońmi po jej plecach, palcami rozczesując rozpuszczone włosy. Nigdy nie była tak pewna słuszności swego postępowania jak w tej chwili. Gdyby nie miała jego, nie miałyby nic. Mając jego, mogła mieć wszystko.

- Posłuchaj mnie, Amy. - Objął jej głowę obiema dłońmi i delikatnie ją odchylił. - To się nie uda. - Kiedy zaczerpnęła tchu, pragnąc zaprotestować, delikatnie zacisnął palce, nie dopuszczając jej do głosu. - Nie, po prostu słuchaj. Nie mogę ci na to pozwolić. Gdyby chodziło o mnie, wszystko wyglądałoby inaczej... Ja mogę żyć wszędzie, przyzwyczajam się do wszystkiego. Bóg jeden wie, ile zrobiłem, żeby to udowodnić. A ty... Nie myśl, że nie

widziałem wyrazu twoich oczu, kiedy mówiłaś o domu. Czy rzeczywiście sądzisz, że nie wiem, jak bardzo za nim tęsknisz? Jak bardzo przeżyłaś to, co się stało? Ten czas, to miejsce... To nie twój czas i nie twoje miejsce. Nigdy się nie przyzwyczaisz. Potrzebujesz czegoś, czego nigdy nie będę ci w stanie dać, choć chciałbym dać ci wszystko. I nigdy nie potrafiłbym wybaczyć sobie, gdybym stanął pomiędzy tobą i tym, na co zasługujesz. Nie wiem, jaka czeka mnie przyszłość. Nie potrafię nawet zapewnić ci bezpieczeństwa...

- A kto potrafi? - przerwała.

Spojrzał na nią zdumiony, a ona ciągnęła dalej:

- Czy ktokolwiek z nas zna swoją przyszłość? Czy są jakieś gwarancje, że będę, używając twojego określenia, „bezpieczna” w dwudziestym wieku? Jedno tylko mogę zagwarantować - bez ciebie będę na pół martwa. Reszta zależy od losu.

Opuścił głowę. Ich czoła zetknęły się delikatnie.

- Och, Amy!

Zarzuciła mu ręce na szyję, odchyliła głowę do tyłu i spojrzała mu w oczy.

- Chcę zostać twoją żoną, Jeff.

Pełen czułości, smutny uśmiech poruszył jej serce.

- Tak po prostu, prawda?

Poważnie skinęła głową.

- Tak po prostu. Wtedy, niezależnie od tego, jak się

od siebie oddalimy, zawsze będę wiedziała, że należysz do mnie.

Pogładził ją po policzku.

- Do tego nie potrzeba nam przysięgi.

- Teraz - powiedziała.

Jeff opuścił rękę.

- Minie przynajmniej tydzień, nim sprowadzimy księdza.

Ujęła go za rękę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ja, Amelia - powiedziała cicho - biorę sobie ciebie, Jeffa, za męża, teraz i na zawsze, i ślubuję ci miłość i wierność, póki śmierć nas nie rozłączy.

Przez długą chwilę panowała cisza. Amelia słyszała daleki szum wody, śpiew ptaków. Na ramiona Jeffa padł promień słońca i rozjaśnił mu włosy. Nagle podniósł jej dłoń do ust i złożył na niej pocałunek.

- Ja, Jeff - powiedział cicho - biorę sobie ciebie, Amelię, za żonę, teraz i na zawsze, i ślubuję ci miłość i wierność, póki... - urwał i łamiącym się głosem dokończył cicho - ... śmierć nas nie rozłączy.

Potem uśmiechnął się i spojrzał na ich złączone dłonie.

- Nie mam pierścionka.

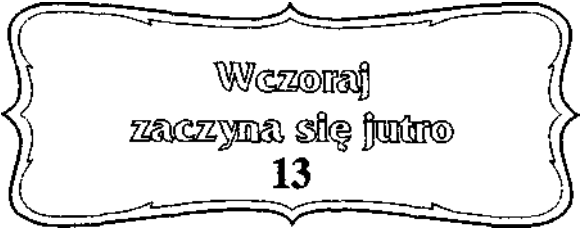
Amelia delikatnie wyswobodziła się z jego uścisku.

- Ja mam coś dla ciebie.

Podniosła rękę, odpięła wisiorek, założyła mu na

szyję i zapięła zameczek. Jej uśmiechnięte wargi lekko drżały.

Dotknął małej literki „A” i chwycił ją w ramiona. Opadli na miękką ziemię i tu, pod gałęziami płaczącej wierzby, znaleźli swoje małżeńskie łożo.



Wczoraj  
zaczyna się jutro  
**13**

Poranek czwartego lipca był duszny i upalny, niebo przysłaniały gęste chmury. Amelia wstała, ubrała się i zeszła na dół. Przez cały ranek obserwowała z przerażeniem, jak dom wypełnia się ludźmi. Przybywały dostojne matrony w popielatych strojach, dziewczęta z kwiatami we włosach ubrane w marszczone suknie, przystojni mężczyźni oraz niezgrabni, młodzi chłopcy, hałaśliwi weterani wojenni, dzieci... Jak tu gwar-  
no, myślała. Co za zamieszanie. Wszystko może się zdarzyć.

Święto narodowe obchodziło z Craigami ponad dwadzieścia osób. Goście tańczyli, jedli, wymieniali się przepisami. Sceneria roztaczająca się przed oczami Amelii sprawiała wrażenie pocztówki z przeszłości: skrzypce, barwnie ubrane dziewczęta, wierzchołki palm na tle nieba, starsi na werandzie, w bujanych fotelach.

- To zupełnie nieprawdopodobne - powiedziała do Jeffa. Wszystko wydawało się jej obce, nierzeczywi-

ste, jak ze snu. - To niemożliwe, żeby mogło stać się coś złego.

Jeff uściskał jej dłoń.

- Więc może nic się nie stanie.

Spojrzała na niego z niepokojem.

- Broń?

- Zamknięta - upewnił ją. - Łącznie z pistoletem pułkownika. Niczego nie zauważy, chyba że zacznie szukać. Mam nadzieję, że nie będzie miał powodu.

Usłyszawszy to, zdołała nieco się uspokoić. Bez broni nie będzie strzelaniny. Nie może się stać nic złego. Zabezpieczyli się na każdą ewentualność.

Oboje pilnowali, by pułkownik Talbot nawet na moment nie zniknął im z oczu, lecz Amelia dbała przede wszystkim o to, by Jeff zawsze był blisko niej. Dopóki będzie w jej towarzystwie, dopóty nie będzie można oskarżyć go o zabójstwo, którego nie popełnił. Ku jej wielkiej uldze, Sam Calvert nie zbliżał się ani do niego, ani do pułkownika Talbota. Być może wszystko będzie dobrze. Do tej pory nie wydarzyło się nic niepokojącego.

Po obiedzie, kiedy panie uznały, że pora na drzemkę, Amelia wymknęła się z domu i ukryła w letnim domku. Po pewnym czasie przyszedł do niej Jeff. Kochali się gorąckowo, w zapamiętaniu, jakby był to ich pierwszy... lub ostatni raz. Później, kiedy odpo-

czywali objęci, czując ból mięśni i przyspieszone bicie serc, Jeff szepnął:

- Amy, musisz mi obiecać...

Wiedziała, co chce powiedzieć.

- Nie. - Przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Nie wrócę. Nie opuszczę cię. Nie możesz mnie zmusić, żebym ci to obiecała.

Poczuła, jak jego ciało sztywnieje.

- Amy...

- Musi się udać - stwierdziła z naciskiem, patrząc mu w oczy. - Nie rozumiesz? Realizujemy nasz plan, nie może się stać nic złego. Absolutnie nic. Przeżyjemy ten dzień i wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

- Dzień kończy się dopiero o północy - odparł cicho. - Jeśli nie odejdiesz o dziesiątej dwadzieścia siedem...

- Nie mam zamiaru cię słuchać! - przerwała gwałtownie, kryjąc głowę na jego piersi.

Delikatnie uniósł jej twarz i poważnie spojrzał jej w oczy.

- Więc zróbmy tak - poprosił cicho. - Obiecujemy sobie... oboje... obiecujemy sobie, że zrobimy wszystko, by przetrwać.

Przytulił ją i pocałował.

Odpowiedziała mu pocałunkiem, i to nie jednym. Przetrwa dzięki Jeffowi; wszystko inne nie miało najmniejszego znaczenia.

Amelia, tańcząc z Jeffem walca w holu, nagle zdała sobie sprawę, że dzień niemal dobiega końca. Sam Calvert trzymał w ramionach dziewczynę w czerwonej sukni; sprawiał wrażenie, jakby nie miał na świecie ani jednego wroga. Pułkownik Talbot tańczył z Abigail. Słońce zniknęło już za horyzontem, w oddali rozległ się odgłos grzmotu, lecz nie działo się nic niezwykłego. Wszystko było tak, jak powinno. Historię można zmienić. Uda się im...

Spojrzała w oczy Jeffa i zaśmiała się. Musiał odczytać jej myśli, bowiem oczy mu zabłyśły, i obrócił ją w tańcu tak energicznie, aż zawirowały halki.

- Teraz jestem już pewna, Jeff - powiedziała.  
- Wszystko będzie dobrze. I to tylko początek. Najlepsze chwile w naszym życiu. - Myślała tak rzeczywiście, czuła to każdą cząstką swej istoty. Przetrwali najgorsze. Teraz nic ich już nie rozdzieli.

Kiedy zrobiło się ciemno, goście zaczęli podchodzić do zastawionych stołów. Napełniony talerze oraz szklaneczki wychodzili na werandę, chcąc jak najlepiej widzieć pokaz ogni sztucznych, wystrzelianych z bagien wokół wyspy. Jeff ujął Amelię za ramię i poprzez tłum wyprowadził ją na względnie pusty dziedziniec.

- Muszę pomóc przy światłach - wyjaśnił, kiedy szli ścieżką w kierunku ogrodu na tyłach domu. - Nie



zajmie mi to wiele czasu. I zostawiam cię w dobrych rękach.

Choć deszcz jeszcze nie padał, wiał coraz silniejszy wiatr, szarpiąc suknią Amelii i rozrzucając jej kunsztowną fryzurę. Był ciepły i wyraźnie czuło się w nim ładunki elektryczne. Ogarnęło ją przerażenie, straszne przeczucie. Gwałtownie złapała Jeffa za ramię.

- Pójdę z tobą!

- To nie jest zajęcie dla kobiety - zażartował, lecz w jego głosie usłyszała nutę napięcia.

- Nie powinieneś być sam. Coś... coś może się stać. Pewnie się mylę, lecz gdyby jednak, powinnam być przy tobie...

I nagle zorientowała się, dokąd Jeff ją prowadzi.

Profesor Kane spacerował tam i z powrotem wzdłuż krawędzi małego, porośniętego bluszczem trawnika. Wiatr unosił poły jego surduta, rozwiewał i tak już potargane włosy. Profesor wyglądał jak jeden z owych karykaturalnych szalonych naukowców ze starych filmów. Okna domu rzucały słabą poświatę na całą powierzchnię trawnika, lecz dzięki jakiejś sztuczce natury skupiała się ona przede wszystkim na stojącym w tle zegarze, sprawiającym wrażenie, jakby był oświetlony od środka.

Profesor podszedł do nich szybkim, niecierpliwym krokiem.

- No, wreszcie! - zawołał. - Dwadzieścia minut. Zwlekłaś do ostatniej chwili, wiesz? - Wyciągnął z kieszeni zegarek i przyjrzał się tarczy zmrużonymi oczami. - Musimy być bardzo dokładni, nie wolno nam ryzykować... Patrz! Już się otwiera!

Amelia z przerażeniem spojrzała na zegar otoczony słabą, mętną aureolą światła, a potem na Jeffa.

- Nie! - wykrztusiła. Wiatr był tu silniejszy, lecz bardzo suchy, już nie czuło się w nim nadchodzącego deszczu. Wydawał się zatykać dech w piersi. - Powiedziałam ci, że nie wracam. Nie możesz mnie do tego zmusić.

Poważna twarz Jeffa wydawała się jak wykuta z kamienia.

- Wracasz - stwierdził. - Już profesor tego dopilnuje. Nawet gdybym miał cię związać i zakneblować, nawet gdybym miał pozbawić cię przytomności, wrócisz w epokę, do której należysz. W której będziesz bezpieczna.

Amelia cofnęła się o krok, gotowa uciec, gdyby zaszła taka konieczność, lecz nadal trzymała Jeffa za ramiona. Miała ochotę nim potrząsnąć.

- Jeff, chyba straciłeś rozum! Jeszcze kilka godzin i będziemy bezpieczni. Czy nie widzisz, że nie może się stać nic złego? Zmieniliśmy historię! Nie mam powodu wracać. Jeśli sądzisz, że porzucę tę jedyną jedyną rzecz, na której mi zależy, nie wiedząc nawet...

Jeff i profesor wymienili poważne, znaczące spojrzenia.

- Przykro mi, Amy. Nie mogę ryzykować. Jesteś dla mnie zbyt ważna.

Położył dłonie na jej ramionach i przytrzymał ją lekko. Twarz mu złagodniała.

- Kiedy mężczyzna się żeni - powiedział - bierze na siebie odpowiedzialność za żonę. Muszę zrobić, co uważam za najlepsze dla ciebie, Amy, niezależnie od tego, jak bardzo to boli.

Wyrwała mu się gwałtownie, profesor postąpił krok naprzód, kiedy nagle noc przeszył mrozący krew w żyłach krzyk.

Amelia zamarła. W jaskrawym świetle na pozór nie gasnącej długo błyskawicy dostrzegła białą, nieruchomą twarz Jeffa. Dobiegające z domu dźwięki muzyki zamierały powoli, a ponad kakofonię zdziwionych głosów wzniósł się kobiecy krzyk:

- Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! Złodziej!

Nie. Nie. O Boże, nie, to niemożliwe. Tylko nie...

Poczuła, jak napinają się mięśnie Jeffa. Nagle odepchnął ją i pobiegł w kierunku domu. Amelia mgliście zdała sobie sprawę, że profesor Kane krzyczy przenikliwie:

- Jeff, nie! Na miłość boską, nie!

Amelia uświadomiła sobie, że biegnie także, choć nie zdawała sobie sprawy, kiedy oderwała nogi od

ziemi. Biegła niczym we śnie, całym ciałem czuła szarpiające porywy wiatru, w uszach słyszała ciężkie bicie serca, znajome otoczenie przemykało obok... Biegła zatrzymać Jeffa, pomóc mu, być przy nim...

Nie biegli jednak w stronę domu, co jej wcale nie zdziwiło. Przejmujący dźwięk, który usłyszała, ostry, wyraźny, ogłuszająco bliski, można by uznać za pierwszy grzmot zbliżającej się burzy, za wybuch pierwszego z ogni sztucznych, lecz Amelia wiedziała, podobnie jak Jeff, że nie jest ani jednym, ani drugim.

Niemal w tej samej chwili oboje wpadli do zachodniego ogrodu i ujrzeni, że zdarzyło się to, czego się najbardziej obawiali, lecz mimo wszystko zobaczyć się nie spodziewali: pod ścianą leżał mężczyzna, z przodu jego surduta widniała ciemna plama, a nad nim stał drugi mężczyzna, z rewolwerem w opuszczonej dłoni. Mężczyzna z rewolwerem podniósł głowę; światło pobliskich okien oświetliło mu twarz aż zbyt wyraźnie.

Jeff, zaszokowany tym widokiem, powiedział jedno tylko słowo:

- Elliot.

Gdzieś w oddali rozbrzmiały niespokojne głosy i tupot stóp, otwierały się okna, krzyczeli ludzie, lecz nic z tego nie wydało się Amelii ani istotne, ani nawet rzeczywiste. Stała i przyglądała się tej scenie niczym

widz na przedstawieniu historycznym, porwany, zafascynowany, ale osobiście nie zaangażowany.

Jeff postąpił krok naprzód i wyjął rewolwer z bezwładnych palców Elliota. Ukłękł przy ciele Sama Calverta, dotknął jego szyi, spojrzał na brata i powiedział cicho:

- Nie żyje.

- Byłem przy drzwiach, kiedy usłyszałem krzyk pani Calvert - wybełkotał Elliot. - Skarżyła się na ból głowy, poszła na górę. Chyba się jej nie spodziewał. Krzyczała... coś o złodzieju uciekającym z jej pokoju przez okno. Straciłem trochę czasu, musiałem otworzyć pokój, w którym przechowujemy broń, nie mogłem pojawić się tu bez rewolweru... Krzyknąłem, przysięgam, że ostrzegałem go! Chciałem go tylko powstrzymać, ale on się odwrócił... To mój dom, do diabła! Mężczyzna ma prawo bronić swojego domu, prawda? Nie chciałem go trafić. Nie myślałem nawet...

Elliot nie miał sił, by dokończyć ostatnie zdanie. Twarz miał śmiertelnie bladą, trząsł się jak w febrze. Jeff wyciągnął rękę i wyjął coś z dłoni martwego mężczyzny. Amelia natychmiast domyśliła się, co to takiego, i na moment serce jej zamarło.

- Nic nie widziałem - wychrypiął Elliot. - Musicie zrozumieć! Było ciemno, myślałem, że to ktoś z wioski. Tylu ludzi... łatwo się wśliznąć,

skraćć coś. Jego bym nie zatrzeźlił... nie chciałem nikogo zastrzeźlić...

Jeff wstał. Błyszczący klejnotami naszyjnik miał owinięty wokół dłoni.

- Własną macochę - powiedział cicho. - Okradł własną macochę.

Elliot wyciągnął ku niemu ręce.

- Co mam zrobić? - spytał z rozpaczą. - Do diabła, Jeff, pomóż mi! Co mam...

Amelia wcześniej powinna usłyszeć ten dźwięk, lecz zanadto pochłoneła ją rozgrywająca się przed jej oczami scena. Na górze otworzyły się drzwi i nad ich głowami rozległy się jakieś głosy. Dominował nad nimi kobiecy krzyk:

- Mój syn! Zabiłeś mojego syna!

Przez balustradę galeryjki wychylała się pani Calvert. Twarz miała groteskowo zniekształconą odbłaskiem jaskrawego, świecącego w głębi pokoju światła. Wokół niej tłoczyło się kilka osób. Wszyscy widzieli scenę, rozgrywającą się poniżej: martwy mężczyzna leżący na trawie, Elliot trzymający kurczowo Jeffa i sam Jeff z rewolwerem w jednej ręce i skradzionym naszyjnikiem w drugiej.

Ktoś krzyknął:

- Trzymaj go, Elliot!

- Zejdź mi z drogi, on potrzebuje pomocy! - zawołał ktoś inny. Jakaś kobieta wrzeszczała wniebogło-

sy, inna szlochała, Jeff spojrział Amelii w oczy i w jednej sekundzie pojęli straszliwą prawdę.

Jeff zdecydowanym ruchem wsunął rewolwer za pasek, schował naszyjnik do kieszeni, odwrócił się i pobiegł przed siebie. Tak bardzo chciała go zatrzymać, wiedziała, że powinna to zrobić! Nie pozwól mu odejść, przemknęło jej przez myśl. Jeff, nie porzucaj mnie! Lecz taka ewentualność była wykluczona. Musiała pomóc mu uciec, jak najszybciej i jak najdalej. Od tego zależało jego życie.

Pobiegła za nim, a kiedy skręcił w boczną ścieżkę wiodącą z powrotem do ogrodu, krzyknęła:

- Jeff, nie! Koń... Musisz się spieszyć!

Złapał ją za rękę, pociągnął za sobą, i biegli dalej potykając się. Amelia bez przerwy krzyczała:

- Nie, Jeff, nie możesz... Musisz uciekać sam, musisz się spieszyć... Proszę, Jeff!

Niebo przeszyła błyskawica, powiew gorącego wiatru owinał jej spódnicę wokół nóg. Nie słyszała odgłosów pogoni, nie słyszała grzmotów ani wyjącego wiatru, nie słyszała nic oprócz niskiego buczenia, przypominającego dźwięki wydawane przez transformator. ..

Nagle dojrzelili biegnącego w ich stronę profesora Kane'a. Wyładowania elektryczne nastroszyły mu włosy, w tle lśnił niesamowitym światłem zegar, rozjaśniając ogród białą poświatą. Amelia gardło miała

wyschnięte, ciarki chodziły jej po skórze; nie mogła wykrztusić słowa, oddychała z trudem.

Jeff zatrzymał się i zwrócił w jej stronę. W świetle bijącym od zegara jego oczy lśniły dziwnym blaskiem, wiatr rozrzucił mu włosy, na twarzy rysował się wyraz determinacji.

- Obiecuję - powiedział. Chwycił jej rękę i przytulił na chwilę do piersi. Poczowała mocne bicie jego serca.  
- Na zawsze.

Nagle odwrócił się i w czterech długich susach dopadł zegara. Coś zaszumiało, białe światło rozbłysło mocniej... i Jeff zniknął.

Amelia nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nie, to niemożliwe, powtarzała sobie w duchu. Wiał wiatr, na skórze i we włosach czuła igiełki wyładowań elektrycznych. Rozległ się dźwięk, niski i przenikliwy, potęgujący się: naraz uświadomiła sobie, że wydobywa się z jej gardła.

- Nie! - krzyknęła i rzuciła się w stronę zegara.

Profesor Kane złapał ją za ramię.

- Czekaj! - zawołał. - To jeszcze nie twój czas.

- Puść mnie, głupcze. - Walczyła z nim, kopała, biła pięściami. - Idę za nim! Puść mnie!

- Za późno. - Trzymał ją z siłą, której nie zdradzała jego drobna sylwetka. - Jeff odszedł. Teraz go nie znajdziesz. Za późno!

- Nie!



Profesor złapał ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie. Potrząsał nią krzyżąc:

- Jeff zaginał w czasie! Nie ma sposobu, żeby go odnaleźć! Może już nie żyje, Amelio. Nie wolno ci iść za nim. Jeff odszedł!

- Nie! O Boże, nie! - Szlochała patrząc na zegar, lecz nie wrywała się już profesorowi. - Nie! Obiecał...

Profesor mocniej przycisnął ją do siebie.

- Zbliża się twój czas. Wracasz do domu.

Kolejny podmuch gorącego wiatru szarpnął jej włosy, zegar wydawał się pulsować, powiększać za zasłoną światła. Znów próbowała wyrwać się profesorowi, gwałtownie potrząsała głową, choć nie pamiętała już, przeciw czemu tak rozpaczliwie walczy.

- Nie! Nie wracam! Obiecałam mu! Może on tu wróci! Nie mogę, nie chcę wracać do domu!

Z pewnością zdawała sobie sprawę, że już nie ma powodu walczyć. Nie miała już po co zostawać. Lecz był tu dom Jeffa, to był jego czas, Jeff należał do tej epoki. W przyszłości i w przeszłości nie czekało jej nic prócz wspomnień. A jednak nie mogła odejść. Nie mogła porzucić tego, co łączyło ją z Jeffem...

Profesor trzymał ją za ramię tak mocno, że poczuła ból, drugą zaś ręką wyciągnął z kieszeni zegarek, otworzył go i sprawdził godzinę.

- Dwie minuty! - zawołał przekrzykując wycie

wzbierającego wiatru i otumaniający, ogłuszający, przenikliwy szum wszechobecnej elektryczności.

Szarpała się, ale trzymał ją mocno. Czuła, jak coś przeciągają w stronę zegara. Naelektryzowana suknia przykleiła się do jej ciała, drażniła skórę. Koszmar ten przeżywała już po raz drugi, i kiedy profesor skierował ją z wielką siłą w stronę zegara, błagała:

- Nie! Tylko nie to! Muszę przecież tu zostać! Mogę mu pomóc, mogę...

Twarz profesora Kane'a była zacięta i nieubłagana.

- Przepraszam, panienko - powiedział. - Obiecałem Jeffowi.

Położył ręce na jej ramionach i jednym silnym ruchem pchnął ją wprost na zegar.

Wczoraj  
zaczyna się jutro  
14

- Amy!

Głos wydawał się jej znajomy, lecz zabrzmiał niczym dalekie echo. Walcząc z mdłościami, Amelia na oślep wyciągnęła rękę szukając jakiegoś oparcia.

Kiedy w głowie nieco się jej rozjaśniło, zdała sobie sprawę, że stoi w ogrodzie. Był dzień, być może popołudnie. Po niebie mknęły szare chmury, poczuła wilgoć na twarzy... Deszcz. To tylko deszcz. Jej dłoń spoczywała na czymś zimnym i twardym - to zegar słoneczny. Cofnęła ją, jakby bała się oparzyć, lecz przecież dotykała zwykłego kamienia. Zegar wydawał się nieszkodliwy.

Jakiś głos znowu zawołał ją po imieniu. Rozejrzała się dookoła. Idąca w jej kierunku kobieta miała na sobie perkalową sukienkę, dłońmi osłaniała kunstowną fryzurę.

- Peggy? - szepnęła Amelia.

- Gdzieś ty była? Wszędzie cię szukałam. Chodź!

- Peggy złapała ją za ramię. - Przez ten deszcz trzeba było przenieść zabawę do domu. Dobrze, że cię znała-

złam, inaczej przemokłabyś do suchej nitki. Prawdziwy labirynt, prawda?

Amelia dała się przyjaciółce prowadzić przez kilka kroków, a potem stanęła i wpatrywała się w nią w zdumieniu. To rzeczywiście była Peggy. Prawdziwa Peggy. Jasne włosy, brzoskwiniowa szminka, wspomniała opalenizna, perfumy Giorgio - tak, to ona!

Chciała zadać jej masę pytań, lecz nie potrafiła dobyć głosu z zaciśniętego gardła. Nie potrafiła nawet uporządkować myśli.

Sen? Czyżby od samego początku wyłącznie śniła? Czyżby upadła, uderzyła się w głowę, a potem miała zwykłe halucynacje, kiedy to tygodnie trwają kilka sekund, podobnie jak umierającemu pojawia się przed oczami całe życie? To wszystko: plantacja, przepisy kulinarne Marthy Craig, miłość Abigail do Sama Calverta, profesor Kane... Jeff. Sen? Boże, nie pozwól, by to był tylko sen.

W oczach Peggy pojawił się nagle niepokój.

- Dobrze się czujesz? Okropnie wyglądasz. Lepiej pójdz na górę i uczesz się. Skąd masz tę suknię? Nie pamiętam, żebym widziała ją w szafie.

Amelia opuściła wzrok, zobaczyła różowy perkal i odetchnęła z ulgą. To nie był sen. Przynajmniej tego może być pewna. Wspomnienia były prawdziwe. Jeff jest... był... prawdziwy.

A więc naprawdę go straciła.

Poczuła wielki smutek, lecz było w nim także zdumienie. Wyczuwała, że tracąc, coś jednocześnie zyskała. Przez chwilę - nieważne jak krótką, jak niezwykłą - zaznała miłości, nauczyła się o nią walczyć i w walce tej nabrała siły. W końcu przegrała, lecz nie żałowała niczego. To, co poznała w czasie spędzonym z Jeffem, pozostanie w jej pamięci na zawsze i gdyby mogła przeżyć wszystko od nowa, niczego by nie zmieniła. Poznała go, pokochała i na zawsze zmieniła się dzięki temu; warto było zapłacić za to bólem, który przyniosło i zapewne jeszcze przyniesie jej życie.

Wygładziła fałdy sukni.

- Należała do Abigail - powiedziała cicho. Do Abigail, która zakochała się równie niemądrze jak ona sama i która przeżyła życie sto lat temu. Czy była szczęśliwa? Czy kiedykolwiek pokochała znowu? Czy tęskniła za Amelią, gdy ta zniknęła? I Martha Craig, i Beniamin, a nawet ekscentryczny profesor Kane - wszyscy byli jej przyjaciółmi, jej rodziną. Odeszli, pochowani przed stu laty, lecz wspomnienia o nich pozostaną z nią na zawsze, do końca życia, tak żywe, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj.

Amelia zapragnęła nagle wyrzucić z siebie to wszystko, opowiedzieć Peggy, co się zdarzyło, lecz w końcu uśmiechnęła się w zamyśleniu. Przyjaciółka i tak by jej nie uwierzyła, Amelia wiedziała o tym z doświadczenia.

Peggy pociągnęła ją za ramię. Musiały się pospieszyć, deszcz padał coraz mocniej.

- Szybciej, tracimy to, co najlepsze. Wszyscy są już gotowi. Pamiętaj, kim jesteś, bo biorą to tu najzupełniej serio. Pełne szaleństwo, Amy. Spodoba ci się.

Amelii lekko zakręciło się w głowie.

Zdażyły wejść do holu, nim rozpadało się na dobre. Dostrzegła znajome meble ustawione odrobinę inaczej. Uniosła głowę: portret Marthy Craig wisiał na miejscu. W końcu ujawniła się i jej próżność - zgodziła się na dzieło niemal całkiem do niej niepodobne.

Peggy wciągnęła ją do pokoju gościnnego. Brzęk koktajlowych szklanek w połączeniu z najwyraźniej współczesnymi ludźmi poprzebieranymi w historyczne stroje wydawał się tak dziwny, że poczuła się oszłomiona. Dotknęła ramienia przyjaciółki. Nie wytrzyma. Po prostu nie wytrzyma.

- Mam migrenę - szepnęła. - Chyba lepiej będzie, jeśli...

- Och, nie psuj ludziom zabawy. Zobacysz, że bardzo ci się tu spodoba. Przecież musisz poznać przynajmniej parę osób - dodała i zachichotała. - Wariaci. A teraz pamiętaj - ostrzegła przybierając poważny wyraz twarzy. - Udawaj!

Mocno trzymając Amelię za ramię, wprowadziła ją w tłum. Podniosła rękę i nagle zawołała:

- Och, pani Craig!

Serce Amelii zamarło.

Przebrana w strój z epoki Karen Striker odwróciła się ku nim z uśmiechem.

Po tym pierwszym wstrząsie wszystko wydawało się łatwiejsze. Amelia była oszołomiona, słaba i zbyt poruszona tym, co się z nią ostatnio działo, by żywo reagować na wydarzenia. Podczas prowadzonej przez Peggy prezentacji, w głowie wirowało jej od natłoku sprzecznych wrażeń. Chuda, rudowłosa kobieta jako pani Calvert. Przystojny aktor w roli jej pasierba. Biznesmen, którego widziała w holu podczas rejestracji, grał pułkownika Talbota, a młody człowiek z najmodniejszą fryzurą obowiązująca na Wall Street - profesora Kane'a.

Nagle Peggy zachichotała.

- Nigdy nie uwierzysz, kto jest Beniaminem Craigiem - stwierdziła i za chwilę przedstawiła jej młodego, przystojnego parkingowego. Amelia zdołała się nawet uśmiechnąć.

- I ostatni, choć nie najmniej ważny... - Ciągąc za sobą przyjaciółkę, Peggy śmiało podeszła do mężczyzny rozmawiającego z grupą czterech gości. Dotknęła jego ramienia.

- Jeffrey Craig.

Mężczyzna odwrócił się.

Twarz miał szczupłą, mocno zarysowaną szczękę, oczy szmaragdowozielone. Był pięknie opalony na

złotobrazowy kolor. Zmarszczki na jego czole wydawały się głębsze, niż być powinny. Sprawiał wrażenie szczuplejszego, bardziej wysportowanego; zbyt długie włosy, lekko przyprószone siwizną, spadały mu aż na kołnierzyk, lecz - wyjąwszy te drobne różnice - mógłby być bliźniakiem prawdziwego Jeffreya Craiga.

Najpierw Amelia pomyślała, że ma przywidzenia. Usłyszała imię i zobaczyła to, co pragnęła zobaczyć. Lecz gdy mężczyzna uśmiechnął się do niej, jego uśmiech przeszył ją niczym ostrze noża.

- Jeffreju, chciałabym przedstawić ci moją drogą przyjaciółkę, Amelię. - Peggy trąciła Amelię w bok.  
- Przywitaj się, kochanie.

Amelia patrzyła na Jeffa w milczeniu, on zaś skłonił się i uśmiechnął.

- Panna Amelia i ja już się poznaliśmy - powiedział.

Ten głos. Ten głos... jedwabisty, dźwięczny jak muzyka. Na moment zrobiło się jej ciemno przed oczami, obejmująca serce obręcz zacisnęła się, niemal je zgniatając. To on. To Jeff. Lecz... jak to możliwe?

Peggy uniosła brwi.

- No, no - mruknęła patrząc na przyjaciółkę. - Nie mówisz mi wszystkiego, moja droga.

Jeff wpatrywał się w oczy Amelii. Chciała opuścić wzrok, czuła, że musi, lecz nie potrafiła.



- Prawdę mówiąc, czekałem na ciebie. I zaczynałem się już niepokoić.

Jeff! Pragnęła wykrzyknąć jego imię na cały głos, pragnęła rzucić mu się w ramiona, wziąć go w objęcia, spojrzeć w te oczy, nasycić się nim... Poznała Jeffa, lecz nie jest to przecież ten sam Jeff. To niemożliwe.

Mężczyzna spojrzał na Peggy.

- Czy moglibyśmy przeprosić panią na chwilkę? Muszę pokazać coś Amelii.

Dostrzegła zdumione i pełne uznania spojrzenie, jakim jej przyjaciółka obdarzyła ujmującego ją pod ramię mężczyznę, mieniacego się Jeffreyem Craigiem. Nie miała siły protestować, gdy prowadził ją wśród gości w stronę holu. Nie oddychała, nie spuszczała z niego wzroku, rozpaczliwie walczyła o pozostanie przy zdrowych zmysłach. Źle jest, gdy świat raz przewróci się do góry nogami, lecz kiedy dwukrotnie...

Właśnie dlatego nie potrafiła stłumić narastającej w jej duszy nadziei. Już raz zdarzyło się jej coś, co było niemożliwe; widziała, jak zasady rozsądku i logiki rozpadają się niczym domek z kart, i wyszła z tego doświadczenia silniejsza. Teraz już była zdolna stawić czoło wszystkiemu i we wszystko uwierzyć. Czy to istotnie niewiarygodne, by w imię miłości niemożliwe zdarzyło się dwukrotnie? Tak, w miłości wszystko może się zdarzyć...

Idący obok niej mężczyzna otworzył drzwi prowadzące na werandę. Padał rześisty deszcz, osłaniając ich jakby welonem od świata; na werandę docierała przyjemna, chłodna mgiełka. Amelia podeszła do barierki i chwyciła ją obiema dłońmi, wystawiając twarz na ożywczy powiew wilgotnego wiatru. On podszedł i stanął blisko, nie dotknął jej jednak.

Być może pomyliła się. Może to aktor, do złudzenia przypominający Jeffa, jakiś jego potomek. Próbowwała pozostawić w sercu miejsce i na taką możliwość, lecz ono było tak mocno, radosne myśli szalały jej w głowie... Wiedziała, czuła w najgłębszych zakamarkach duszy - że nie może się mylić.

Cichy głos powiedział:

- Amy. Czekałem tak długo.

Ten głos. Ten piękny głos. Ogarnęła ją fala oszołomienia, przeszłość i teraźniejszość zmieszały się w jedno, przez chwilę marzyła tylko o tym, by utonąć w jego ramionach.

Jeff. Boże, żeby to był Jeff!

Odwróciła się powoli, a on objął ją spojrzeniem. Ta twarz - starsza teraz, dojrzała, nieco zmieniona - odcisnęła się piętnem w jej pamięci. Cichy, wewnętrzny głos ostrzegał ją: ostrożnie... Nie usłuchała go. Drżącą dłonią dotknęła jego szyi, wsunęła palce pod koszulę. Patrzył na nią w milczeniu, nie protestował.

Chwyciła łańcuszek i czując, jak serce podchodzi

jej do gardła, podniosła go do góry. Drobny, złoty, z wiszącą na nim literką „A”.

- Jeff. - Jakimś cudem zdołała wypowiedzieć to słowo. Bez wahania rzuciła mu się w ramiona, a on przytulił ją mocno do piersi. Poczowała jego powitalny pocałunek. Kiedy odchylił głowę do tyłu i spojrzał na nią, płakała i śmiała się na przemian i znów musiał ją przytulić, chroniąc przed atakiem hysterii.

Minęła chwila wypełniona chaotycznymi słowami, gorączkowymi pieszczotami i długimi pocałunkami, nim usiedli na wiklinowej kanapce. Obejmował ją, a ona opierała mu głowę na ramieniu. Trzymali się za ręce. Czuła bicie jego serca, jego oddech muskał jej włosy. Zdołała wypowiedzieć tylko trzy sensowne słowa:

- Opowiedz mi wszystko.

Delikatnie pocałował jej włosy.

- Nie mogłem postąpić inaczej - zaczął. - Ten pomysł przyszedł mi do głowy chyba już wtedy, kiedy rozmawialiśmy z profesorem Kane'em, a potem, gdy to się zdarzyło... wiedziałem, że muszę ryzykować.

Poruszyła głową, chcąc na niego popatrzeć. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Nigdy więcej nie usłyszano już o Jeffie Craigu - ciągnął. - Wiedziałem, że niezależnie od ryzyka i od tego, co mówią książki historyczne, nie byłbym w stanie żyć z dala od ciebie, ale - miałaś rację. Gdybyś

uciekła ze mną, albo gdybym po ciebie wrócił... chyba oboje zapłacilibyśmy za to życiem. Wiedziałem jednak, że jeśli przedostanę się przez tunel czasu, pójdiesz za mną i będziesz bezpieczna. I wiedziałem, że mogę liczyć na profesora. Byłem pewny, że dopilnuje, żebyś dotarła do domu. Miałem nadzieję, że los da nam więcej czasu, że odejdziemy razem, ale wiedziałem, że nie mogę na to liczyć.

Jej ciało przeszył dreszcz.

- Jeff, ty tak strasznie ryzykowałeś. Mogłeś znaleźć się gdziekolwiek, w każdym czasie. Mogłeś... umrzeć.

- Tylko w ten sposób historia mogła się sprawdzić - rzekł z przekonaniem. - A poza tym, jak ci kiedyś powiedziałem, ja mogę żyć wszędzie. - Podniósł ręce i delikatnie odgarniał włosy z jej twarzy, patrząc na nią z czułością. - Nie zostawiłem po sobie niczego, Amy. Zmarnowałem życie i tego nie zdołałbym już naprawić. Stracić mogłem tylko ciebie. Musiałem ryzykować, bo tylko wtedy miałem szansę, że jednak cię nie stracę.

Amelia znów oparła mu głowę na ramieniu, rozmyślając nad tym, co jej powiedział. Nie buntowała się już, lecz syciła się ciepłym i pewnym głosem Jeffa i tym, co mówił. Jeff. Jest tu. Prawdziwy. Tylko to się teraz liczy.

Nagle odsunęła się i spojrzała na niego uważniej.

- Wyglądasz... jakoś inaczej - powiedziała.

Od kącików jego oczu rozbiegły się zmarszczki, których wcześniej nie było.

- Oczywiście. Jestem siedem lat starszy.

- Co? - wykrztusiła zdumiona.

Skinał głową. Oczy mu błyszczały.

- Przybyłem tu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku. Nie uwierzysz, ile wart był wtedy naszyjnik. Co więcej, okazało się, że ludzie, którzy mogli rościć sobie do niego jakieś prawa, nie żyli, więc właściwie wcale nie został skradziony. - Miała wrażenie, że Jeff przez chwilę zastanawia się nad tym, potem tylko wzruszył ramionami. - A nawet jeśli tak, nic nie mogłem na to poradzić. Prawie zapomniałem, że mam go w kieszeni, aż do chwili, kiedy musiałem zapłacić za obiad i kelner nie chciał przyjąć ode mnie pieniędzy. Powiedział, że są za stare i doradził mi, żebym ich nikomu nie pokazywał, bo mogę się wpędzić w tarapaty. W każdym razie, mając złoto, naszyjnik i rewolwer Elliota - po jego twarzy przemknął cień - dysponowałem całkiem sporą sumą. Kiedy ją zainwestowałem... - Uśmiechnął się do Amelii. - Myślałaś, że nie słuchołem, kiedy mówiłaś o dwudziestym wieku, a ja tymczasem słuchołem cię bardzo uważnie. Dzięki tobie moje inwestycje okazały się całkiem lukratywne. Mam za co żyć i w dodatku - wskazał dom - odkupiłem go od agenta i odrestaurowałem.

- Odkupiłeś plantację? - Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Tylko hotel i otaczające go tereny. Więcej mi nie trzeba. Chciałem, żeby wszystko wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętałaś.

- Och... Jeff! - Przeszłość i teraźniejszość, przyszłość i przeszłość, tak niezwykle ze sobą splecione. Nawet nie próbowała od razu wszystkiego zrozumieć. Być może nigdy nie zdoła tego pojąć...

Milczeli przez długą chwilę. Nadal padał deszcz, od czasu do czasu z domu dobiegał ich przytłumiony dźwięk głosów, zapach zakąsek i kobiecych perfum, brzęk szklanek. Amelia powoli zbierała rozproszone myśli, aż wreszcie skupiła się na sprawie najświeższej w jej pamięci, sprawie sprzed stu dwudziestu dwóch lat.

- Chyba wiem, dlaczego to zrobił - powiedziała powoli. - Abigail próbowała mi wszystko wyjaśnić, ale nie zwracałam uwagi na jej słowa. Powiedziała, że Sam ma jakiś plan. Że potrzebuje pieniędzy, żeby uwolnić się spod wpływu macochy, zacząć własne życie - może właśnie z Abigail? Więc zabrał coś, co uważał za swoją prawowitą własność: naszyjnik. A wtedy biedny Elliot...

Jeff ponuro skinął głową.

- Zawsze chciał być bohaterem. Udowodnić, że zdoła poprowadzić dom równie dobrze, jak ja bym to

zrobił. A przecież niczego nie musiał udowadniać. Nie rywalizowałem z nim. Żałuję, że nigdy mu tego nie powiedziałem. Może wszystko ułożyłoby się inaczej?

Amelia spojrzała na niego i powiedziała cicho, z wyraźnym wahaniem:

- Ale pozwolił, żeby cała wina spadła na ciebie. Przez wszystkie te lata oskarżano cię o zbrodnię, której nie popełniłeś.

Jeff uśmiechnął się smutno.

- To nie całkiem tak. Ja też myślałem podobnie, ale potem zjrzałem do archiwów i nabrałem przekonania, że Elliot próbował się przyznać, ale nikt mu nie wierzył. Bo i jak? Ja byłem renegatem, przestępcą, on zaś szanowanym obywatelem. No i oczywiście pani Calvert nigdy nie przyznała, że to jej pasierb ukraść naszyjnik. Mówiono, że został zastrzelony, gdy próbował zatrzymać złodzieja, i zrobił się z tego spory skandal, przez pewien czas wszyscy obrzucali się oskarżeniami, tak narodziła się tajemnica godna rozwiązania podczas weekendu.

Tajemnica... Weekend... Te dwa słowa, choć z trudem, przywołały Amelię do rzeczywistości. Nagle zrozumiała też sens tego, co Jeff powiedział jej wcześniej.

- Siedem lat - powtórzyła. Spojrzała na niego zaskoczona i zmieszana. - Jeff... siedem lat.

- Mogło być dwadzieścia albo pięćdziesiąt - po-

wtórzył lekko. - Mógłbym być staruszkciem, na którego nie chciałybyś nawet spojrzeć.

- Nigdy! - krzyknęła i przytuliła go mocno.

Pogładził ją po szyi.

- Nie było mi lekko - przyznał. - Czasami wątpiłem, czy w ogóle kiedyś się spotkamy i niemal szalałem, czekając na ciebie. Kiedyś - wyznał - pojechałem do Richmond, znalazłem twoje nazwisko w książce telefonicznej i stałem przed drzwiami twojego mieszkania blisko cztery godziny... Ale bałem się zapukać. Może byłem przesądny, ale bałem się zmienić realia naszego spotkania, bałem się, że coś może pójść źle i że w ogóle nigdy się nie spotkamy. A poza tym - stwierdził - i tak byś mnie wtedy nie poznała.

- Ale zakochałabym się w tobie na pewno - zapewniła, całując jego dłoń.

- W tej sprawie wolałem nie ryzykować. Potem spotkałem Karen. Czy wiesz, że jest moją daleką krewną? Zdaje się, że Abigail poślubiła mężczyznę z Charlestonu, więc w końcu chyba pogodziła się ze śmiercią Sama. Karen Striker pochodzi z tej linii, właśnie dlatego zainteresowała się domem. Zaczęła dla mnie pracować i pewnego dnia przyniosła ze sklepu ze starymi ubraniami suknię - suknię w różyczki, którą miałaś na sobie tego dnia, kiedy znalazłem cię w ogrodzie. - Uśmiechnął się. - Wtedy wiedziałem już, co nastąpi. Los zdecydował za nas.



Zapadła cisza. Amelia w milczeniu przyswajała sobie wszystkie pomniejsze tajemnice składające się na wielką tajemnicę jej życia. Lecz w głowie utkwiło jej coś, co powiedział o Karen, drażniło ją to, więc w końcu odsunęła się trochę od Jeffa i spojrzała na niego z ukosa.

- Jeff - powiedziała niepewnie. - Minęło siedem lat. To długo. Musiałeś spotkać wiele kobiet.

Oczy mu błysnęły.

- A owszem, spotkałem. I wszystkie były tak fascynujące, jak je opisywałaś. Ale... - Wyraz przekory znikł z jego twarzy. Ujął jej twarz w dłonie i powiedział: - Żadna nie była tobą. A poza tym nie interesowało mnie, jakie są fascynujące - przecież jestem żonaty!

Zamknęła oczy, przejęta dojmującą radością, pewnością, którą przyniósł jego pocałunek. Mówi prawdę. Jest tu. Wróciła do domu.

Uśmiechając się, Jeff stracił z jej rzęs samotną łzę.

- Powiedziałaś kiedyś, że byłabyś szczęśliwa prowadząc hotel, przygotowując jedzenie tak, jak moja matka zwykła je przygotowywać, dbając, by goście dobrze się czuli. Nie zmieniłaś zdania?

Z radości serce Amelii zatrzepotało gwałtownie.

- Zachowałam jej przepisy - powiedziała i wskazała na swoją głowę. - Tu.

- Doskonale. - Oczy rozbłysły mu wesoło. - Bo bardzo potrzebuję współnika.

- Więc go masz.

- Jedno tylko muszę ci powiedzieć - stwierdził poważnie. - Mnóstwo rzeczy w tym wieku bardzo mi się podoba, ale to, że ludzie żyją z sobą bez błogosławieństwa księdza - nie! Chcę wziąć prawdziwy ślub, im prędzej tym lepiej.

- Sądzę, że da się to załatwić. - powiedziała Amelia zdławionym ze wzruszenia głosem.

- Doskonale. - Delikatnie musnął palcami jej szyję. - A tymczasem możemy sobie chyba pozwolić na odrobinę miodowego miesiąca. Zarezerwowałem na ten weekend pokój w jednym z tych hoteli na plaży, więc jeśli masz ochotę... Nie sądzą, żebyśmy koniecznie musieli uczestniczyć w tej zabawie. - Wskazał na dom, z którego dobiegały wesołe głosy i śmiech. - A ty?

Amelia wstała. Trzymała go za ręce, pociągnęła i Jeff wstał również.

- Ja też nie - powiedziała rozradowana. - Pójdę po rzeczy.

W drzwiach odwróciła się i dodała:

- Przecież oboje wiemy, jak to się skończy.